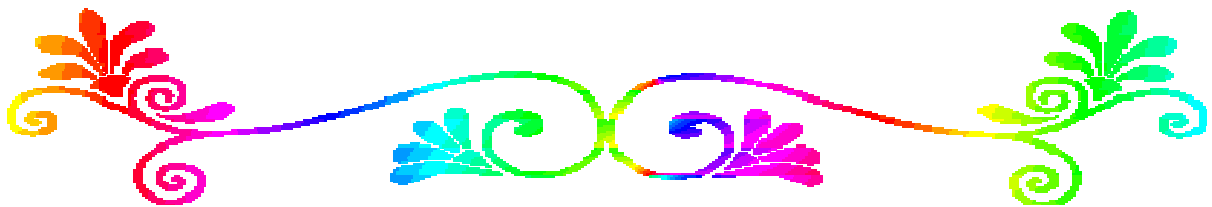




JANINA ZAJĄCÓWNA



**ZEMSTA JEST,
ROZKOSZĄ BOGÓW**

Życie Marty od jakiegoś czasu przypominało pracę komiwojażera, ciągle była w drodze, jeździła windami, dużo czasu spędzała w tramwajach i autobusach, przygniatała do ścian, deptana po nogach, besztana i pouczana przez zdenerwowanych ludzi.

Nareszcie łyk świeżego powietrza. Za zakrętem pojawiła się willa ze spiczastym dachem, z tarasem wyrzuconym na południową stronę i strzelistą wieżycą przypominającą średniowieczny zamek. Przed wejściem powitały ją dwa srebrne świerki i kilka drzew pamiętających, jak twierdzi gospodarz, czasy odbudowy. Martę niewiele obchodziły drzewa i otoczenie domu, a więc ogrodzenie z metalowych prętów na podmurówce, tuje, róże, wydobyte niedawno z chochołów i obsypane złotem krzaki forsycji. Niepokoiła ją furtka zamknięta na głucho i podejrzana martwota okalająca dom. Przez gęstą siatkę firanek trudno było zajrzeć w głąb, mimo to wspięła się na palce i czepiając się rękami metalowych prętów zaglądała do środka. Niestety, nic nie widziała. Zeskoczyła z murku spłoszona nadjeżdżającym samochodem, który dotarł do końca uliczki, zawrócił i pomknął z powrotem do miasta. Energicznym ruchem nacisnęła przycisk dzwonka i czekała. Dopiero po chwili furtka drgnęła i drzwi wejściowe ustąpiły pod naciskiem jej ręki. Na schodach pojawił się profesor w roboczym fartuchu poplamionym farbą.

— Och! To pani — wykrzyknął z radosnym roztargnieniem, zdejmując okulary. — Przepraszam! Zapomniałem, że to dzisiaj... Taki jestem zapracowany.

— To może ja innym razem — cofnęła się do drzwi, lecz ten jej krok wywołał ostry protest z jego strony.

— Nie, nie. Nie puszczę pani, umyje tylko ręce. Proszę tędy, niech pani otworzy te drzwi, nie chcę pobrudzić klamki. Proszę usiąść przy biurku. Zrobić pani herbaty, czy kawy? Może napije się pani whisky z lodem?

— Whisky z lodem — odpowiedziała, wchodząc do gabinetu.

— Świetnie, jak też się napiję.

— Panu nie wolno.

— Nawet odrobiny?

— No, odrobinę można — odparła z wahaniem.

— Dziękuję za pozwolenie — w jego spojrzeniu rzuconym z holu było tyle przekory i niefrasobliwości, że Marta chcąc podbudować swój autorytet przypominała mentorskim tonem kilka frazesów: pić nie wolno, alkohol szkodzi, zwłaszcza przy pewnych schorzeniach.

Przyjął z powagą jej słowa i znikł w zakamarkach obszernej willi. Po chwili pojawił się ze szklankami na srebrnej tacy.

Wzięła whisky i wachając ukradkiem, bawiła się kostkami lodu. Nigdy jeszcze nie piła whisky i nie chciała się z tym zdradzić, a napój o którym tyle słyszała i czytała, nie zachwycał jej wcale. Pierwszy łyk długo trzymała w ustach i myślała, że zwymiotuje, drugi połknęła z determinacją. Poczowała przyjemne ciepło i znów umoczyła usta. Wzrok jej błędził po półkach z książkami, których tu w gabinecie było chyba kilka tysięcy. Jeszcze nigdy nie widziała w prywatnym domu takich zbiorów. Było co podziwiać: encyklopedie w obcych językach, słowniki, albumy z malarstwem holenderskim, włoskim, francuskim, Velazquez, Goya, Van Gogh, impresjoniści, książki o ikonach, Rublow, Teofan Grek, szkoła nowogrodzka, władimirska... Co za wspaniały świat! Poczowała zawrót głowy i odstawiła szklankę. Za oknem zmierzch spowijał drzewa, tylko srebrne świerki błyszcząły w mroku. Przydałoby się kilka taktów muzyki, tej co nie burzy harmonii świata.

— Jestem gotów — szorstki, zmęczony głos profesora doleciał z sąsiedniego pokoju.

— Proszę się rozluźnić! Teraz ja umyję ręce.

Nastrój prysł, widocznie za mało wypila. W łazience myjąc ręce z przyjemnością oglądała się w lustrze. Bił od niej blask. Sama musiała to przyznać. Mimo skromnych środków finansowych potrafiła się ubrać, szyjąc z pomocą siostry bluzki, spódnice i suknie. Żakiet, w którym przyszła do profesora, był również jej dziełem, nie zdołała go jeszcze wykończyć, ale nikt na takie drobiazgi nie zwraca uwagi, zwłaszcza mężczyźni na ogół nie wiedzą, co kobiety mają na sobie, ale niech tylko któraś włoży coś niestosownego — od razu odzyskują ostrość spojrzenia.

— Niech pan nie napina mięśni. Proszę się rozluźnić i o niczym nie myśleć. Boli? Tu? A tu?

Drgnął, zagryzając wargi, żeby nie wydać jęku.

— Przepraszam. Będę uważać — palce Marty biegały wzdłuż kręgosłupa, wyłuskiwały jakieś wypukłości i czyniły wokół nich skomplikowane zabiegi, przesuwały się z dołu do góry, aż po samą szyję, opuszczały poniżej bioder i stamtąd ponownie wędrowały do góry. Profesor leżąc z zamkniętymi oczami uśmiechnął się do swych myśli. Jego ciało znowu się napreżyło, mięśnie zeszywniały.

— Prosiłam, żeby pan o niczym nie myślał — przypomniała szorstko.

— Pani się to udaje?

— Bez trudu.

— Ja nie potrafię.

— Bo pan wierzy, że myślenie ma kolosalną przyszłość — roześmiała się.

— A w co pani wierzy?

— Proszę leżeć spokojnie... Ja wierzę w pieniądze.

— Że dają szczęście?

— W to również.

— A w miłość?

— Na dziś wystarczy. Może się pan ubrać. Pójdę umyć ręce. — Będąc już w drzwiach rzuciła przez ramię: — W miłość też wierzę.

— Ciekawy z pani człowiek — powiedział profesor sięgając po koszulę.

Marta spędziła w łazience więcej czasu niż należało, po prostu nie mogła wyjść. Wszystko tam mieniło się kolorami, błyszczało i pachniało. Dotykała puszystych ręczników, zagranicznych kremów, płynów do kąpieli i mydeł. Nie mogąc oprzeć się pokusie spryskała ręce wodą kolońską i dopiero wyszła.

— Jak się pan czuje? — spytała sięgając w holu po żakiet.

— Wspaniale — odpowiedział uśmiechając się ciepło. — Jestem wdzięczny doktor Mokrzyckiej, że mi panią przysłała. Nie sądziłem, że studenci AWF-u są tak dobrze przygotowani.

— Nie wszyscy — roześmiała się. — Ja mam wyjątkowe zdolności.

— Po skończeniu studiów otworzy pani własny gabinet?

— Wątpię. Będę harować za grosze, tak jak w tej chwili. Wzięłam urlop dziekański, muszę zarabiać. Zresztą pod kierunkiem doktor Mokrzyckiej nauczyłam się więcej niż na wszystkich ćwiczeniach.

— Z taką urodą powinna pani występować w telewizji.

— Nie mam w tym kierunku żadnych zdolności, panie profesorze.

— Te, co występują, też ich nie mają, a co gorsza brak im również urody — roześmiał się pomagając jej włożyć żakiet. Odwrócił się gwałtownie i syknął z bólu.

— Oj! — pogroziła mu palcem. — Proszę uważać! Żadnych gwałtownych ruchów i skrętów. Powinien pan zrezygnować z gry w tenisa, z jazdy na nartach, no i z rock and rolla.

Profesor zapominając o swoim bólu roześmiał się dźwięcznie, oczy mu rozbłysły, patrzył na nią z dziwnym skupieniem, które Marcie wydało się nieprzyzwoite, nieco chyba za długo przytrzymał jej rękę, którą podała mu zamasztysem, zdecydowanym ruchem, ponieważ nie chciała, żeby ją ucałował.

— Ze wszystkiego — powiedział nie spuszczać z niej ciemniejących oczu — tylko nie z rock and rolla. — Zakołysał się lekko i ukłonem poprosił ją do tańca. Przytrzymała go za ramię i skarciła jak niesforne dziecko.

— Przede mną nie musi pan udawać bohatera. Trzeba się oszczędzać. Proszę pana... Ja muszę wyjechać na kilka dni. Nie wiem dokładnie, kiedy wrócę. Przysłać panu kogoś w zastępstwie?

— W żadnym wypadku. Będę czekał na panią.

— Zatelefonuję — uśmiechnęła się zdawkowo, wyciągnęła rękę po torbę i zarzuciła ją sobie na ramię. Po niewielkiej dawce alkoholu ogarnęła ją senność i zniechęcenie. Znów minął dzień, taki sam jak inne. Od szóstej rano na nogach w ciągłym pośpiechu, w napięciu, a do tego jeszcze zwątpienie — jak długo to potrwa? Kiedy się coś zmieni? Przystanąła na ulicy i obejrzała się. Dom pokrywał się nocą, jedynie w bocznym oknie, tam gdzie mieścił się gabinet profesora, tliło się nikłe światelko.

* * *

Udało się jej zdobyć miejsce przy oknie, usiadła wciskając siatki pod ławkę, chciała wyprostować nogi, zrezygnowała jednak z tego zamiaru. Mężczyzna, siedzący naprzeciwko spał pochrapując, a jego zabłocone kamasze i nieproporcjonalnie długie nogi zajmowały całą przestrzeń między ławkami.

Pociąg zahamował gwałtownie, z siatki wysypały się butelki, na szczęście nie poleciały daleko. Nogi śpiącego pasażera zatrzymały je.

Z jakichś irracjonalnych powodów pociąg stanął niespodziewanie w polu i tkwił w burym pustkowiu mazowieckiej równiny. Nie było semaforów, świateł, rozjazdów ani skrzyżowań, a on stał pogwizdując radośnie, a każdy gwizd rozpałał iskierkę nadziei podróżnych — może ruszy, pojedzie, może brzdęknie...

Wreszcie coś szcęknęło, drzenie przebiegło pod podłogą i na zmęczonych, niewyspanych twarzach pojawiły się uśmiechy.

— Jedziemy! — ktoś zatarł radośnie ręce. — Jedziemy! Jeszcze tylko dwie stacje, jeszcze, jeszcze — dopchała się z trudem do wyjścia i zgięta pod ciężarem dwóch siatek wyskoczyła na peron. Szybciej, szybciej — popędzała samą siebie, niespokojnym spojrzeniem odprowadzając uciekające promienie. Ogromne balony chmur zbierały się nad stacją, za chwilę któryś z nich pęknie i tryśnie fontanną deszczu, a ona musi przeciąć tory, minąć rząd zmurszałych drewnianych domków z powyginanymi dachami i drzwiami poskręcanyymi ze starości. Zawsze, przechodząc tędy dziękowała Bogu, że urodziła się nie tu, a dalej, w domu wcale nie pięknym

ani też bogatym, ale oddzielonym od szosy wałem niezbyt wysokich drzew i poplątanych krzewów oraz płotem, stojącym samotnie na skraju piaszczystej wydmy.

Dom sklecony byle jak w kilka lat po wojnie w ulubionym przez polskich architektów kształcie kostki cukru, z płaskim niefunkcjonalnym dachem, z najlichszych materiałów, nie doczekał się lepszych czasów, a co za tym idzie i tynku. Od częstych deszczów nasiąkał wilgocią i kruszał.

* * *

Pchnęła skrzypiącą furtkę i wchłaniała dobrze znany zapach młodych pokrzyw. Ciemne, gęste liście wdzięczyły się do słońca, które usiłowało przebić stalową pokrywę chmur. Zapiszczał przeżarty rdzą zawias przy furtce, drugi jęknął boleśnie i spadł w gęstą trawę; Marta przeczesła rękami najbliższy teren, ale nie udało jej się go odnaleźć. Zostawiła w spokoju furtkę, kiwającą się na naderwanym zawiasie i odsunęła z gniewem jedną z wielu cegieł wytyczających drogę do wychodka, wydostała spod niej klucz. Samotny zamek przy drzwiach wejściowych nie stanowił żadnej przeszkody dla złodziei, ale też żadnemu z okolicznych włamywaczy nie przyszło dotąd do głowy wdzierać się siłą do tak mało obiecującego obiektu. Dom składał się z dwóch niewielkich pokoi, ciasnej sionki i ogołoconej z zasłon i firanek kuchni z betonową podłogą. W kuchni jak i w pokojach znajdowały się jedynie najniezbędniejsze sprzęty, zniszczone meble pamiętające radosną twórczość z lat pięćdziesiątych, pralka „Frania”, telewizor „Tosca” z okresu propagandy sukcesu oraz lodówka „Śnieżka”, której pewnego dnia spodobało się zostać zamrażarką. W tej chwili była pusta i chyba z tego powodu wydawała groźne pomruki. Marta wrzuciła do niej margarynę słoneczną i dwa kilo słoniny, pootwierała okna, włożyła na siebie kusą, postrzępioną sukienkę i zabrała się do porządków. O trzeciej skończyła pracę i w zimnej wodzie pod pompą spłukiwała z siebie brud i zmęczenie, ale była zadowolona, podłogi w całym domu błyskały bielą, w kuchni na stole piętrzyła się góra mielonych kotletów, a z wysłużonego prodiża wydobywał się smakowity zapach ciasta. Nie skosztuje go już, a szkoda, musi się spieszyć. Przebrała się w dżinsy i trykotową bluzę, zerknęła w popłochu na zegarek.

— Znów go gdzieś poniosło — mruknęła do siebie i wyjrzała na drogę.

Od stacji szedł mężczyzna w drelichowym ubraniu, o zniszczonej twarzy i pokrywających się srebrem niegdyś jasnych włosach. W jego oczach, z których lata wysały błękit, pojawił się radosny błysk. Przyspieszył kroku.

— Popatrz na ten płot! — wrzasnęła Marta zamiast powitania. — Co to jest? Ruina, rudera, slums i cholera wie co. Żeby u ślusarza furtka trzymała się na jednym zawiasie? Wstyd i hańba! Kiedy ty wreszcie otynkujesz dom?

— Zrobi się, zrobi. Okoński obiecał załatwić cement. Wiesz, że normalnie nie można kupić?

— Wiem, wiem, ale nie przyjadę tu więcej. Krew mnie zalewa, gdy patrzę na to niedbalstwo.

— Nie przywitasz się z ojcem?

— Żebyś wiedział, że nie — nie przestawała się złościć. — Dlaczego jesteś taki niezaradny? Dlaczego inni budują solidne domy, a nasz ledwie trzyma się kupy?

— Inni mają pieniądze.

— Ty też byś miał... — Machnęła zrezygnowana ręką. Nie chciało jej się powtarzać ciągle tego samego. Podeszła do ojca i pocałowała go w nieogolony policzek. On przycisnął ją do piersi i trzymał chwilę w objęciach, pomrukując z zadowolenia.

— Dobre z ciebie dziecko, ty jedna nie zapominasz o starym ojcu.

— Nie jesteś stary. Nie opowiadaj! Musisz tylko dbać o siebie. Golić się, myć, odpoczywać i jadać regularnie...

— Byłaś u mamy?

— Zajrzałam po drodze. Krzyż trzeba wyprostować,

— Pójdę tam jutro.

— Jutro! — wybuchnęła. — Ciągle wszystko odkładasz do jutra... Inni na twoim miejscu mieliby przynajmniej forszę, a ty...

— Gdybym miał warsztat...

— To dlaczego nie masz?

— Ty ciągle z żałami...

— Nie, ale nie znoszę gdybania, to takie cholernie polskie, każdy byłby Rotszyldem, gdyby...

— Gdyby matka żyła, skończyłabyś studia...

— Nie martw się! I tak skończę. Niewiele mi zostało... Muszę już iść. Przyjadę w następną sobotę. Dbaj o siebie! — Pocałowała go w oba policzki i udając nadmierny pośpiech, wymknęła mu się z rąk. Rozmowa z ojcem zawsze psuła jej nastrój. Znowu te biadolenia, niemożność zrobienia czegokolwiek, odkładanie do jutra najprostszych czynności, niedbalstwo, nieumiejętność zorganizowania sobie pracy, narzekanie lub ucieczka w marzenia. — Pamiętaj o furtce i o płocie, bo następnym razem sprowadzę Kalinowskiego albo sama wezmę się za ślusarkę i będzie ci wstyd. Cześć!

— Masz rację, trzeba to zrobić — spuścił głowę i odwrócił oczy, które przybrały barwę okolicznych glinianek i zasnuły się mgłą.

— Cholera! — mruknęła — wszystko tu jest zasnuwane mgłą, niebo, łąki, cmentarz, pokrzywy i od lat nie strzyżony żywopłot...

— Dlaczego nie przyjedziesz z Pawłem?

— On jest zajęty, robi dyplom.

— Jeszcze go nie zrobił?

— Ma trudności, nie ma gdzie ćwiczyć, wiesz jak to jest. Uważaj na Jacka. Za często jeździ do Warszawy... Ucałuj go... — Teraz sama rzuciła się ojcu w ramiona i przywarła ustami do jego policzków, które kiedyś przed laty były prawdziwą ostoją, stwarzały złudne poczucie bezpieczeństwa, a teraz wywoływały złość.

— Idź już! Nasmażyłam górę twoich ulubionych frytek i kotletów. .. Ostygną. — Bała się, że za chwilę zaleje ją fala łez. — Przyjadę jutro z Pawłem... Postaram się w każdym razie.

Kłamstwo. Jeszcze jedno, z litości i nadmiaru uczuć, z którymi nie wiadomo co zrobić... Paweł nie lubi ojca i tego domu w kształcie kostki cukru. Więc nie przyjedzie. Ojciec spędzi kolejną niedzielę na cmentarzu, a wieczór przed telewizorem z zamazanym obrazem i wydłużonymi twarzami. Odkąd lekarz zabronił mu pić, stracił kolegów i najszczerszych przyjaciół. Nikt go nie odwiedza, nie zaprasza do siebie. Tu takie obyczaje, pijąc jesteś w gromadzie, wśród swoich, żyjąc trzeźwo — nudzisz się i pracujesz sam.

Samotność jest tu stanem normalnym. Każdy ją znosi pogodnie, zaciskając w ukryciu zęby. Nikt się nie skarży. Rozterki psychiczne są tu nieznane, nikt ich nie eksponuje, nie wspomina o nich pół słowem, więc może nie istnieją?

Marta odnalazła w trawie wyrwany zawias, położyła go na kamieniu.

— Szajs — ojciec splunął z rozmachem w tę stronę. Na nic więcej nie starczyło mu sił. Oparł się o furtkę i odprowadzał ją smutnym spojrzeniem pozbawionych koloru oczu. Przed przejściem przez tory odwróciła się, uniosła rękę. Ojciec stał bez ruchu wtopiony w rozwalający się płot.

* * *

Tym razem miała naprawdę szczęście, ledwie oparła się o słupek oznaczony na czubku literką A — nadjechał autobus z kilkoma pasażerami, drzemiącymi na pojedynczych siedzeniach. Usiadła przy wejściu i zamknęła oczy. Za czterdzieści minut, jak dobrze pójdzie, dotrze wreszcie do siebie.

Jutro niedziela. Będzie spać do południa. Niedziela — pomyślała z gorzką ironią. Odkąd pamięta, czekała na ten dzień z dreszczem niepokoju, z

nadzieją odnawiającą się jak ból w stawach, że coś się wydarzy, że świat ulegnie metamorfozie, załśni wszystkimi kolorami tęczy. Potem, kiedy ten upragniony dzień nadchodził, wstawała ociężała i zła i nie wiedziała, co począć, dokąd pójść i w ogóle co z sobą zrobić. W niedziele padały zazwyczaj deszcze, więc szła do kościoła. Rzadko jednak udawało jej się dotrzeć do końca modłów, wychodziła w trakcie nabożeństwa rozszalona i zła. Dzieci tych okolicznych chłopo-robotników, sklepowych, urzędników gminnych i drobnych rolników przychodziły do kościoła w butikowych ciuchach i patrzyły na nią z góry, z tą wyższością, o której się nie mówi, a którą się okazuje pogardliwym uśmiechem i brakiem zainteresowania. Bachory, zwłaszcza dziewczyny, śmiały się podczas mszy, gadały. Wychodziła więc, poprawiając na sobie trykotową bluzkę i szarą spódnicę z harcerskiego płótna. Ta spódnica miała ogromne kangurze kieszenie i to z ich powodu Marta nie zdejmowała jej prawie. W kieszeniach mieściło się wszystko, co trzeba, chustka do nosa, dropsy, drobne na tacę, bo nie wypadało nie dać, jakaś cienka książka i zeszyt z jej własnymi wierszami, które być może poniewierają się jeszcze na strychu albo, co bardziej prawdopodobne, skończyły swój żywot służąc ojcu za podpałkę, uleciały również z pamięci autorki, nie zostawiając po sobie żalu ani tęsknoty. Były to dziecinne wierszyki o chmurkach, o czystym niebie i o spadających gwiazdach, które mają podobno swój udział w spełnianiu się marzeń. W kościele oprócz bachorów denerwował ją ksiądz ze swoimi gadkami o miłości Bożej. Ani rusz nie mogła pojąć, o co chodzi, zawsze miała tysiące wątpliwości, a kiedy Bóg powołał do siebie jej matkę, zsyłając przed tym na nią straszną wyniszczającą chorobę, ostatecznie zwątpiła w jego miłość, przestała się nim zajmować. Ksiądz chodząc po kołędzie zapytał z pretensją w głosie, dlaczego nie widuje jej już w kościele. Bo się nie modłę — odpowiedziała patrząc mu w oczy. Przestałaś wierzyć? — przeraził się. Nie. To Bóg przestał się mną zajmować. Nie mam o to żalu, pewnie jest bardzo zajęty. Och, dziecko! Zbłądziłaś! Nie rozumiesz istoty Boga. On cię nie przestał miłować. Proszę księdza, on miłuje tylko niektórych, zresztą cóż ja? Ja się nie liczę. On nie kochał nawet własnego syna, skazał go przecież na męki, a swój wybrany naród posłał do pieca. Nie chcę takiej miłości. Nie chcę! — krzyknęła. — Niezbadane są wyroki Pańskie — westchnął ksiądz, wznosząc oczy do nieba. Machnął kropidłem, kazał jej zmówić „Ojcze nasz” i poszedł. W innych domach czekali na niego prawdziwi wierni z wodą święconą i datkami na budowę nowego kościoła. Przyrzekł jednak modlić się za nią i rozwiązać jej wątpliwości. Niech tylko zacznie przychodzić z

powrotem do kościoła. Oczywiście nie zaczęła. Niedziele spędzała w domu albo w ogródku, zależnie od pogody, marzyła i czytała.

* * *

Nie czując prawie ciężaru własnego ciała wleciała pędem na trzecie piętro. Przed drzwiami z dużą mosiężną plakietką uwieczniającą właścicielkę mieszkania przystanęła na chwilę i szukała klucza. Niestety, w dużej torbie-teczce z pewnością go nie było, wcisnęła więc przycisk i czekała. Dzwonek tępym warkotem wdarł się do dwóch dawno nie odnawianych pokoików i ciasnej kuchni zapchanej słojami i butelkami. Po dłuższej chwili w drzwiach ukazała się płaska twarz kobiety niechlujnie ubranej i niezadowolonej. Marta oderwała ją od obfitego i tłustego jada, pani Kiełbasińska jeszcze coś przeżuwała, a na jej owłosionej brodzie błyszczała tłusta plama. Małe oczka oblepione wałkami sadła ziały kipiącą lawą. Marta uśmiechnęła się przymilnie.

— Przepraszam. Zapomniałam kluczy.

Pani Kiełbasińska przełknęła ostatni kęs. Wrząca lawa zastygła na moment w jej oczach, skinęła głową. Gest ten miał oznaczać wielkoduszność i wybaczenie.

— Zawsze to samo. A rano pani mąż zostawił światło w łazience.

— Bardzo przepraszam.

Dwa wulkany przestały kipieć, oczka poruszyły się wolno, uwięzione w puchowatych wałkach, dostrzegły jednak torbę, a w niej bagietkę, makowiec w celofanie i kawałek sera.

— Co to? Przyjęcie pani wydaje?

— Ależ skąd. Jutro niedziela więc...

— Nie zgadzam się na żadne przyjęcia...

— Bardzo słusznie, bo ja nie mam zamiaru nikogo przyjmować.

W małych oczkach błysnęło szyderstwo, pani Kiełbasińska przeszła do pasa cienia i stamtąd — widać ciemność wyzwalała odwagę — rzuciła:

— Wczoraj u państwa do późnej nocy huczał telewizor, pani wie, ja cierpię na bezsenność. Do rana oka nie zmrużyłam.

— Przepraszam. W przyszłym miesiącu kupimy słuchawki.

— Akurat. Kupicie? Ciekawe za co? Wszystko drożeje z godziny na godzinę. Moja renta ledwie starcza na opłacenie świadczeń. W przyszłym miesiącu będę musiała podwyższyć komorne. Proszę to wziąć pod uwagę. Jeżeli nie, poszukam nowych lokatorów...

Marta nie odezwała się. Nie było potrzeby. Podwyższy to podwyższy. .. Ma rację... Ceny nie rosną, lecz galopują.

Gospodyni nie przejmując się milczeniem Marty zaczęła wyliczać: chleb drożał o pięćdziesiąt procent, mięso o...

— Przepraszam — udało jej się przemknąć przez wąski korytarzyk i wejść do niewielkiego pokoju zastawionego podniszczonymi meblami pani Kiełbasińskiej, wśród których wyróżniała się wersalka w kolorze

bordo. Zajmowała całą ścianę, obok stał okrągły stół, krzesła, naprzeciw szafa i serwantka z oszkloną górą, tej samej proveniencji, pełniąca rolę biblioteki. Nad wszystkim górował telewizor ustawiony na szafie, który w ten sposób demonstrował im swoją wyższość.

Pobieżny rzut oka na pokój upewnił ją, że Paweł nie pojawił się w domu od rana. Może poderwał jakąś chałturę? Byłoby nieźle. Inaczej klops, nie starczy do pierwszego, w żadnym wypadku, a tu jeszcze pani Kiełbasińska grozi podwyżką. Skąd na to brać? Rodzice Pawła zadłużyli się po uszy budując dom w Rzeszowie, jej ojciec jeszcze u niej pożycza...

A jednak czuła zmęczenie, usiadła i nie była w stanie przygotować sobie kanapki, ułamała kawałek bagietki i jadła czytając gazetę. Chyba przysnęła, ale usłyszała, jak Paweł poruszył klamką i wszedł, jak rzucił gdzieś kurtkę, a potem jak ukląkł przed nią i położył głowę na kolanach.

— Kocham cię — szepnął i ugryzł kawałek bułki.

— Jestem strasznie głodna — opadła głową na jego ramię, bułka wyleciała jej z rąk. Wczepiła się w niego rękami i całowała z takim żarem, jakby go spotkała po długiej rozłące.

Oboje milczeli uśmiechając się do siebie, nie potrzebowali zbyt wielu słów, nie mieli również ochoty zapalać światła, w gęstej ciemności ich bliskość była pełniejsza, ciała odnajdywały się łatwiej, w ustach odzywała się słodycz pierwszych pocałunków i szczęście stawało się uchwytnie, chociaż trwało tak krótko. U sąsiadów huknął dziarskim głosem telewizor. Paweł zapalił światło. Powrót do rzeczywistości był raczej przykry. Butne głosy telewizyjnych spikerów donośnym echem odbijały się od ścian i burzyły intymny świat wielu milionom ludzi.

— Włącz radio, może jakaś muzyka przebije tych bęcwałów. Paweł nacisnął klawisz.

— Przeżyłam z tobą tyle lat — zachrypiała gwiazda polskiej piosenki.

— Znajdź Ruskich. Oni przynajmniej nadają muzykę poważną.

— Coś ty taka nerwowa? Miałaś przykrości w pracy?

— Zrób mi herbaty. Nie jadłam obiadu. Wykańcza mnie ten pośpiech.

— Nie musiałaś jeździć do ojca.

— Czego jeszcze nie musiałam?

— Och. Nic. Za dużo pracujesz i w ogóle dajesz z siebie za dużo. —
Włączył czajnik i zaczął się ubierać.

— Nie grzeją — stwierdził dotykając kaloryfera.

— Przecież jest wiosna.

— Ale jest zimno.

— Co to ich obchodzi.

Wrócił do niej w szlafroku, ułożył się wygodnie. Marta zapaliła nerwowo papierosa, wypuściła dym i po parokrotnym przełknięciu śliny, wyrzuciła z siebie:

— Jestem w ciąży.

— Co? Masz pewność? — zgniótł ją w mocnym uścisku.

— Byłam u lekarza...

— A więc będę ojcem... Tak się cieszę! — radość biła mu z twarzy. —
Będę ojcem! — powtarzał ogłupiały. — Trzeba to uczcić! Wstawaj. Idziemy na wino.

— Masz pieniądze? — spytała przytomnie.

— Pożyczę od pani Kielbasińskiej.

— Zwariowałaś?

— No to od Jurka. Zaraz skoczę do niego.

— Daj spokój. Jestem zmęczona.

— Ale to trzeba uczcić. Taki dzień — rozumiesz? Najszczęśliwszy dzień w moim życiu — wziął ją na ręce, uniósł i trzymał tuląc do piersi.

— Puść, wariacie! Co ty wyprawiasz! — skarciła go. Roześmiał się i nie wypuszczając jej z rąk, wirował po pokoju wydając dzikie okrzyki i powtarzał z upojeniem:

— Tak się cieszę, jestem szczęśliwy, jestem dumny, jestem... — W końcu ulegając jej prośbom, postawił ją ostrożnie na podłodze i pocałował. — To będzie córka, na pewno — spostrzegł wreszcie jej ponurą minę. — Nie cieszysz się?

— Nie.

— Dlaczego?

— Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz? Czy tylko udajesz? Gdzie my się podziejemy z tym dzieckiem, no gdzie? Jej nawet telewizor przeszkadza.

— Znajdziemy coś innego.

— Za pięćdziesiąt dolarów? Twoje stypendium nie starcza nawet na jedzenie.

— To przestanę jeść.

— Nie lubię kiedy gadasz głupstwa. Co z tą herbatą?

— Gotuje się, tak, zaraz — doskoczył do okna. Na parapecie bulgotał czajnik elektryczny; szyby zachodziły parą.

Marta owinięta w szlafrok kąpielowy zwała się ciężko na krzesło.

— W poniedziałek idę na zabieg — oznajmiła nie patrząc na Pawła. Nalewając wodę do szklanki oparzył się w palec, przez chwilę dmuchał z przejęciem na bolące miejsce.

— Nigdzie nie pójdziesz — oświadczył stanowczo, wargi mu drżały, był bardzo blady i pocił się, mimo że nie grzały kaloryfery.

— Owszem. Pójdę. Umówiłam się z doktorem Chrzanowskim.

— Powiedziałem wyraźnie. Nigdzie nie pójdziesz — postawił z brzękiem szklankę na stole.

Wzruszyła ramionami, nic nie powiedziała, powinna się rozpłakać, tak byłoby lepiej, w każdym razie lżej, niestety łyzy uwięzły gdzieś pod czaszką i nie chciały czy też nie mogły przebić jakiejś strasznej zapory, wszystko dokoła zasnuło się mgłą, telewizor na szafie, miniaturowa lodówka i Paweł skamieniały i wielki na tle ciemnego okna. Pociągnął podejrzenie nosem. Czyżby jemu też zbierało się na płacz?

— Nie! — krzyknął zaciskając pięści. — Po moim trupie! Co ty sobie wyobrażasz, że pozwolę zabić to dziecko? Jesteś wierząca, prawda? Więc co? Co ty chcesz zrobić? Zastanów się!

— Od kilku dni nic innego nie robię, tylko się zastanawiam.

— A ja? Czy ja się nie liczę? Czy ja, jak każdy mąż muszę o wszystkim dowiadywać się ostatni? Czy ja nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia?

Patrzyła na niego z rozpaczą, gryzła palce i podtrzymywała nimi latający podbródek, w tej samej chwili spostrzegła, że jej usta stały się nagle ruchome, ale głos, który się z nich wydobywał, był suchy i twardy.

— Mów! Proszę — zwróciła się do niego z przyzwalającym gestem.

— To nasze dziecko, tak czy nie? Uśmiechnęła się drwiąco.

— Zadaję kretyńskie pytania. Wybacz, to nerwy. Wiem, że nasze, a skoro tak, odpowiadam za nie w tym samym stopniu co ty i nie pozwolę, nigdy w życiu... Słyszysz? — przełknął ślinę i nabrał powietrza. — Pierwszy raz jesteś w ciąży, ja po raz pierwszy poczułem się ojcem... Czy ty rozumiesz? Kiwnęła głową.

— Jeżeli tak, urodzisz to dziecko, ja tego chcę, żądam...

— Widzisz, ja rozumiem, wszystko jest dla mnie jasne, ale... ja nie chcę znienawidzić ciebie i jego, nie chcę tak dłużej żyć, nie chcę nikogo skazywać na takie życie... Nie mogę...

— Nie rób tego, błagam! Będziesz żałować!

— Ja już żałuję, ale nie mogę, nie mogę postąpić inaczej — jej głos był ciągle rzeczowy i suchy, ale z oczu płynęły palące łzy, przerwały wreszcie tę niewidoczną tamę i zalewały jej twarz, ręce... cały świat.

Paweł ukląkł.

— Błagam cię na wszystko co święte, na naszą miłość i przywiązanie, na nasze szczęście... Na...

Gospodyni zastukała do drzwi.

— Co się dzieje! — krzyknęła. — Walę w ścianę, a państwo nie reagują. Ma być cicho! Jest po dziesiątej.

Nikt jej nie odpowiedział. Z oczu Marty ciągle płynęły łzy. Paweł z poszarzałą twarzą gryzł paznokcie.

— Odejdę, jeśli to zrobisz — wychrypiał z rozpaczą. Podniosła na niego oczy pełne jadowego błękitu.

— Nie szantażuj mnie! — krzyknęła ze złością. — To nic nie zmieni. Wiesz, że cię kocham, że nie mogę istnieć bez ciebie, ale nie wymagaj ode mnie za dużo, bardzo cię proszę, nie wymagaj za dużo i przebacz mi, przebacz... — wyciągnęła ręce, chciała poczuć bliskość jego ciała, łaskotanie miękkich wąsów na twarzy, zanurzyć się w ten cierpko słodkawy zapach i na wszystko się zgodzić.

— W dupie mam taką miłość! — odtrącił brutalnie jej ręce i wybiegł z pokoju.

Duma i rozpacz nie pozwalały jej rzucić się za nim, padła wyczerpana na tapczan i z tęsknotą, przyprawiającą ją o ból serca, wzywała go do powrotu.

— Nie odchodź! Proszę cię, błagam — szeptała tuląc się do poduszki. — Urodzę to dziecko wbrew sobie i oddam je obcym ludziom albo twojej matce, tylko wróć, bardzo cię proszę. W poniedziałek zadzwonię do doktora Chrzanowskiego odwołani wizytę, powiem, że się rozmyśliłam... Zrobię wszystko, co zechcesz, zawsze będę cię słuchać. Jesteś dla mnie niebem i ziemią, codziennością i świętem, radością i smutkiem — a więc wszystkim, co pozwala mi żyć. Bez ciebie umrę, zamienię się w popiół. Usłysz moje wołanie i nie zostawiaj mnie samej. Zginę bez ciebie. Samotność jest wymyślną torturą, udręką duszy i serca, karą za grzechy, piekłem na ziemi.

Z okien od podwórza niosły się pijackie okrzyki i monotonne śpiewy: „sto lat, sto lat”. Co za kraj — zżymała się mimo ucisku w sercu, codziennie imieniny, świętowanie, wesela i wódka, pogrzeby i wódka, nie ma różnicy klęska czy zwycięstwo, porażka czy nagroda, ceremoniał zawsze ten sam, wódka, papieros i serdeczne Polaków rozmowy... Słysząc, że się żegnają, wyszli, skończyły się imieniny, przystanęli pod jej oknem i mamrotali: „Ja

cię Stachu, wiesz jak... Na mnie możesz liczyć, zawsze i wszędzie... I gdyby ktoś ten jeden palec na ciebie, ten jeden mały paluszek, to wiesz..."

O północy zrobiło się względnie cicho, a potem gdzieś nad ranem zaczęły się gody podwórzowych kotów. To nieprawda, że koty marczą, był koniec kwietnia, a one nadal obnosiły się ze swoim seksem, biły się, zagryzały na śmierć z powodu zapchlonych chudych samic. Marta wypaliła paczkę papierosów, czekając na Pawła, gdyby miała alkohol, zapiałaby się na śmierć. Dopiero rano, kiedy wreszcie udało jej się zasnąć, spłynął na nią cudowny spokój. Jeżeli szczęście jest spokojem, a kto wie czy nie, to była szczęśliwa wbrew i jakby na przekór temu, co przeżywała na jawie. Szybowała w przestworzach, kąpała się w ciepłym morzu, wiedząc, że nic jej nie grozi, była bezpieczna i nieśmiertelna, latała nad domami, nad cudownymi gajami pełnymi egzotycznych drzew, zatrzymywała się gdzieś na chwilę, by zerwać tryskający sokiem owoc i odlatywała do coraz piękniejszych krajów, do coraz cieplejszych mórz. Nie dręczył jej żaden niepokój, nie lękała się śmierci i nie myślała o Pawle, ani o tym, co wydarzyło się w ciasnym pokoju z warcząca lodówką na trzecim piętrze, pływała wśród raf koralowych i kochał ją książę.

Przebudzenie było okrutnie trzeźwiące jak skok do lodowatej wody, od razu jasność widzenia i pełna świadomość tego, co się stało. Pawła nie było. Przez dziewięć czy dziesięć godzin nie dawał znaku życia. Wtuliła głowę w poduszkę, zamknęła oczy, chciała wrócić do słonecznych wysp, do smukłych strzelistych palm i przeraźliwie czystego nieba i nie mogła. Nie mogła spać, ani płakać, czekać też nie. Gospodyni za ścianą trzaskała garami, autobusy na zakręcie, tuż pod oknem, wypływały ze swych wnętrzności sadzę i dym, czarna zawiesina niczym żałobny welon wsiąkała powoli w porozłupywany asfalt i ściany pełne starych i świeżych blizn. Leżała zastanawiając się, co robić z resztą dnia pozbawionego jasności i blasku. Czekać, umrzeć czy wyjechać. Wybrała to ostatnie. W szalonym pośpiechu, jakby się bała spóźnić na pociąg, wybiegła z domu.

Ojciec się jej nie spodziewał, odgrzewał usmażone przez nią kotlety, brat kopał piłkę z bandą oprychów, dojrzał ją z daleka i przybiegł cuchnący potem, ze strużkami brudu na twarzy, z rękami ubabranymi ziemią, mruknął „cześć” i usiadł przy stole. Marta z oczami pełnymi gniewu drgnęła nieznacznie.

— Czy w tym domu nie obowiązują już żadne zasady? — podniosła głos.
— Nawet u dzikich nikt nie zabiera się do jedzenia w takim stanie. Jazda

pod pompę — wypchnęła Jacka za drzwi. — Jak ty go wychowujesz? — naskoczyła na ojca. — Nie widzisz, jak on wygląda?

— Nie zauważyłem — bąknął ze wstydem. Od kiedy Marta zaczęła podnosić głos i traktować go jak tępego ucznia, czuł się kimś jeszcze nędzniejszym niż był. Popatrywał na nią znad talerza z rosnącym przerażeniem.

— Dlaczego się nie ogoliłeś? — spytała już trochę łagodniej. Uśmiechnął się bezradnie małymi oczami i potarł ręką siwy zarost.

— Nie wiedziałem, że przyjedziesz.

— Nie byłeś na pochodzie?

— Nie.

— Dlaczego?

— Od Czarnobyła nie chodzę. Nie mogę im darować, że wygonili wtedy ludzi z małymi dziećmi na ulice.

— Tych ludzi nie trzeba wyganiać. Oni sami leżą, gdzie trzeba i nie trzeba. Wtedy prosiłam, tłumaczyłam, żebyś nie chodził, nie usłuchałeś, bo ci z telewizji, lekarze, profesorowie... kurwa ich mać...

— Pokłóciłaś się z Pawłem?

— Właściwie to sama nie wiem, ale na to wygląda...

— Zostaniesz na noc?

— Tak. Zostanę... — odłożyła widelec i wybiegła na dwór. Jacek wycierał się ręcznikiem szarym od brudu. Zabrała mu podkoszulek i orzekła, że śmierdzi kożą. — Włóż czysty — powiedziała już bez złości. — Wpadnę w przyszłym tygodniu i zrobię wam pranie.

Wróciła do stołu i uśmiechnęła się do ojca, choć zbierało jej się na płacz.

— Zostanę — powtórzyła znowu, bo w tym momencie upór i zaciętość wzięły górę. Paweł jej nie rozumie, nigdy się o to nawet nie starał, lubił jej ciało, a duszą się nie przejmował, zresztą na dobrą sprawę kogo obchodzi dusza? Tutaj tak czy inaczej była wśród swoich, ojciec i brat to przecież rodzina, co by nie mówić, jest to rodzina, nieważne dobra czy zła, grunt, że jest... Brat patrzył na nią spode łba obcym złym wzrokiem, pewnie coś przeszkrobał i chciał to ukryć, nie podobała mu się surowość Marty a i to, że rządziła się w tym domu jak matka, a może bał się, że zapyta o szkołę, o tę samą szkołę, w której ona uczyła się dobrze, a gdzie on teraz zbiera dwóje.

Przy stole nakrytym białym obrusem czuł się nieswojo, nie umiał nawet jeść przyzwoicie, trzymał widelec jak łopatę i zgarniał nim ziemniaki i mięso do siebie, połykał je nie gryząc.

— Usiądź prosto i trzymaj widelec jak należy. I nie jedz tak łapczywie. Przecież mama uczyła cię jeść. Zapomniałeś? — spojrzała karcąco na ojca. On znów spuścił oczy. Zawsze i wszędzie czuł się winny.

— Powinieneś się ożenić — powiedziała z uśmiechem.

— Ja? — przestraszył się ojciec. — Co ty wygadujesz? Byłem już raz żonaty.

— Ale jesteś sam.

Brat nic nie powiedział, łypnął na nią ponuro.

— Potrzebny ci ktoś do prowadzenia domu. Inaczej obaj zginiecie marnie.

— Świetnie sobie radzimy — odezwał się wreszcie Jacek. — Zwłaszcza w szkole radzimy sobie doskonale. No, nie?

Jacek zamamrotał coś niewyraźnie i utknął nosem w talerzu. Marta mogłaby przysiąc, że bluznął ulubionym słowem Polaków na k... nie miała jednak stuprocentowej pewności.

— Coś ty powiedział? — zapytała suchym uprzejmym tonem.

— Nic — rzucił widelcem i zerwał się od stołu, a ojciec bezradnym uśmiechem i błagalnym spojrzeniem przywoływał go do porządku. Marta złapała brata za ramię i potrząsnęła nim z całej siły.

— Takiego zachowania wobec ojca i mnie tolerować nie będę. Zapamiętaj to sobie. A teraz siadaj i trzymając prawidłowo widelec, zjedz obiad! — Puściła jego ramię. Usiedli. Do końca obiadu nikt się nie odezwał. Jedli powoli z plecami na oparciach krzeseł, nie przeszkadzało im to jednak mlaskać i siorbać. Marta miała ich już serdecznie dosyć. Spojrzała na zegarek. — Dziękuję — powiedziała wstając. — Przepraszam, że nie pozmywam. Chciałabym zdążyć na pociąg o czwartej.

— Mówiłaś, że przenocujesz? — zdziwił się ojciec.

— Przepraszam, ale przypomniałam sobie, że mam ważne spotkanie w Warszawie. Nie mogę...

Ojciec skinął ze zrozumieniem głową.

— Kiedy przyjedziesz?

— Prawdopodobnie w sobotę, ale nie jestem pewna. Doktor Mokrzycka podrzuca mi ciągle nowych pacjentów. No to... — dotknęła ustami szorstkiego zarostu ojca i potargała Jacka za włosy. — Cześć łobuzie! — mruknęła ze śmiechem i pocałowała go w czoło. Na twarzy Jacka pojawił się płochliwy uśmiech, podobny do tego, który często gościł na twarzy ojca. — Może przejdiesz się ze mną na stację?

— Koledzy czekają. Beze mnie nie mogą grać. Jestem bramkarzem.

— Rozumiem. To idź, ale jak wrócisz przypomnij sobie, po co Pan Bóg stworzył mydło i wodę.

Ojciec odprowadził ją do furtki.

— Widzisz! — pokazał z dumą dwa nowe solidne zawiasy.

— Bardzo ładne — pochwaliła. — Ale ten płot... popatrz, jak się przechylił.

— O, to trudna sprawa. Trzeba dać nowe umocnienia, wkopać paliki, bo te całkiem spróchniały...

— Jesteś w stanie to zrobić?

— Tak, ale trzeba zdobyć...

— To zrób i nie wymyślaj trudności obiektywnych.

W domu zastała kartkę przypiętą do zasłony: „Pojechałam do ojca”, tę samą, którą wychodząc umieściła w najbardziej widocznym miejscu. Nikt jej nie zdjął i nie przeczytał, nikogo nie zainteresowała, ponieważ nikogo tutaj nie było. Wynajęty pokój, w którym gnieździli się wiele miesięcy i gdzie spędzili miodowy miesiąc, nic dla niego nie znaczył, przestał go obchodzić, zanim to się stało. Przestał być ostoją i domem, miejscem rozkoszy, czułych spotkań, gorących szeptów, które parzyły usta i wypalały niewidoczne rany na ciele...

Więc jestem tu sama, tylko ja i tak już będzie... zawsze.

* * *

Szpital to dla niej powszedniość, dzień jak co dzień. Różnica polegała na tym, że z przychodni mieszczącej się na parterze przeniosła się na piętro i teraz, zamiast zajmować się innymi, pozwala, by zajmowano się nią. Było jej dobrze, czytała, spała, objadała się smakołykami, słuchała radia. Wszyscy byli dla niej dobrzy i mili, a jednak bała się każdego dnia, który nadchodził.

— Śpisz? — ręka siostry Grażynki trąciła ją delikatnie w ramię — Doktor Chrzanowski stęsknił się za tobą.

— Już idę — sięgnęła po szlafrok i poprawiając włosy ruszyła długim korytarzem do gabinetu.

Doktor Chrzanowski z ciepłym uśmiechem podsunął jej krzesło.

— Wszystko w porządku, moja miła. Sądzę, że możemy wypisać panią do domu.

Pod wpływem jego głosu Marta rozluźniła się nieco, poprawiła na sobie kąpielowy szlafrok i uśmiechnęła się oczami.

— Jak samopoczucie?

— Świetne.

— Naprawdę?

— A może zaaplikować coś na uspokojenie? Niektóre kobiety wpadają w depresję. To duży stres, no i szok.

— Czuję się normalnie.

— Chciałbym, żeby tak było. To w ogóle cud, że zaszła pani w ciążę... Uprzedzałem, że cud może się nie powtórzyć.

— I bardzo dobrze, nie lubię cudów. Dziękuję z całego serca za wszystko. Jak pański kręgosłup?

— Czeka z utęsknieniem na pani rękę.

— Za tydzień zatelefonuję do pana. Jeszcze raz... — podała mu rękę. Doktor Chrzanowski przytulił ją po ojcowsku do swych szerokich piersi.

— Proszę jeść dużo i dobrze... Może potrzebna jakaś pożyczka?

— Nie, nie, dziękuję. Do widzenia panu.

Tym razem zmęczyła się idąc po schodach, stanęła w drzwiach i wycierała chusteczką twarz mokrą od potu. Nie, to chyba sen, fragment książki, którą kiedyś czytała albo scena z filmu oglądanego też dosyć dawno. Zapamiętała tę scenę, była taka jak ta, nie, tamte obce twarze nic ją nie obchodziły, a tu był on...

Ich wersalka była rozłożona do spania, tak jak ją zostawiła w poniedziałek, wychodząc z domu. Paweł spał od ściany, wtulony prawym uchem w jasek, obok dziewczyna bezwstydnie naga, wysunęła spod kołdry nogę zgiętą w kolanie, ramionami oplatała własne piersi, źle ufarbowane włosy w kolorze jajecznicy, których było zadziwiająco dużo, rozsypały się po poduszce jak frędzle, na ustach miała resztki marchewkowej szminki i perłowe paznokcie.

— Cholera! — wrzasnęła Marta. — Cholera jasna!

Żadne nawet nie drgnęło. Dziewczyna uśmiechnęła się błogo przez sen.

Marta znowu otarła pot z czoła, odsapnęła chwilkę i sięgnęła po krzesło, przysunęła do szafy, ale ledwie wspięła się na nie, ostry rwący ból odezwał się w podbrzuszu i zmusił ją do zmiany pozycji. Usiadła trzymając się za bolące miejsce. Ból minął nadspodziewanie szybko, oblewała ją tylko fala gorąca, jakby znalazła się nagle w rozpalonym piecu. Spróbowała jeszcze raz, czepiając się rękami ściany wdrapała się na krzesło i ściągnęła z szafy walizkę. Buty i jakieś ciężkie przedmioty spadły z łomotem na podłogę. Hałas obudził śpiącą parę. Dziewczyna zerwała się pierwsza, usiadła zasłaniając odruchowo piersi i zaczęła budzić szturchańcami Pawła. On nie od razu powrócił do realnego świata, najpierw tarł oczy, ziewał, potem przeciągnął się, wzdychał i nagle podskoczył jak oblany wodą i podbiegł do Marty.

— Daj! Pomogę ci — zawołał wyrywając jej walizkę. — Co ty wyprawiasz! Przecież nie wolno ci dźwigać.

Z wielkim trudem zsunęła się z krzesła. Zdawało jej się, że ten żar, który był w niej, roztopi ją i zamieni w ciecz w ciągu sekundy. Usiadła na brzeжку krzesła niczym skromna petentka.

— Jak się czujesz? Zaraz zmienię ci pościel. Musisz się położyć. Nie wyglądasz najlepiej. Zrobię ci herbaty. Jesteś głodna? — pytał zatroskany.

Był blisko, tuż obok, dotknął jej nagim ramieniem, chyba nawet chciał ją pocałować i cofnął się zawstydzony. W tej sytuacji czułe gesty jemu też wydały się nie na miejscu. Należało zająć się czymkolwiek, wrzucił więc walizkę z powrotem na szafę, chyba dopiero teraz spostrzegł, że jest nagi, zmieszał się i zaczął rozglądać się za czymś do ubrania. Dziewczyna włożyła jego szlafrok i od razu poczuła się pewniej.

— Przepraszam — usiłowała uśmiechnąć się do Marty. — Wcale mi na nim nie zależy. Wczoraj jeden z naszych kolegów dostał nagrodę. Spiliśmy się jak koty. Nawet nie pamiętam, jak tu trafiłam i czy coś między nami było.

Marta skwitowała jej wypowiedź milczeniem.

— Cholera! — Rozzłościła się dziewczyna. — Idiotyczna sytuacja. Nigdy mi się nic takiego nie przytrafiło. To nie w moim stylu. Nie myśl, że jestem taka.

Marta nawet na nią nie spojrzała, podnosząc się z krzesła nie czuła już tego obezwładniającego ją żaru, powoli odzyskiwała siły, spojrzała na szafę i przestała interesować się walizką, odnalazła swoją torebkę, z którą przyszła, zarzuciła ją na ramię i przesunęła się do drzwi.

— Zrób coś! Nie pozwól jej odejść! — wrzasnęła dziewczyna i położyła rękę na klamce.

Marta odczekała spokojnie, aż ją stamtąd zabierze.

— No, rusz się! — Dziewczyna nie przestawała krzyczeć na Pawła. — Nie stercz jak idiota!

Paweł uśmiechnął się z rezygnacją i wzruszył ramionami, co miało pewnie oznaczać, że nic nie może zrobić, ale pod naciskiem piorunujących spojrzeń dziewczyny i krzyków powiedział do Marty:

— Przestań się wygłupiać! Zostań!

Jego prośba zabrzmiała widać mało przekonująco, bo Marta wysunęła się do przedpokoju, gdzie w szparze drzwi sterczał nos gospodyni, stamtąd trzymając się ściany wyszła na klatkę schodową, potem na podest i tam czekała łudząc się, że on wybiegnie, zawoła ją, zatrzyma siłą, skrzyczy,

zwymyśla, zapłacze, powie jakieś głupekstwo czy banał, no w ogóle coś zrobi. Niestety, nie zdobył się na nic, gdzieś w pobliżu trzasnęły drzwi i dziecko rozdarło się przerażającym płaczem, który zagłuszył inne dźwięki.

* * *

Po godzinie, kiedy dotarła na Koło i szybkim krokiem zmierzała do obskurnego nowoczesnego bloku, miała już suchą twarz i oczy bez wyrazu, które nie zatrzymywały się na niczym i na nikim. Weszła na klatkę schodową i usłyszała znajomy głos, postarała się więc wtoczyć w swe rysy odrobinę beztroski i pogody.

— Hej! — zawołała, witając uniesioną ręką siostrę, która wychodziła z dwójką dzieci na spacer. Dziesięciomiesięczna dziewczynka wychylała się z wózka, druga — trzyletnia, czepiała się matczynej ręki, spod rozpiętego płaszcza Renaty wylaniał się okazałych rozmiarów brzuch. Przystanąła zdziwiona, dopiero po chwili ruszyła do siostry.

— Patrzcie! Kto przyszedł! — powiedziała do dzieci, szeroko rozwarła pulchne ramiona i otoczyła Martę swym ciepłem.

Starsza Marzenka poznała ciotkę i śladem matki runęła do przodu, przewróciła się na schodach i przez chwilę zastanawiała się czy warto zapłakać, czy puścić ten drobny incydent w niepamięć, załkała cicho bez przekonania, za to młodsza uderzyła w krzyk. Renata nie zwracała uwagi na dzieci, całowała i obejmowała siostrę.

— Urwałaś się z pracy? — spytała nie przestając jej obejmować.

— Jestem na chorobowym.

— Więc jednak zrobiłaś to? — przeraziła się Renata.

Marta skinęła głową i oparła się o ścianę. Znowu fala afrykańskiego żaru idąca od środka zrosiła ją potem, ściana odsunęła się od niej.

— O Boże! — Renata podparła ją mocnym ramieniem i, pchając drugą ręką wózek, wprowadziła do niewielkiego mieszkania, ułożyła na tapczanie, pootwierała okna, przyniosła wodę mineralną i nalewkę z czarnej porzeczki.

Marta wypila jedno i drugie, uśmiechnęła się do siostry.

— No jak, lepiej? Potwierdziła oczami.

— Może wezwać pogotowie?

— Daj spokój! Zmęczyłam się jadąc tutaj. Wszystko OK. Naprawdę.

— Co na to Paweł? Dlaczego wypuścił cię z domu w takim stanie?

— Rozchodzimy się.

— Szkoda. Chociaż czy ja wiem? On jest jakiś dziwny. I ten jego fagot. Nie znam nikogo, kto by wiedział, co to jest? Zrobił wreszcie ten dyplom czy nadal harujesz na niego?

Marcie nie chciało się odpowiadać. Zamknęła oczy z jednym tylko pragnieniem: zasnąć i nie obudzić się więcej. Renata o nic już nie pytała, utuliła ją, wycalowała, jakby była jednym z jej dzieci i wyszła na palcach. Marcie udało się zasnąć. A we śnie znów była lekka, pozbawiona cielesnej powłoki, leciała nad lasem i nad polami pyszniącymi się świeżą miękką zielenią. Nie miała skrzydeł ani lotni, wystarczała jej siła woli. Pod nią ziemia zmieniała szaty, raz była niebieska, raz żółta i złota. Marta w podniosłym nastroju lubowała się jej pięknem, czuła swoją siłę i nagle rozplakała się, łzy niczym sople skapywały na drzewa i spowodowały nagłe osłabienie woli, zaczęła tracić siły, opadać. To był straszliwy pech, zorientowała się bowiem, że ściga ją szajka płatnych morderców. Lecieli za nią na jakiejś piekielnej maszynie, strzelali. Poderwała się znów do lotu, ale nie czuła w sobie już tej lekkiej zwiewności, udało jej się jednak wzbić ponad las i fruwać przez chwilę, przycupnęła na jakimś drzewie, żeby odpocząć i przygotować się do następnego lotu, gangsterzy spostrzegli, że słabnie, uruchomili silniki, byli coraz bliżej... Wiedziała, że nie ucieknie, ale nie poddawała się, postanowiła napiąć mięśnie i skupić się, przede wszystkim musiała się skupić, wiedziała, że wola, podobnie jak wiara czyni cuda...

Och! Co za ulga! Poruszyła się, już nie spała. Siadając na tapczanie zobaczyła utkwione w siebie oczy Marzenki nasycone ultramaryną i nieproporcjonalnie wielkie. Małe ciepłe paluszki musnęły ją w ramię.

— Nie śpisz?

Marta roześmiała się. Rzeczywistość mimo wszystko była lepsza niż sen. Dziewczynka rzuciła się z piekielnym wrzaskiem do drzwi.

— Mamo! Ciocia nie śpi. Mamo! Czekolada! Mamo!

Marta przetarła oczy. Dziecięcy wrzask, który tyle razy ją denerwował, brzmiał teraz raczej przyjemnie, w każdym razie nie ranił uszu. Po chwili do pokoju wkroczyła Renata, opierając o brzuch tacę z trzema filiżankami dymiącej czekolady. Jedną dostała Marzenka.

— Nie mogła się doczekać, kiedy się obudzisz — powiedziała Renata, głaszcząc córkę po głowie.

— Z powodu czekolady?

— Jasne.

— Który to miesiąc?

— Piąty.

— Jak wy się pomieścicie w tych dwóch dziuplach?

— Zdzicho chce syna.

— A jak urodzi się córka?

— Trzeba będzie próbować jeszcze raz.

— Jeszcze raz? Zwariowałaś? Ten twój idiota chce utrzymać taką rodzinę z jednej szoferskiej pensji?

— Jakoś to będzie.

— Jakoś, jakoś. Nienawidzę tego słowa. Trzeba żyć ciekawie, dobrze, przyjemnie...

— Ty żyjesz?

— Nie. A wiesz dlaczego? Bo byłam głupia, głupia, ale już zmądrzałam i właśnie będę żyła ciekawie, dobrze, przyjemnie...

— Ja w ciebie wierzę.

— A ja nie. Straciłam wiarę. Stało się to dzisiaj, a może w sobotę, a może jeszcze wcześniej... W każdym razie straciłam wiarę, ale ją odzyskam. Muszę, nie mam alternatywy... — Odstawiła filiżankę po czekoladzie. — Dobrze było. Podaj mi spódnicę. Pójdę już.

— Zwariowałaś? Dokąd? Zostań!

— Nie zniosę współczujących spojrzeń twojego męża. Pojadę do domu.

— Zostań tu. Leż! Odpoczywaj! Zdzicho pojechał do RFN, Austrii i Włoch. Nie wróci wcześniej, niż za dwa tygodnie.

— W takim razie zostanę.

* * *

Leżenie w łóżku to swoista forma istnienia, mniej aktywna, mniej bolesna, lecz nie mniej tragiczna. Jak długo to trwa? Tydzień, dziesięć dni, miesiąc? Nie, chyba krócej. Zdzicho miał wrócić za dwa tygodnie, a jeszcze go nie ma. Okno zasłonięte, półmrok, który nie działa wcale kojąco, drobiny rozproszonego światła pojawiają się, gasną niczym stada robaczek świętojańskich. Miasto ze swoim rozbieganiem, kurzem, błotem, z brzydotą i udręceniem, które zbliża nas powoli do piekła, nie nęciło jej wcale, zdawała się nie pamiętać, że gdzieś tam za cienkimi szybami, w odległości kilku kroków toczy się życie, niezbyt miłe, dalekie nie tylko od doskonałości ale i normalności, a jednak życie. Słuchała muzyki z płyt na złym adapterze, taśm, których naprzywoził Zdzicho ze swych szoferskich wojaży. Radio Zdzicha łapało wszystkie stacje dalekie i bliskie, selekcjonowało szumy, zgrzyty i gwizdy, zostawiało tylko jeden jedyny zgrzyt w sercu. Muzyka zbliżała ją do niego, zbliżała i oddalała, to tak jak z tymi wzlotami w snach, po których następowały upadki, tutaj też, po chwilach zbliżenia — przychodziły bolesne rozłąki, paliła świadomość, że jego nie ma, pozostał

natomiast jego język, dziwna mowa kółeczek i kresek na pięciolinii, abstrakcyjne wzory, które kochał może nawet bardziej niż ją.

Renata wysłana na przeszpiegi do pani Kiełbasińskiej przyniosła niedobre wiadomości. Wyjechał. Na kilka tygodni przed egzaminem. Nie powiedział dokąd, nie zostawił listu, kartki, jednego chociażby słowa, niczego nie zabrał, nawet jej zdjęć, notatek, naiwnych wierszyków, pisanych do niego. Wyrzucił je jak zbędny balast. Zostawił nawet Chopina, ulubione koncerty jej i jego. Dlaczego to zrobił? Dlaczego zostawił właśnie te płyty? Czyżby chciał, żeby go pamiętała z tej najlepszej strony? Niech na to nie liczy. Ona ma dobrą pamięć, ale i zdolność zapominania też nie najgorszą.

Renata uciszała dzieci, gotowała rosoly i zupki jarzynowe, przynosiła je do łóżka na metalowej tacy w ordynarne jaskrawe kwiaty pytając niezmiennie: — Powiedz, na co masz ochotę? Zrobię gołąbki, chcesz? A może knedle z mrożonymi śliwkami? Kiedyś bardzo lubiłaś knedle. A może zjadłabyś pierogi z kapustą i grzybami?

Marta nie miała na nic ochoty, była po prostu chora i tej choroby nikt nie potrafi uleczyć, jeszcze jak dotąd nikt nie wymyślił lekarstwa na miłość. Każdy dzień był agonią i umieraniem. Sen nie przynosił już ukojenia, ponieważ nie mogła spać, łykała prochy i zrywała się po dwóch godzinach zmęczona majakami, leżała do rana w ciemnościach nie chcąc budzić siostry i dzieci. Czasem spała w dzień, też niezbyt długo, budziła się obolała, bez sił, przerażona świadomością, że jeszcze żyje, choć tak bardzo pragnęła umrzeć.

Renata miotała się między niewielką ślepą kuchnią a pokojem, gdzie huczał telewizor, rozmawiała z kimś w przedpokoju, wreszcie zjawiała się z kawałkiem ciasta na talerzu, postawiła je przed Martą, naląła herbaty z termosu.

— No, jak ty się czujesz? Może jednak wezwać lekarza?

— Lepiej, już lepiej.

— A tu takie zmartwienie, sama nie wiem co robić... Ojciec nic o tym nie wie. Nie chcę go denerwować, z tym jego sercem nic nie wiadomo, a ten gnój wiesz, co zrobił? Podprowadził piętnaście tysięcy!

Marta odstawiła filiżankę z herbatą.

— Co ty mówisz? Nic nie rozumiem.

— Bo nie słuchasz... Ciągłe tylko myślisz o sobie, a nasz Jacek ukradł mojej teściowej piętnaście tysięcy złotych.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Jesteś tego pewna?

— Tak. Nikogo prócz niego nie było. Pieniądze leżały w szufladzie. Teściowa dostała rentę, dwadzieścia tysięcy, pięć tysięcy miała w torebce, a piętnaście w szufladzie. Z torebki nic nie wziął.

— Zabiję go! — Marta zerwała się z łóżka, zrzuciła ciasto, rozlała herbatę. — Gdzie moje rzeczy?

— W szafie, w przedpokoju. Zaraz, zaraz, co ty chcesz zrobić? — przeraziła się siostra.

— Powiedziałam wyraźnie. Zabiję skurwysyna.

— Nie obrażaj naszej matki.

— Przepraszam... Daj mi parasol. Widzę, że pada. Która to godzina? Gdzie moja torebka? Podaj mi rozkład jazdy!

* * *

Gdyby dziesięć furii wpadło do niewielkiego domku w kształcie kostki cukru, nie zrobiłyby większego spustoszenia, niż uczyniła to nie dźwigająca się z łóżka od kilku dni Marta. Niczym baśniowa wiedźma przeleciała przez tory, minęła niepostrzeżenie szereg pozbawionych wszelkich proporcji domków z pustaków, łąkę z kępkami jaskrawo żółtych kaczeńców i nie zwalniając tempa pomknęła piaszczystą drogą do furki kołyszącej się dumnie na dwóch solidnych zawiasach. Jacek, niczego nie podejrzewając, podejmował kolegów winem w większym pokoju. Otworzył kolejną butelkę bełta i miał zamiar dolać do szklanek, odwrócił się słysząc trzask otwieranych drzwi i cofnął przerażony. Marta z oczami pełnymi ognia, rozczochrana i blada z nadludzką wprost siłą chwyciła za kołnierz miejscowego osiłka i jak zbędny przedmiot wystawiła go za drzwi, następnie złapała dwóch niezbyt rozgarniętych chłopaczków za włosy i zrobiła z nimi to samo, ostatniego, który w dzikim strachu rzucił się na oślep przed siebie, popchnęła na ścianę, nie musiała go już wyrzucać, sam się wytoczył... Jacek, widząc co się dzieje, odstawił butelkę i wczepił się w krzesło, w nim szukając ratunku. Nic to nie dało, Marta była chyba w zмовie z nieczystymi siłami, przeniosła go wraz z krzesłem do komórki i zamknęła na klucz. Dopiero wtedy rozejrzała się po placu boju; straty nie były zbyt duże: ograniczały się do rozlanego wina, zmoczonych nim ciastek i dwu rozbitych szklanek, nie mówiąc o poplamionym obrusie, który przykrywał stół od owej pamiętnej niedzieli, kiedy to Marta wyzbywając się złudzeń spożywała obiad w rodzinnym gronie.

Wylała wino do kubła, ale nie miała ochoty sprzątać ze stołu, więc go zostawiła w okrucieństwach szkła, otworzyła szafę znajdującą się w mniejszym

pokoju i gorączkowo czegoś szukała. Znalazła wreszcie wytarty i zniszczony pasek ojca z grubej skóry, który służył mamie za ostatni, niepodważalny, rzadko jednak używany argument, weszła do komórki i powiedziała cicho:

— Oddaj pieniądze!

— Jakie pieniądze? Czego ty się czepiasz — zaskowyczał żałośnie Jacek.

— Wszystkie przepuściłeś? Zaprzeczył.

— Ile ci zostało?

— Dwanaście z groszami.

— To dawaj!

Nie patrzyła, jak wytrząsał z kieszeni drobne, kładł je na półce obok słoje z dżemem i ogórkami.

— A teraz wyjdź stąd!

Usłuchał od razu, wskoczył do sieni i znalazł się w mętym świetle deszczowego dnia. Na szybach siedziały brzuchate krople, które Marcie przypominały łyżki.

— Wejdź do pokoju — powiedziała jeszcze ciszej niż przed chwilą, otworzyła mu drzwi i wsunęła się za nim.

— Kładź się — wskazała tapczan, a sama patrzyła w okno bez firanek i myślała, że trzeba będzie przetrzeć niezwłocznie szyby, ojciec nie powinien oglądać świata przez zacieki i kurz.

Jacek dopiero teraz zauważył pasek w jej ręku.

— Coś ty, coś ty — zapiszczał płaczkliwie — przecież oddałem wszystko co do grosza...

— Nie o to chodzi, wiesz dobrze, że nie o to. Kładź się — uniosła rękę, jej nieobecne spojrzenie zatrzymało się na portrecie rodziców. Matka, piękna dziewczyna o pełnych zmysłowych ustach, patrzyła na nią wielkimi oczami. Ojciec ze źle zawiązanym krawatem i w marynarce w prążki salwował się bezradnym uśmiechem, w oczach miał lęk. Zawsze się czegoś bał. Może pięknej żony, a może nocy poślubnej i tych wszystkich dni, które miały przynieść zwątpienie, choroby, niedostatek, a tylko bardzo rzadko drobiny radości i śmiechu.

Jacek po każdym uderzeniu przysuwał się do ściany, jakby w portrecie rodziców, który tu wisiał, szukał ratunku. Marta waliła bezlitośnie złożonym podwójnie pasem, czekając na jakiś akt skruchy, ale on był jak z kamienia, nieczuły i obojętny. Nie wydał najmniejszego jęku, nie podniósł głowy i nic nie powiedział, dopiero gdy Marta upuściwszy rzemień runęła z płaczem na tapczan, odsunął się od niej ze wstrętem, sturlał się tak przemyślnie z

tapczanu, żeby jej nie dotknąć, poprawił sweter i rzucił się do drzwi. Po chwili jego szybkie kroki zadudniły przed domem, pisnęła żałośnie furka.

Kiedy późnym wieczorem wróciła do siostry, dzieci już spały, a Renata drzemała przed dogorywającym telewizorem. Marta położyła piętnaście tysięcy na stół.

— Odniesiesz to jutro swojej teściowej.

— Nic nie wydał? — zdumiała się Renata.

— Nie zdążył.

— A jak się tłumaczył?

— Idiotycznie.

— Może ty pojedziesz to teściowej?

— Nie. Ja zostanę z dziećmi.

— One się ciebie boją...

— Nie zrobię im krzywdy.

— Wiem. Jacek też się ciebie boi.

— Już nie. A szkoda. Zmarnuje się chłopak.

— Och! Nie wywołuj wilka z lasu. Zawsze za dużo widzisz.

— Nie. Widzę tylko to, co jest. Nic więcej. Gorzej, że nic nie mogę zrobić, ty też nie możesz nic zrobić, on już zdecydował... To moja wina. Popełniłam błąd, nieświadomie, niechcący, ale popełniłam.

— Jaki znów błąd? Co ty opowiadasz?

— Rozplakałam się, kiedy go biłam, a tego nie należało robić. Jacek przestał się ze mną liczyć, w tym momencie straciłam nad nim przewagę, rozumiesz? Okazałam mu swoją słabość, on jest w takim głupim okresie, że imponuje mu siła. Zgrywa się na cholernego twardziela... A może rzeczywiście jest twardy... — Machnęła ręką. Siostra słuchała jej wywodów z niepewnym uśmiechem i przewracała oczami, nic chyba z tego nie rozumiała.

* * *

Po obiedzie, zjedzonym tym razem przy kuchennym stole wraz z Renatą, piła kawę z fusami, zaparzoną polskim zwyczajem w szklance.

— Nie masz sitka? — zwróciła się do Renaty.

— Tak, tak — siostra zerwała się, przewracając płaczącą się pod nogami Marzenkę.

— Nie możesz parzyć w jakimś tygielku i cedzić, albo w termosie? Wtedy fusy opadną.

— Masz rację, przepraszam — siostra z cierpliwością świętej znosiła jej humory.

— Jaki dziś dzień? — spytała Marta nie dowierzając ściennemu kalendarzowi, który wisiał na wprost.

— Wtorek.

— Wtorek? — powtórzyła z nagłym ożywieniem. — Powiedziałaś przez telefon, że przyjdę we wtorek?

Renata z poczuciem winy skinęła głową.

— Och! Muszę się pospieszyć.

Zostawiła siostrę wraz z jej fusami w kuchni, zamknęła się w łazience i wśród porozwieszanych rzędami pieluch opłukała się pod prysznicem, umyła włosy i suszyła je wyciskając w ręcznik, ponieważ Renata nie dorobiła się suszarki podobnie jak wielu rzeczy potrzebnych do normalnego życia, za to rozmnażała się z podziwu godnym uporem, skażonym brakiem wyobraźni, a kto wie czy nie rozumu. W popękany lusterku, zainstalowanym tu jeszcze przez babcię Zdzicha, po której dzielny kierowca odziedziczył mieszkanie, ukazała się dziwnie blada i subtelna twarz Marty, ale ta straszna choroba, którą wciąż czuła w piersiach, nie wyrządziła większych szkód jej urodzie. Straciła parę kilo, to dobrze. Nadmiar tłuszczu nikogo nie upiększa. Przezroczystość cery to żadna wada. Od czego jest chemia? Odrobina różu nadała policzkom świeżości, jednak rzęsy z wypłowiałą henną wymagały staranniejszych zabiegów, malowała je długo granatowym tuszem, aż nikły błękit jej oczu ożywił się i pociemniał, poza nim wszystko w niej było jasne, włosy, brwi i spojrzenie, które dopiero niedawno utraciło blask. Jeszcze raz obejrzała się w lustrze i stwierdziła, że nie jest źle. Była ładna, nawet bardzo ładna, mówili jej o tym pacjenci, koleżanki z pracy, a nawet szwagier, który nie darzył jej zbyt dużą sympatią, a przede wszystkim mężczyźni, ich drapieżne spojrzenia były niezawodnym testem na urodę, zaczepiali ją na ulicy, proponując spacer lub kawę, inni — bardziej bezczelni a pewnie i bogatsi — pieniądze. Odprawiała wszystkich ze śmiechem i tylko czasem, gdy któryś stawał się zbyt nachalny, mówiła: — Nie ma pan takich pieniędzy, proszę odejść, ja jestem za droga... Nikt nie zaproponował jej sumy, która byłaby więcej warta niż Paweł, a teraz, kiedy go nie ma, nikt w ogóle niczego nie proponuje. W tych rozpadających się blokach, gdzie mieszka Renata, dziewczyny nic nie kosztują.

Z głębi mieszkania doleciały znowu krzyki i płacz. Obie siostrzenice działały Marcie na nerwy.

— Cicho! — wrzasnęła, wyskakując na wpół ubrana z łazienki. Potrząsnęła wózkiem z ryczącym maleństwem, któremu wtórowała

Marzenka, rozmazując czekoladę po twarzy. — Renata! Zrób coś z nimi, bo zwariuję.

Renata zgasiła ogień pod kipiącą zupą i ze ścierką w ręku wypadła do przedpokoju. Marzenka dostała klapsa i umilkła, młodszą udało się zadowolić smoczkiem, wózek powędrował za szafę.

Marta już zapomniała o dzieciach.

— Cholera! — miała w ręku niemodny sweter. — Nie mam się w co ubrać. Całe życie ten sam problem.

— Bierz, co chcesz! — Renata otworzyła szafę. — Ja się już w nic nie mieszczę.

— Naprawdę? Mogę? — ożywiła się Marta. Zaczęła grzebać w szafie, przymierzać ciuchy, wreszcie zdecydowała się włożyć popielatą bluzkę z lejącego się miękkiego materiału i stalowe spodnie z madery. Pożyczyła również od Renaty czarne pantofle i płaszcz, kupiony przez Zdzicha na wyprzedaży w RFN.

Renata popatrzyła na nią z zachwytem.

— Zawsze byłaś ładniejsza ode mnie — powiedziała bez żalu — a teraz jesteś piękna. He lat ma twój profesor?

— Coś koło setki.

— A na ile wygląda?

— Na sto pięćdziesiąt.

* * *

Ta kapryśna, znacznie spóźniona wiosna, działała destabilizująco na profesora. Nie mógł pracować, czuł się rozbity, nikomu niepotrzebny. Zadzwoił do syna i udzielił mu kilku bezsensownych rad. Chłopak się zdenerwował, trzasnął słuchawką, zreflektował się jednak po chwili, zatelefonował i przeprosił ojca. Umówili się na obiad następnego dnia.

Duży i ponury salon wypełnił się metalicznym dźwiękiem. Stary zegar wybił pięć uderzeń i zamilkł.

— Jeszcze godzina — westchnął profesor — żeby się tylko nie spóźniła. Żałował, że nie wyjechał po nią. Czekanie tu w pustym domu było męczące. Pociły mu się ręce. Krople rosy wystąpiły na czole, wytarł je chusteczką i sięgnął po fajkę. Naprawdę zachowuję się idiotycznie — powiedział do siebie i podszedł do lustra. Czy to nie przesada? Kraciasta kamizelka, fantazyjna chusteczka na szyi... — Skropił dłonie wodą kolońską.

Zadzwoiła o osiemnastej. Punktualna jak zwykle, nawet po dłuższej przerwie spowodowanej chorobą nie spóźniła się ani o minutę.

— Dzień dobry — powiedziała, wkraczając leciutkim krokiem do holu. Profesor zaniemówił z wrażenia. Subtelna uroda Marty jaśniała melancholijnym blaskiem, smutek czynił ją bardziej sublimowaną. Uśmiechnął się niepewnie wychodząc jej na spotkanie.

— Jest pani jedyną osobą, która pięknieje podczas choroby — musnął ustami jej rękę.

— A może to pan patrzy na mnie zbyt łaskawym spojrzeniem?

— To też — nie przestawał się uśmiechać.

— Jak pański kręgosłup?

— Nieco lepiej.

— Proszę się rozebrać!

— Przejdźmy do sąsiedniego pokoju.

Profesor uchylił drzwi i Marta oniemiała ze zdumienia.

W pokoju było pełno kwiatów, w kilku starych lichtarzach paliły się świece, stół był pięknie nakryty na dwie osoby, szampan chłodził się w srebrnym naczyniu.

— Jak w kinie — orzekła wycofując się.

— Nie zje pani ze mną kolacji?

— Przejdźmy do pańskiego gabinetu! Proszę się rozebrać!

Z niezwykłą powagą narzuciła na siebie biały fartuch, posypała dłonie talkiem.

— Proszę się rozluźnić i myśleć o czymś przyjemnym albo o kimś.

— Pani jest jedyną osobą, o której myślenie sprawia mi przyjemność.

— Nie jesteśmy na bezludnej wyspie.

— Właśnie w tej chwili chciałbym być na bezludnej wyspie. A pani?

— Ja nie. Ja lubię ludzi, ruch, życie w wielkim mieście, sklepy, neony, kawiarnie. Wie pan, codziennie żałuję, że Warszawa nie jest wielkim miastem.

— Jak większość młodych ludzi myśli pani o wyjeździe za granicę?

— Proszę pana! Pojechać to ja mogę, ale do Świdra albo do Otwocka. Na dalsze wyprawy mnie nie stać. A czy jest sens jechać do Świdra albo do Otwocka?

— Zepsułem pani humor tą propozycją kolacji?

— Dlaczego? Chętnie zjem coś dobrego. Widziałam łososa, a nie jadam go zbyt często, powiedziałabym, że wcale... Kiedyś kupiłam dziesięć deko na spróbowanie.

— Bardzo tu miło... Lubię świece... A ten łosoś naprawdę wspaniały. Gdzie go pan kupił? — mówiąc uśmiechała się w przestrzeń.

— Nie pytaj mnie o takie rzeczy, to sprawa gosposi...

— Ja nie kupuję ryb, słyszałam, że więcej w nich ołowiu niż czegokolwiek, chociaż po Czarnobylu nie powinno się właściwie nic jeść. Wie pan? Mój ojciec po Czarnobylu nie chodzi na pochody pierwszomajowe, a przedtem latał rok w rok, zawsze w pierwszym szeregu ze szturmówką w ręku. Kiedyś się upił, mama jeszcze wtedy żyła i przyniósł tę szturmówkę do domu śpiewając „Płynie, płynie Oka jak Wisła szeroka, jak Wisła głęboka” — to chyba jedyna piosenka, którą zna do końca. Na drugi dzień wytrzeźwiał i było mu głupio iść ze szturmówką do pracy, więc w ogóle nigdzie nie poszedł, reperował płot, a szturmówkę schował na strychu. Leży tam do dziś. Przez tyle lat nikt się o nią nie upomniał. Ojciec bardzo lubi pochody. Ale nie chodzi... Wreszcie coś do niego dotarło... Ja tak sobie gadam, a może pan czerwony i obrażam pańskie uczucia?...

— Jestem raczej zielony.

Uśmiechnął się i dolał jej wina. Marta była już lekko wstawiona, piła jednak nadal.

— Smakuje? — spytał profesor.

— Lubię dobre wino.

— Ja też. Pod tym względem nie mogłem się porozumieć z moją byłą żoną. Ona uznaje tylko mocne trunki.

— Dlaczego powiedział pan „byłą”?

— Dlatego, że odeszła... Zostawiła mnie i odeszła do młodszego... Powiedziała, że połączyły ich wspólne zainteresowania, on jest reżyserem, ona aktorką.

— Irena Kuczborska?

Profesor potwierdził z nostalgią w oczach.

— Widziałam ją w telewizji. Bardzo przystojna pani... Tak. Reżyser i aktorka to dobre połączenie, chociaż, czy ja wiem, czasem lepsze są kontrasty, na przykład: kominiarz i mleczarka, marynarz i góralka, hutnik i łodziarka...

— Powiedz w takim razie, z kim ja się powinienem ożenić, żeby był kontrast? Nie masz nic przeciwko temu, że mówię ci ty?

— Nie... Zaraz, muszę się zastanowić... Pańskie zdrowie! — uniosła kieliszek z winem, stuknęła się z nim i upiła spory łyk. — Już wiem — roześmiała się ubawiona. — Pan powinien ożenić się z analfabetką.

— Jesteś fantastyczna! — pokiwał głową bez entuzjazmu. — Z młodą czy starą?

— Oczywiście, że z młodą. Różnica wieku jest jednym z czynników gwarantujących trwałość małżeństwa.

— Żartujesz! Kto by mnie chciał.

— Sądzę, że znalazłby pan wiele chętnych.

— A ty, powiedz, czy wyszłabyś za mnie?

Marta, zaskoczona jego pytaniem, milczała dłuższą chwilę racząc się winem. Profesor drżącymi palcami sięgnął po papierosa.

— Panu potrzebny jest ktoś z dobrej rodziny, nie ja, ja mam różne ogony.

— To są czysto teoretyczne rozważania. A ty unikasz odpowiedzi.

— Musiałabym się rozwieść.

— A więc jesteś mężatką! — wykrzyknął z niejaką ulgą.

— Powiedzmy, że byłam.

— Nie chciałbym rozbijać twojego małżeństwa.

— Ono już nie istnieje.

— A czy ty wiesz, ile ja mam lat?

— Pięćdziesiąt.

— Właśnie. Gdybyś miała chociaż czterdzieści.

— Panie profesorze, bądźmy szczerzy. Gdybym miała czterdzieści, nie zaprosiłby mnie pan na kolację.

— A wiesz, że w tym coś jest... Nie jesteś głupia.

— Przykro mi, nie jestem.

— Mogłabyś być moją córką.

— Ale nie jestem, na moje nieszczęście — roześmiała się.

— A może zakochałaś się we mnie od pierwszego wejrzenia?

— Niech pan nie żartuje. Ja w ogóle nie wierzę w miłość, to wymysł poetów... Owszem, pan mi się podoba. Jest pan przystojny, otoczony luksusem, a to na mnie robi wrażenie. Przepraszam za szczerłość.

— No i co, wyszłabyś za mnie? — spytał z wyraźnym niepokojem.

— Gdyby mnie pan poprosił...

— Widzisz, w moim wieku nie podejmuje się tak łatwo decyzji. Pozwolisz, że się zastanowię i dam ci znać.

— Nie musi się pan do niczego zobowiązywać. Przyjdę jutro o osiemnastej.

— A nie zostaniesz na noc?

— Nie chciałabym w żaden sposób wpływać na pańską decyzję.

— Chcesz, żebym ci jutro dał odpowiedź?

— Ja nic nie chcę, pan może w ogóle nie odpowiadać. Proszę nie wyznaczać sobie żadnych terminów. Zostańmy przy kręgosłupie. Kolacja

była wspaniała. W życiu takiej nie jadłam. Dziękuję i do widzenia. — Nie podała mu ręki, przemknęła szybko przez salon, chwyciła swoją torbę i płaszcz. Wyszła w pośpiechu, skrywając wzburzenie, nie obejrzała się za siebie, nie posłała mu pożegnalnego uśmiechu. Czuła się upokorzona.

Stary cwaniak! Zrobił z niej idiotkę, a przecież to on sam wyskoczył z tym nieszczęsnym pytaniem. Chciał wiedzieć, oczywiście czysto teoretycznie, czy wyszłaby za niego, a potem wykręcił kota ogonem i poprosił o zwłokę, jakby to ona sprowokowała tę rozmowę. Niech go szlag trafi, więcej tu nie przyjdzie, niech sobie sam zjada swoje łososie i kawitory, ona, chwała Bogu, nie umiera z głodu. Nie potrzebuje niczyjej łaski.

Szła pieszo po uliczkach czarnych od dymu. Właściciele pudełkowatych willi palili zeszłoroczne liście i ciężkie gryzące chmury unosiły się nad ziemią, wsiąkały w mgłę. Klnąc w duchu na cały świat dotarła do nowego osiedla i błąkała się wśród długich kamiennych tasiemców zachodzących na siebie, oddalających się i łączących w jakimś upiornym tańcu. Między blokami leżały powyrywane drzewa i gniły w objęciach rur i kamieni.

Po dziewięciu godzinach wyczerpującej pracy dotarła do kawiarni „Nowy Świat”. Zamówiła herbatę i odpoczywała obserwując wskazówki zegara. O osiemnastej przeszła do holu i zatelefonowała.

— Nie przyjdę — powiedziała suchym głosem do słuchawki. — Proszę na mnie nie czekać.

— Jak to? — wykrzyknął zdziwiony. — Dlaczego? Stało się coś? Gospościa przygotowała gorącą kolację.

— Nie mogę. Proszę nie czekać — rozejrzała się po holu. Nikogo nie było. — Wczoraj to nie ja oświadczyłam się panu, to pan pytał, czysto teoretycznie, czy wyszłabym za pana, ja nie odpowiedziałam, chociaż pan nalegał, a potem pan odwrócił kota ogonem... Wyszło, że to ja ciągnę pana do ołtarza, pan przeraził się swoich słów, pan się przeraził siebie. Nie moja sprawa, nie to nie, ale po co robić ze mnie potwora, który leci na pańską forszę. Gwiżdżę...

— Przepraszam — przerwał przerażony. — Jestem stary dureń, przepraszam za to głupie gadanie. Sam nie wiem, co mnie napadło. Kocham cię, słyszysz? Kocham cię jak szaleniec, jak wariat. Zdaje mi się, że mam dwadzieścia lat. Gdzie jesteś, Marto, powiedz! Przyjadę po ciebie.

— W „Nowym Świecie” — wyszeptała nieprzytomnie i powiesiła słuchawkę. Tego się nie spodziewała. Na drewnianych nogach wróciła do stolika i rozplakała się.

* * *

Jechał jak szalony spędzając z drogi liczne samochody, trąbił, błyskał światłami, przeskakiwał z jednego pasa na drugi. Cudem uniknął wypadku. Ciągłe mu się zdawało, że jedzie za wolno i gdy wreszcie klucząc i łamiąc przepisy dotrze na miejsce, nie zastanie

jej, a może już jej tam nie ma, nie powiedziała nawet czy zaczeka. Jeżeli odeszła, to on pójdzie jutro do doktor Mokrzyckiej i poprosi o adres Marty, rozwiedzie ją z tym mitycznym mężem, adoptuje jej dzieci, jeżeli oczywiście takie istnieją i w ogóle narobi głupstw. Na razie wjechał wbrew krzyżującym zakazom w Nowy Świat, zaparkował w niedozwolonym miejscu i skierował się do kawiarni. Krzywy neon nad drzwiami mrugnął do niego dwuznacznie i zgubił dwie litery, profesor poczytał to za zły znak, przystanął, żeby ochłonać, przeczesał palcami rozsypujące się włosy i znowu się spieszył, wymacał bowiem wilgoć na czole. Wyglądam okropnie — mruknął mrużąc oczy przed lustrem w szatni, starł chusteczką pot, wygładził spodnie. Zachowuję się idiotycznie — skarcił siebie w myślach i pełen nadziei przestąpił próg, szybkim krokiem przebiegł długą salę, rzucając niecierpliwe spojrzenia na prawo i lewo... Marty nie było, nie chciała zaczekać. Serce profesora wykonało gwałtowny skok z trampoliny i zwolniło rytm, chwycił się krzesła i usiadł, udało mu się złapać kilka głębszych oddechów... Teraz już spokojnie, bez specjalnego zaciekawienia rozglądał się po sali zastawionej okrągłymi stolikami, przy których siedzieli jacyś dziwni ludzie, poruszali ustami i wydmuchiwali z płuc kłęby czarnego dymu, a jej nie było, nie zaczę... I znowu to głupie serce wykonało swój popisowy numer, podskoczyło gwałtownie z głośnym dudnieniem, profesor zerwał się, potracił kogoś, zapomniał przeprosić i w nagłym olśnieniu ze światłem w oczach rzucił się do niej.

— Och! Jesteś! Jest... — wzruszenie zamazywało słowa, z ust wydobywały się tylko ciche westchnienia.

Marta wstała, ścierając z policzków natrętne łzy.

— Ty płaczesz? Kochana moja? — opasał ją ramieniem i prowadził przez długą niezmiernie salę, szepcząc z wielką tkliwością. — Wybacz mi! Straszny ze mnie idiota. Nie rozumiem siebie. Nie wiem, dlaczego wczoraj pozwoliłem ci odejść. Całą noc nie spałem. Chciałem telefonować, jechać po ciebie, ale nie znałem adresu. Męczyłem się okropnie. Nie mogłem doczekać się dnia. Zabieram cię do siebie i nie wypuszczę. Musisz być ze mną, musisz!

Całował ją na ulicy, a potem w samochodzie, milicjantowi, który wyrósł jak spod ziemi, wsunął do ręki pięć tysięcy złotych i nie odjeżdżał, trzymał

ją w ramionach, ogłuszał miłosnym wyznaniem i obiecywał zbyt wiele. Marta miała nadal łzy w oczach.

— Ciągle mnie to boli — mówiła. — A zresztą nie wiem, może jestem po prostu zmęczona, ja też w nocy nie spałam.

— A nie tęskniłaś za nim?

Drgnęła niezauważalnie, straszliwy ból ugodził ją w serce i nowa fala żalu zwilżyła jej oczy.

— Nie — zaprzeczyła pośpiesznie. — On stał się widmem, kimś kto chyba nigdy nie istniał. Ciebie lubię... i podziwiam. Nie wiem czy to jest miłość, chcę jednak, żebyś mnie kochał.

A przy nim, w ciepłym świetle starych lamp, czuła się skrępowana, peszył ją widok własnego ciała i ten rozrośnięty mężczyzna z kępkami siwych włosów na piersiach, czuły, delikatny, wyrafinowany w pieścotach, który wiedział, jak z nią postępować. Teraz czekał, żeby mu powiedziała jakiś komplement czy też określiła słowami swój stan, a ona milczała, nie chciało jej się nic mówić, leżała wtulona w jego ramię z zamkniętymi oczami i niewyraźnym uśmiechem pokrywała niepokój. Bała się, że on wprawnym doświadczonym okiem ujrzy tęsknotę za tamtym, młodym i pięknym, którego zaczynała cenić dopiero po stracie. To, co zrobiła przed chwilą, było próbą odcięcia pępowiny, gwałtem zadany samej sobie, szukaniem odrobiny światła w straszliwych ciemnościach. Dobrze, że Adam ma szorstką skórę, czoło podobne do kory dębu, siwiznę na skroniach i szare zmęczone oczy, które niepotrzebnie zbyt często mruży. Dobrze, że w niczym nie przypomina Pawła. Inaczej pieści, inaczej całuje, wchodzi w nią w innym rytmie, wolno, z namysłem, jakby smakując każdy ruch. Wszystko, absolutnie wszystko robi inaczej. I to jest dobre, to jest wspaniałe, ale Paweł nadal włada jej myślami i sercem, towarzyszy jej wszędzie, i ciągle zadaje ból, a ona zdradza go z tym mężczyzną o popielatych włosach i pooranym czole i nadal będzie go zdradzać. W zdradzie utopi swój żal.

— Pocałuj mnie — powiedziała coraz mniej wstydząc się własnego ciała i przytuliła się do Adama. Zaczynała lubić jego obecność i zapach. — Dobrze mi z tobą. Chodź!

Dziwiły ją własne słowa wypowiedane szeptem, ale tak było, mówiła prawdę. Z tym mężczyzną nie łączył się żaden ból. Jego odejście nie pograży jej w mękach, nie odbierze chęci do życia. Nie chce więcej cierpieć, pragnie żyć łatwo i przyjemnie, wśród jasnych barw, chodzić tylko po słonecznej stronie ulicy.

Napiła się szampana i zasnęła z głową na jego ramieniu. Czowała się przy nim bezpieczna. Nie miała żadnych snów. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zasnęła bez reladormu. Przespała godzinę siódmą i ósmą, o pół do dziewiątej profesor przyniósł jej do łóżka grzanki z miodem i kawą. Zerwała się przerażona.

— Nie słyszałam budzika. Która godzina? Spóźnię się do pracy.

— Wypiszę ci usprawiedliwienie — uśmiechnął się. — Napij się kawy i śpij! Chcesz grejpfruta?

— Chcę. Chcę. Jaki piękny dzień — uchyliła firankę. — To dobry znak, tyle słońca i niebo jak wymalowane.

— Nie chcesz już spać?

— Nie. Muszę już iść, zresztą lubię swoją pracę. Lubię ciebie i kawę, i grzanki. Dzisiaj lubię cały świat.

Doktor Mokrzycka wysłuchiwała jej mętnych wyjaśnień z kamienną twarzą i kazała zająć się pacjentami. Przed końcem pracy Adam zjawił się bez uprzedzenia w przychodni i czekał cierpliwie, aż Marta skończy masować czyjeś plecy.

* * *

Pierwszy obiad z profesorem jadła w „Europejskim”, wszystko jej smakowało — frytki, indyk pieczony, sałatki, wino... Potem syci, w dobrych nastrojach, chodzili po sklepach, szukając dla niej czegoś z ubrania.

Wrócili zmordowani do domu. Profesora, po obiedzie w luksusowej restauracji, rozboleł brzuch i Marta ratowała go tabletkami Vichy.

I tak zaczęło się normalne życie, które właściwie trudno nazwać normalnym, dla Marty był to cudowny sen, który chciała wciąż śnić. Nadal pracowała w przychodni, zrezygnowała jedynie z prywatnych pacjentów, ale nie narzekała na bezczynność. Przede wszystkim wzięła na siebie prowadzenie domu, gdyż pani Jadzia dotąd wierna profesorowi, wypowiedziała z dnia na dzień pracę, tłumacząc się złym stanem zdrowia. Marta znalazła kogoś do sprzątania, ale większość codziennych obowiązków spadła na nią. Robiła zakupy, przyrządzała posiłki, starając się, żeby były dietetyczne i nietuczące. Zżerały ją ambicje, pokaże mu — myślała — jak się prowadzi dom, niech tylko poczuje się pewniej, zacznie przyjmować gości, a jej przyjęcia zasłyną na całą Warszawę, jej ogród też będzie wzorowy, przystrzyże tuje, trawniki, wokół tarasu zasadzi kwiaty. Ambitne plany Marty przerażały Adama. — Nie dasz rady — mówił — weź kogoś do pomocy.

— Tak, wezmę kogoś — zgadzała się z nim — niech skopie ziemię i posadzi kwiaty. — A potem robiła to sama. Oczywiście nie nadała, więc ogród był rozgrzebany, pokoje na górze ziały pustką, co prawda o meble nie było łatwo. Kupiła więc tapczan, białą szafkę, jakąś półkę i czekała na okazję.

Adam niezwykle hojny, a nawet rozrzutny na początku ich wspólnego życia, zaczął wydzielać jej pieniądze na dom. Sumy, które dawał, nie były małe, ubodło ją jednak to, że je wydzielał.

— Na razie musimy wstrzymać się z poważniejszymi zakupami, chyba, że wyjadę na wykłady do Stanów... Niby wszystko jest załatwione, ale... — nie dokończył.

— Chcesz jechać beze mnie? — przeraziła się.

— Muszę i chcę. To dla mnie ważne ze względów prestiżowych i finansowych — patrzył na nią chłodnymi oczami, z których nie potrafiła nic wyczytać. Prawdopodobnie myślami przebywał gdzie indziej.

— Masz tam kogoś? — chwyciła go za rękę.

— Owszem — roześmiał się. — Kilku przyjaciół i wielu znajomych.

— Pytałam o kobietę?

— Jesteś zazdrosna? O mnie, starego dziada? Proszę cię, nie rozśmieszaj mnie!

— Jesteś bardzo przystojny. Wiem, że kobiety szaleją za tobą, ja też.

— To chodź! Poszalejemy razem.

— Zrobisz mi dziecko?

— Będę się starał.

— To rób, chodź szybko — całowała go nieprzytomnie. — Chcę mieć z tobą bliźniaki.

— Nie wariuj! Wystarczy jedno.

— Kocham cię, nie wyjeżdżaj! Nie zostawiaj mnie samej. Nie potrafię bez ciebie żyć.

— Ty chyba naprawdę oszalałaś.

— Tak, tak — pociągnęła go na tapczan. — Jestem szalona, nieprzytomna ze szczęścia. I chcę tylko ciebie, ciebie...

* * *

Chyba te dni pełne wiosennej gorączki i światła lejącego się ze wszystkich stron były najlepsze, w każdym razie utkwily jej w pamięci. Wzięła zaległy urlop i nie ruszała się z domu, ciągle miała coś do zrobienia, ale przede wszystkim lubiła być w domu i przechadzać się po przestronnych pokojach z wysokimi sufitami, wchodzić na schody i schodzić w dół,

patrzyć, jak z tarasu spływa woda, jak świeżo podlane pelargonie strzelają kolorowymi parasolami do słońca. Cieszyło ją błękitne niebo i łagodny spokój popołudniowych godzin. Właśnie przebrała się w dzinsy i ścinała elektryczną kosiarką trawę uważając, żeby nie zranić róż i rozrośniętych floksów. Pochłonięta tą czynnością nie usłyszała samochodu, sądziła bowiem, że Adam wróci jak zwykle po drugiej, ale on przyjechał wcześniej i w towarzystwie młodego mężczyzny zmierzał do niej od strony tarasu.

— Marto! — zawołał. — Zobacz, kogo ci przyprowadziłem. Przestraszył ją jego głos.

— O Boże! — krzyknęła, pokrywając zmieszanie uśmiechem. Dopiero po chwili wyłączyła silnik. Z ręką na czole, którą zatrzymywała pot napływający jej do oczu, patrzyła na dwóch nadchodzących mężczyzn i nie wiedziała, co powiedzieć. Ten szczupły chłopak z oczami koloru czekolady i nieco jaśniejszymi włosami z lekka pokreconymi, był dokładną kopią Adama albo Adamem sprzed wielu lat.

— Filip? — podeszła do niego z wyciągniętą ręką. — Ależ wy jesteście podobni. Coś takiego — nie mogła się nadziwić. — Przepraszam — wytarła chustką twarz. — Strasznie dzisiaj gorąco.

Filip był nie mniej zaskoczony niż ona.

— Ty jesteś Marta? — spytał ściskając jej rękę. Ojciec z chytrym uśmiechem patrzył, jak się witają.

— Ty zgrywusie — Filip klepnął go po przyjacielsku w ramię. — Wiesz — zwrócił się do Marty — kiedy spytałem go, ile masz lat, odpowiedział: coś koło czterdziestki. Coś koło czterdziestki! — powtórzył z obrażoną miną.

Adam roześmiał się głośno, zawtórowała mu Marta, Filip spojrzął na nich zaskoczony, włączył kosiarkę, żeby ich zagłuszyć, a po chwili sam wybuchnął śmiechem i śmiejąc się padł na świeżo skoszoną trawę, oni uczynili to samo. Ptaki spłoszone tym niecodziennym hałasem umilkły.

— Świetna z was para. Trzeba to uczcić! — podał ojcu rękę. Wstali. Marta podniosła się bez niczyjej pomocy.

* * *

Adam wyjeżdżał na dwa miesiące do Stanów Zjednoczonych. Te słowa dopiero teraz ujawniły swój sens. Marta poczuła się zagrożona, miesiące bez niego w tym dużym pustym domu. Dwa miesiące czekania, tęsknoty, wspomnień, pokus i nieustannej walki z sobą. Czy wytrzyma, czy nie zrobi jakiegoś głupstwa? Czy nie posłucha głosu serca? Zajmie się ojcem, sprzątnie mu mieszkanie i wszystkie niedziele będzie spędzać u niego. W

końcu ojciec jest jedynym człowiekiem, który jej naprawdę potrzebuje. Adam, tam w tych Stanach, nie będzie się chyba nudził. Pewnie kogoś ma, jakąś zasuszoną asystentkę, sekretarkę, rozwiedzioną profesorkę, w najgorszym razie żonę kolegi. Kobiety żyjące w dobrobycie bardziej łakną przygód miłosnych i rozrywek, mają na nie więcej siły i czasu.

Adam wyjeżdżając, zostawił jej wszystkie pieniądze, jakie otrzymał z wydawnictwa i upoważnienie na pobory, natomiast gdyby potrzebowała większej sumy na urządzenie domu, to miała się zwrócić do Filipa, on dysponował czekami i książeczkami.

— Co tu jeszcze? — zastanawiał się, zamykając walizkę. Był już właściwie gotów do drogi. — Acha, Filip będzie nocował w moim gabinecie. Sama kobieta na tym odludziu stanowi przynętę dla włamywaczy i złodziei, jest wprawdzie alarm, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Nie było to żadne pustkowienie, wokół mieszkali ludzie, ale skoro on tak uważał troszcząc się o nią nadmiernie, więc wszystko OK. Niech Filip nocuje, niech mieszka. W końcu to jego dom i do niego należy decyzja. Nic nie powiedziała, chociaż zrobiło jej się przykro, od razu domyśliła się prawdziwych intencji, nie ufają jej, to jasne, może bardziej Filip niż on, a jednak... Boją się, żeby ich nie okradła, w końcu tak mało o niej wiedzą, a jej rodzina, łącznie ze szwagrem nie ma najlepszej opinii.

* * *

Filip odwiózł ojca na lotnisko, ona też pojechała z nimi, ale to Filip liczył się jako odprowadzający, jako ktoś kto był z nim zawsze. Ona pojawiła się stosunkowo niedawno, nie знаła jeszcze rodzinnych powiązań, układów i obyczajów, nie łączyły ją żadne wspomnienia ani z Filipem, ani z nim, więc nic dziwnego, że w zatłoczonej hali na lotnisku czuła się nie na miejscu i było jej podwójnie smutno.

Stała w pewnym oddaleniu i obserwowała ich kątem oka. Filip szeptał coś ojcu na ucho, wciskając mu z widocznym zażenowaniem karteczkę, na której najprawdopodobniej widniała lista zamówień. Adam schował kartkę do kieszeni mówiąc, że się postara, jeśli mu czas pozwoli, no bo ma strasznie naładowany program.

— Co u mamy? — spytał od niechcienia. — Powiedziałaś, że wyjeżdżam? Nie potrzebuje czegoś? Nic nie mówiła?

— Co miała mówić? Wiesz przecież, jakich kremów używa i co lubi. Bądź co bądź mieszkaliście razem prawie dwadzieścia lat.

Marta mogłaby przysiąc, że ta informacja była przeznaczona dla niej. Filip chciał zapewne podkreślić, że jego matka jest na innych prawach, złączona z nimi trwalszymi więzami niż miłość, łóżko i te rzeczy.

Przyjechał z dziewczyną, która wisiała na nim jak źle skrojone ubranie, duża, zamaszysta w obszernym czerwonym safari, obwieszona kilogramami srebra wyglądała na taką, co wszystko ma. Adam chyba o tym wiedział, gdyż nie zapytał, co jej przywieźć, Marty też nie. Filip tak go skołował tymi zamówieniami, że zapomniał nawet o niej. Padli sobie w objęcia, w jej oczach błysnęły łzy. Wytarła je szybko, pod czujnym spojrzeniem Filipa nie mogła go pożegnać tak, jak chciała, ani pocałować tak, jak to robiła codziennie.

Filip przywiózł ją z lotniska samochodem ojca i wszedł z nią do domu. Dziewczyna ze znużoną miną została w samochodzie.

— Co to za facetka? — spytała Marta. — Trochę dziwnie wygląda?

— Mirella? Jak by ci tu powiedzieć. Jej stary jest ambasadorem gdzieś u dzikich, a ona studiowała w Paryżu.

— Co studiowała?

— A wiesz, że nie wiem — parsknął śmiechem. — Chcesz, to ją zawołam i zapytam?

— Nie trzeba. Kochasz ją?

— Jasne. A co, nie podoba ci się?

— Nie w tym rzecz. Jest trochę dziwna. Nie uważasz?

— Nie. Ona jest po prostu z innego świata. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Nie, ale to nie ma znaczenia. Co chcesz wziąć?

— Potrzebuję trochę płynu — otworzył barek i oglądał butelki kręcąc nosem. — Cholera! — wykrzyknął wyraźnie zawiedziony. — Żadnego porządnego trunku. Co on robi z forszą?

— To jego sprawa. Nawet jeżeli wydaje ją na dziewczyny.

— Nie mów, bo pęknię ze śmiechu. Dziewczyny, cha, cha, cha... Od dobrych trzech lat nie miał żadnej, prócz ciebie, oczywiście. Widzisz, wtedy gdy matka zbzikowała, myślał wyłącznie o śmierci. Gryzł się, nie odzywał się całymi dniami, łykał prochy. Nie mogłem na to patrzeć, wyprowadziłem się do Mirelli, bo jej stary, jak ci mówiłem...

— Co ty właściwie robisz?

— Studiuję na politechnice.

— I co jeszcze?

— Uważasz, że to za mało? I słusznie. Nie jestem żadnym kombinatorem, chociaż sprawiam takie wrażenie, prawda? Urodzony w niedzielę, niebieski

ptak, voila. Muszę cię rozczarować. Nic z tych rzeczy. Ojciec nie wprowadził cię w nasze rodzinne sprawy?

— Nie.

— Pewnie nie chciał cię nudzić... Widzisz, nasz dziadek robił w plastyku — klipsy, grzebienie, wieszaki, torebki. Zależnie od mody. Po jego śmierci wytwórnę przejął stryj, bo ojciec, wiadomo, wielki naukowiec, poza sztuką nic go nie interesuje, stryj, na moje szczęście, nie ma potomstwa, wziął więc mnie do spółki, w ten sposób interes zostanie w rodzinie.

Marta spojrzała z niesmakiem na Filipa.

— Dobry jesteś! Szkoda gadać! Ojciec w depresji, a ty zwijasz manele i wyprowadzasz się.

— Mam jedno życie i chcę je przeżyć na swój sposób.

— Łatwo, ciekawie, przyjemnie...

— Czemu nie?

— To zdaje się credo naszego pokolenia.

— Twoje też?

— Tak.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— No, no, pozory mylą, sądziłem, że jesteś pierwszą naiwną, a ty wiesz, czego chcesz... Dobrze ci z ojcem?

— Bardzo.

— Bo nie próbowałaś z kimś takim, jak ja.

— Próbowałam.

— I co?

— Do kitu.

Filip kręcąc głową patrzył na nią z coraz większym zaciekawieniem.

— Idź już! Patrz! — Marta wyjrzała przez okno. Twoja dziewczyna wyszła z samochodu i rozgląda się za nowym wieszakiem.

Filip zaśmiał się głośno.

— Dobrze powiedziane. Jesteś OK! Może pójdziesz z nami na to wesele? Będzie kupa luda, śmietanka stolicy, rozerwiesz się...

— Dziękuję. Nie pójdę. Lubię ten dom. Mam tu jeszcze sporo roboty.

— Zauważyłem. Tyrasz jak wół.

— Chcę coś z siebie dać. Nie mogę tylko brać. O której wrócicie?

— Skąd wiesz, że przyjdę z nią?

— Przecież jesteś zakochany.

— Racja. Niekiedy zdarza mi się o tym zapomnieć.

— Ale ja pamiętam.

— W porządku. Zamknij się dobrze. Potrafisz włączyć te wszystkie urządzenia zabezpieczające?

— Wyobraź sobie, że tak.

Teraz z perspektywy czasu wszystko wydaje się proste, ale wtedy mieszkanie z Filipem pod jednym dachem nie było wcale łatwe, ciągle musiała się pilnować, żeby nie powiedzieć czegoś zbędnego, nie miała odwagi zaprosić ojca czy którejś z koleżanek, bała się jego czujnych spojrzeń, beztroski, dobrego humoru i śmiechu. Wiedziała, że są to uczucia irracjonalne, bez pokrycia, nie mogła ich jednak przełamać. Dziewczyna była raczej tłem, dużą ładną rzeźbą, którą się sadzało dla dekoracji przy stole, dawało się jej szklankę džinu, papierosa i miało się ją z głowy. Czasem rzeźba wydawała głos i pytała, która godzina, albo dokąd zostanie zawleczona na obiad. Inne sprawy jej nie interesowały. Około dwudziestej drugiej, jeżeli oczywiście o tej godzinie Filip i Mirella byli w domu i siedzieli przed telewizorem, ambasadorówna przeciągała się, mrugała oczami. Godzina dwudziesta druga działała na nią jak narkotyk, a może rzeczywiście coś brała, chociaż jej oczy bezmyślne i sensne były raczej normalne, z tym, że późnym wieczorem pojawiały się w nich oznaki życia, jakieś nikłe iskierki zaciekawienia światem, przeciągała się kusząco, jej duże piersi unosiły się pod obcisłą sukienką i falowały, język przesuwiał się wolno po pełnych wargach. Filip wstawał jak zahipnotyzowany, brał ją za rękę i wyprowadzał.

Lenistwo Mirelli było tak wielkie, że gdyby nie jego pomoc nie dźwignęłaby się z fotela, dopiero opasana jego ramieniem wychodziła z salonu. Marta zamykała za nimi drzwi, wracała przed telewizor i zastanawiała się, co powie na sprawie i co robi, gdy spotka Pawła. Czy poda mu rękę, czy się uśmiechnie, czy przejdzie obok z obojętną twarzą. Od kiedy dostała wezwanie, nie przestawała się nad tym głowić. W końcu wszystko wyszło inaczej niż planowała. Nałykała się prochów i zasnęła, w efekcie omal nie spóźniła się na sprawę. Wpadła na salę w ostatniej chwili, sędzina ze znudzoną twarzą siedziała już za stołem, protokolantka spisywała dane z dowodu Pawła. On, słysząc kroki, odwrócił się, spojrzał na nią jak zbudzony ze snu i wyszedł jej na spotkanie z niepewnym uśmiechem.

— Cześć! Dzień dobry! — porwał jej rękę, przytknął do twarzy, całował. — Jak ja za tobą tęskniłem, Marto! Cieszę się, że przyszłaś, myślałem, że się coś stało. Jak się czujesz? Świetnie wyglądasz. .. — Gadał straszliwie dużo, a każde jego słowo uderzało ostrzem szpady w serce, w mózg, w każde czułe miejsce. Szła do stołu sędziowskiego podtrzymywana jego ramieniem.

Zdawało jej się, że płynie, tak było lekko, ciepło, przyjemnie, słyszała nawet marsz Mendelssohna.

— Chcemy się pogodzić — Paweł zwrócił się do sędziny z radosną twarzą, w oczach miał tysiąc słońc. — To było chwilowe nieporozumienie. .. Myślę, że będziemy...

— Ja nie chcę... — przerwała obcym głosem, który ją samą zmroził. Jego twarz skurczyła się, zbladł, ręka spadła z jej ramion.

— Czego pani nie chce? — spytała surowo sędzina.

— Nie chcę się pogodzić — powiedziała cicho głosem złamanym, rozbitym. Złękła się, że ten głos może ją zdradzić, więc uczepiła się wzrokiem okularów sędziny i wyprostowała głowę. Nie patrzyła na niego, ale usłyszała rozpacz i ból zamknięte w jednym słowie.

— Dlaczego? — jego delikatne palce wbiły się znowu w jej ramię. — Co ja ci takiego zrobiłem? Dlaczego mnie nienawidzisz?

— Jesteś mi obojętny, to wszystko — oznajmiła z kamienną twarzą, nie odrywając oczu od okularów sędziny.

— Siadajcie państwo! — sędzina wskazała im miejsca. — Jesteście j jeszcze bardzo młodzi i zapalczywi. W gniewie padają różne obelgi, słowa cięższe niż kamienie. Trzeba o nich zapomnieć w imię miłości... Tworzycie rodzinę, podstawową komórkę społeczną...

Marta już nie słuchała, zmagiała się ze łzami, z bólem, a może i ze śmiercią.

Sędzina pokonując ziewanie odklepała do końca rytualną przemowę, wyznaczyła termin następnej rozprawy, kazała im zapamiętać dzień, godzinę, zamknęła akta i wstała. Marta śledziła z ogromnym wysiłkiem powolne ruchy tej okrągłutkiej osoby i myślała, jak to zrobić, żeby się odwrócić, przejść do drzwi, wydostać się na korytarz, a stamtąd już na dół na schody. Udało się, ruszyła, Paweł szedł za nią, otworzył drzwi, puścił ją przodem.

— Zapalisz? — na korytarzu podsunął jej paczkę papierosów. Potrząsnęła głową, bo nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Rzuciłaś palenie? Znowu potrząsnęła głową.

— Nie chcesz ze mną rozmawiać? Ja ci już wybaczyłem.

— Ja tobie też.

— Więc o co chodzi? Dlaczego nie możemy być razem?

— Nasze małżeństwo nie ma szans. Jest skazane na zagładę. Nie wyszło. Sam wiesz. Nie ma o czym mówić.

— Jest o czym. Ja cię kocham.

— A ja nie wierzę już w miłość.

— Jesteś głupia. Nic nie wiesz. To jedyna rzecz, która istnieje, tak samo jak Bóg.

— Nie wierzę w twojego Boga, On jest zły, niszczy wszystko co dobre, zabija miłość, skazuje ludzi na cierpienie...

— Żal mi ciebie — wychrypiał Paweł. Podniósł głowę i zataczając się jak pijany ruszył do wyjścia.

Zdawało jej się, że idąc powtarzał: żal, żal, ale nie była tego pewna. Zasłoniła go ściana. Przez chwilę słyszała odgłos jego kroków, a potem już nic, ciemność, łyzy, ból w piersiach, pragnienie śmierci i długa samotna wędrówka po szarych brudnych ulicach, wśród brzydkich rozsypujących się domów, autobusów omotujących miasto czarną, trującą smołą.

Kiedy wieczorem wróciła do domu, wszystko w niej zastygło, zamieniło się w twardą nieprzemakalną bryłę. Słaniając się na nogach przekreśliła klucz w zamku i poczuła dziwne pulsowanie krwi w skroniach. W pierwszej chwili nie zorientowała się, o co chodzi, ale gdy uchyliła drzwi, zrozumiała co się dzieje. Filip zaprosił gości i ogłuszał ich kaskadą dźwięków, oślepił błyskami reflektorów. Jak on to zrobił — wyszeptała z podziwem. Różnokolorowe światła latały po twarzach, barwiły włosy fioletem, czerwienią i błękitem, chrypliwie jęczały wzmacniacze, przeżyły się drżące ramiona, podskakiwały ufryzowane głowy, a szczupłe torsy obleczone w trykotowe podkoszulki udawały wahadła. Zahipnotyzowana tym widokiem Marta zrobiła krok do przodu i wtedy muzyka umilkła, błysnęło górne światło, z tłumy wyrwał się Filip, podbiegł do niej rozradowany i pociągnął ją za rękę.

— Moja macocha! — wskazał na nią uprzejmym gestem.

Odpowiedział mu huraganowy śmiech. I prawie natychmiast z kolumn rozstawionych pod oknami buchnęła muzyka, las rąk wzbił się do góry, opasał ją zwartym kręgiem, ktoś, chyba jednak Filip, podał jej wermuth z lodem, wypila go z przyjemnością i rzuciła się do ucieczki lecz poruszała się z trudem jak w labiryncie nie mogąc znaleźć wyjścia, po chwili znów coś wypila z wysokiej szklanki, zaszumiało jej w głowie, rock dźwięczał nieustępliwie, wymuszał działanie, nie mogła stać nieruchomo, gdy wszystko dookoła kipiało, kłębiło się, wirowało. Wyrzuciła ramiona, przechyliła się jak do skoku, Filip okręcił ją wokół siebie, odbiła się, przysiadła na kilka sekund w szpagacie, po czym zerwała się zwiewnie bez niczyjej pomocy i w tempie przygotowującym innych o zawrót głowy kręciła się, odbijała od jakiejś niewidzialnej osi, zamierała w półkłękach,

półobrotach i niebezpiecznych skrętach. Cały czas wyslizgiwała się zręcznie z obłapujących ją rąk, chciała tańczyć sama i w dzikim rytmie, zapomnieć słowa Pawła, jego pełne czułości spojrzenie, zapomnieć Adama, ojca i Jacka, który wyrывая się w wielki świat trafi najprawdopodobniej za kratki. Migotały żółte języka świec, jasne włosy Marty płonęły niczym znak drogowy na pustkowiu, muzyka nie milkła ani na chwilę i ona nie zwalniała tempa, wyrzucała z siebie smutek, rozpacz, złe myśli i tęsknotę. Nagle stanęła czując, że traci równowagę i wtedy czyjeś usługane ręce znowu podały jej szklankę z jakimś płynem, upiła kilka łyków i odechciało jej się tańczyć, odechciało jej się wszystkiego. Bez przeszkód, nie zatrzymywana przez nikogo, dotarła na piętro do swego pokoju, runęła na tapczan i natychmiast zasnęła. Obudziła się szczęśliwa, pełna cudownego snu, Paweł był z nią nad ciepłym morzem wśród palm. Leżeli obok siebie na plaży i trzymali się za ręce. Jej piersi falowały żarem, poddawały się miękko pieszczotom, czekając na pocałunki.

— Paweł? — spytała sennie.

Nikt nie odpowiedział. Czyjeś palce przesunęły się z piersi w kierunku szyi. Zapaliła światło i roześmiała się. To nie był sen. Przed tapczanem klęczał na wpół rozebrany chłopak i patrzył na nią z pokorą.

— Wyjdź stąd! — powiedziała, przestając się śmiać.

— Dlaczego? Przecież ci przyjemnie.

— Właśnie dlatego. Wyjdź!

— Będę uważał. Nie zrobię ci krzywdy.

— Ja nie chcę.

— Jesteś stworzona do miłości. Widziałem, jak tańczyłaś, każdy twój gest był wyzwaniem. Muszę cię mieć albo się zabiję.

— Więc się zabij.

— Ja poczekam, wiem, że zatęsknisz do mnie. Było ci dobrze.

— We śnie, ale nawet we śnie niczego nie było.

— Ale będzie. Dobranoc. Śnij o mnie — wymknął się z pokoju jak duch. Marcie nie chciało się wstawać, zamykać drzwi. Wiedziała, że on już nie wróci, a gdyby nawet...

* * *

Tydzień dzielący ją od sprawy spędziła na gorączkowym porządkowaniu pokoi na górze, kupiła białą farbę i pomalowała okna i drzwi, wyczyściła podłogi. Wolne chwile spędzała na chodzeniu po sklepach w poszukiwaniu mebli. W końcu za którymś tam razem udało jej się kupić dwa nowoczesne fotele nie pozbawione wprawdzie drobnych usterek, za to bez kolejki.

Usterki usunęła sama za pomocą bejcy i bezbarwnego lakieru i zabrała się do szlifowania posadzki w holu. Codziennie wymyślała nowe zajęcia. Ciężka praca fizyczna była antidotum na „ból serca”. Dnie mijały stosunkowo szybko, natomiast wieczory stawały się trudne do zniesienia. Kiedy po wypiciu dwóch drinków kładła się do łóżka, wszystkie bolesne sprawy odżywały z całą mocą. Adamem nie zajmowała się wcale, nie wspominała go nawet zbyt często, tylko w rozmowach z Filipem, za to Paweł władał niepodzielnie jej myślami, towarzyszył jej w robieniu zakupów, przeszkadzał w pracy, zmuszał do słuchania Chopina, nie pozwalał spać, wszędzie chodził za nią jak cień niewidoczny, dokuczliwy, a jednak wciąż bliski. Ciągle nie była sobie pewna, nie wiedziała, jak się zachowa na sprawie, czy niezależnie od twardych postanowień i przyrzeczeń nie załamie się i nie powie mu tych dwóch słów, na które tak czeka i które ona chciała wykrzyczeć wtedy na korytarzu i do tej pory nie wie, co ją powstrzymało. Być może weźmie go pod ramię i wyprowadzi z sądu jeszcze przed rozprawą.

Wieczorami bywała zmienna, pełna wahań, rozterek i tęsknot nie do wytrzymania, a rano wieszala firanki, czyściła dywany, pielęgnowała ogród i krzepła w swym uporze.

Dzień rozprawy wypadł pochmurny i wietrzny, siąpił deszcz. Marta przyszła ubrana w granatowo-szary kostium z matowej skóry, pożyczony od Mirelli, w jej bluzkę z naturalnego jedwabiu i szpilkach w tym samym kolorze. Na środkowym palcu lewej ręki miała duży srebrny pierścień i srebrne koła w uszach. Umalowała się bardzo starannie, spięła włosy w luźny węzeł i nie żałowała perfum. Niosła się za nią soczysta smuga „poison”. Natomiast Paweł zjawił się na sprawę w wytartej dżinsowej kurtczynie i w spranych żałostnie spodniach. Wyglądali na niedobraną parę. Sędzina też tak to oceniła i z miejsca uznała, że nie ma co tracić czasu na analizę przyczyn i skutków, nawoływać do pojednania czy zachwalać im uroki wspólnego pożycia. Zresztą oboje wyrazili zgodną wolę rozstania się, więc nie robiła im trudności, orzekła trwałe rozkład małżeństwa z powodu niezgodności charakterów. W ten sposób uzyskali, co chcieli i każde z nich poszło w swoją stronę, nie patrząc na siebie, nie mówiąc do widzenia.

* * *

W przeddzień przyjazdu Adama Filip umył samochód, zamiótł chodnik przed garażem i orzekł, że wszystko gotowe na przyjęcie pana. Natomiast Marta usiłowała doprowadzić do porządku gabinet, który w ciągu tego miesiąca zamienił się w pijacką melinę.

Filip z ambasadorówną zachowywali się jak niesforne dzieci, chlapali podłogę winem i piwem, rozrzucali po całym pokoju pety i swoje rzeczy. Ambasadorówną ciągle czegoś szukała, Filip jej pomagał, w efekcie wszystkie ich ubrania leżały na wierzchu. W wigilię przyjazdu Marta odkurzyła książki, powyciągała spod kanapy części garderoby Mirelli, wyczyściła i zapastowała podłogę, pootwierała okna, a na drzwiach wywiesiła kartkę: „Wstęp wzbroniony”.

— Ty chyba zwariowałaś! — oburzył się Filip wskazując na napis.

— Nie — odpowiedziała z uśmiechem. — Posprzątałam gabinet i nie pozwolę wam więcej świnić. Koniec burdelu.

— O, zaczyna się stawiać.

— Jeszcze nie.

— To znaczy, że będzie gorzej?

— Na pewno.

— W takim razie powiem ojcu, żeby się z tobą nie żenił.

— Myślisz, że cię posłucha?

— Raczej nie.

— Lubię cię, mimo wszystko.

— Ja ciebie też, chociaż wiem, że jako macocha będziesz cholernie wredna. Gdzie my mamy spać?

— W sypialni ojca. I żadnych gości. Dzisiaj ma być spokój!

— Tak jest, mateczko. Czekamy grzecznie na tatusia. — Cmoknął ją w czoło i pobiegł do telefonu odwoływać kolegów.

* * *

Czekanie w mokrej, cuchnącej sali przedłużało się. Marta nie mogła ukryć zdenerwowania, Filip również się niecierpliwił, jedynie dziewczyna zawieszona na jego ramieniu patrzyła drewnianymi oczami na polonusów uginających się pod dwumetrowymi walizami, w które wlepiali pożądlive spojrzenia krewni z prowincji. Wreszcie pojawił się Adam i Filip, uwalniając się zręcznie od wiszącej na nim Mirelli, rzucił się ku niemu. Pozbawiona podpórki dziewczyna rozglądała się dokoła nieco zdumiona tą sytuacją. Marta czekała, aż Adam wyściska się z synem, trwało to długo, całowali się, gadali nie spiesząc się wcale. Adam jej nie widział, zrobiła więc krok w jego stronę, uśmiechnęła się, uniosła rękę, przerwał w pół słowa i ruszył do niej.

— Jakaś ty piękna! I czekasz tu na mnie, no, no, tego się nie spodziewałem. Widzisz, kilka razy chciałem dzwonić, ale się wstrzymałem. Nie chciałem nic wiedzieć. Sądziłem, że na lotnisku będzie jak zwykle tylko Filip. Teraz dziewczyny odlatują szybciej niż ptaki, a ty

czekałaś, jesteś — pocałował ją, przytulił, objął żyłastym twardym ramieniem. — Dlaczego nic nie mówisz?

— Nie wiem, od czego zacząć... W każdym razie cieszę się, że jesteś. Nie było cię tak długo...

Jechali do domu w strugach deszczu. Marta wtulona w jego ramię milczała nadal, nie wiedziała, o czym rozmawiać, nic jej nie przychodziło do głowy. Prawdę mówiąc, nie cieszył jej ten przyjazd, była pełna lęków i obaw, nie znała przecież jego zamiarów.

Filip spytał, czy załatwił stryjowi części, no bo ta maszyna cały czas stoi, taki drobiazg naraża firmę na ogromne straty. A jak wykłady?

— Normalnie. Spędziłem w powietrzu więcej godzin niż na ziemi. Naprawdę niewiele widziałem.

— Oplącało się chociaż?

— Mogło być lepiej, ale nie narzekam. W sumie nie było źle. Umówili się nazajutrz na obiad, oczywiście bez niej i bez Mirelli, mieli swoje sprawy, o które zaczynała być już zazdrosna, chociaż wmawiała sobie, że nic ją nie obchodzą. Obrzydło jej towarzystwo Filipa, chciała być tylko z Adamem, wyjaśnić swoją sytuację, dowiedzieć się wreszcie, na czym siedzi, było jej głupio ze względu na ojca.

Filip wniósł bagaże do holu, Marta trzymając Adama pod rękę, osłaniała go swoją kurtką, ponieważ w dalszym ciągu lało jak z cebra. Adam z radością i ożywieniem rozglądał się po starych kątach.

— Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej — powtarzał uszczęśliwiony. W salonie od razu zauważył bukiet czerwonych gerberów poprządkany zielonymi liśćmi.

— To dla mnie? — spytał zdziwiony. — Od kogo?

— Jasne, że nie ode mnie — zaśmiał się Filip. — Ja nie jestem taki rozrzutny.

— Marta! — objął ją wszechogarniającym uśmiechem. — Dziękuję. Co za niespodzianka. Doprawdy jesteś aniołem.

— Nie rozczulaj się, to więdźma, ale była ci wierna i trzymała nas krótko. No a teraz kochani, sami pilnujcie waszego gniazdka. Ja znikam. Najwyższy czas, bym zajął się firmą, stryj jedzie na urlop.

— I nie chcesz prezentów? — zdumiał się ojciec.

— Bardzo chcę, ale nie wypada, żebym się upominał.

— Lubię cię za szczerłość. Za tę bezczelną szczerłość — roześmiał się Adam i wytarł go za włosy. — A teraz uwaga — wyjął z walizki niewielką torbę, od której szedł blask zachodniego światła, reklam, dobrze

zaopatrzonych sklepów, czystości i dobrobytu. Po napisach można się było zorientować, że znajdują się w niej elektroniczne cuda,

Filipowi oczy zagrały tysiącem świateł, rzucił się ojcu na szyję i trzymał długo w uścisku. Dziewczyna wisiała na ścianie wpatrzona w brzuchate bąble na szybach. Nie bardzo wiedziała, co się dzieje, dopiero gdy Filip dotknął jej ramienia, poruszyła się nieznacznie.

— Zaczekaj! — Adam zatrzymał syna ruchem ręki i wręczył mu drugą torbę, równie błyszczącą i kolorową, mówiąc półgłosem: — To dla mamy. Niby nie krył się z tym, a jednak powiedział to niepewnie, patrząc w bok. Marta udała, że nie słyszy, uśmiechnęła się do Filipa, Filip też się uśmiechnął, podziękował ojcu, powiesił sobie na ramieniu dziewczynę, torbę z elektronicznymi cudami wsunął pod pachę. Wyszli w deszcz, który spowijał okna zieloną mgłą.

— Napijemy się? — Marta nie przestawała się uśmiechać.

— Tak. Oczywiście. — Adam nalał szybko do szklanek. Marta przyniosła lód.

— Za twój szczęśliwy powrót, za ciebie, za nas.

Marta wzięła go za ramię, on się odwrócił i sięgnął po papierosa.

— Co ci jest? Co masz na sumieniu? — spytała bojaźliwie.

— Nie przywiozłem ci żadnego prezentu — wyznał wreszcie spuszczać oczy.

— Ach! To! — odetchnęła. Spodziewała się czegoś gorszego. — Mam gdzieś prezenty! Ważne, że jesteś.

— Myślałem, że mnie zostawiłaś — tłumaczył się niezbyt zręcznie. — Nie chciałem wyjść na durnia. Rozumiesz? Przywożę wór damskich ciuchów, a w domu pusto, nikogo nie ma.

Skinęła ze zrozumieniem głową i uśmiechnęła się, nadal musiała robić dobrą minę do złej gry i udawać, że wierzy jego słowom, choć wietrzyła w nich kłamstwo, załatywało od niego czymś nieprzyjemnym, kłamstwo ma zawsze coś wspólnego z rozkładem i wydziela zły zapach.

— Rozchmurz się wreszcie! Nie potrzebuję żadnych prezentów. Chcę ciebie, Adam, chcę ciebie — przytuliła się do niego.

Pogłaskał ją po głowie i westchnął:

— Musimy porozmawiać, to chyba odpowiednia chwila, żeby wyzbyć się złudzeń. Nie mogę cię okłamywać, nie mam prawa.

— Nie kochasz mnie już? — przeraziła się.

— Uwielbiam. I chcę się z tobą ożenić, ale są pewne sprawy, o których musisz wiedzieć... Jesteś wreszcie wolna?

Skinęła głową. Nigdy nie używała tego słowa. Wolna? W jakim sensie? Od czego? Od miłości czy od tęsknoty?

— A wyjdiesz za mnie?

— To chyba jasne.

— Och! Moja droga! Dziękuję — ucałował ją w czoło jak córkę i odszedł do okna.

Marta rozluźniła się, napięcie minęło, mógł już nic nie mówić, to, na co czekała, powiedział. Toteż nie rozumiała jego trudności z wyartykułowaniem czegoś, co nie miało znaczenia, nie było istotne.

— Widzisz, moja sytuacja jest nieco zawiła, nie wiem, czy nie zmienisz zdania, gdy dowiesz się prawdy...

— Mów! Proszę! To dla mnie nie ma znaczenia.

— Widzisz! Ten dom nie jest mój...

— Co? — Nie mogła uwierzyć, było to zbyt szokujące i nieprawdopodobne. — Powtórz! Proszę, nie zrozumiałam.

Z jej twarzy nie zszedł uprzejmy uśmiech, radość w oczach nie zgasła, wpatrywała się w niego sącząc whisky, żaden cień nie przesłonił jej gładkich rysów, od których trudno było oderwać wzrok, przyciągały jak magnes. Doktor Chrzanowski miał rację, ludzie lubili na nią patrzeć bez żadnych skrytych zamiarów, mówiły to również kobiety, jedne z zawiścią, inne, te starsze, co zaznały miłości i nie wymagały od życia zbyt wiele, z życzliwym ostrzeżeniem, mówiły, żeby uważała na siebie, piękne kobiety rzadko bywają szczęśliwe.

Profesor odwrócił się, szukał niecierpliwie zapalek, znalazł. W błysku światła uwidoczniły się żyły napięte na jego skroniach.

— Nie rozumiesz, że jestem nędzarzem? W takim razie zacznę od początku... Ten dom jest bardzo stary, nie tak jak Wawel, rzecz jasna, a jednak... Ma już siedemdziesiąt lat, zbudował go jeszcze mój dziadek, mieszkał w nim mój ojciec... Brat dostał firmę, a ten dom przypadł mnie z wyraźnym zastrzeżeniem, że mam go w całości przekazać w ręce syna. Ojciec jeszcze żył, kiedy urodził się Filip... Widzisz, dopóki mieszkaliśmy tu wszyscy, to znaczy Irena, moja była żona, Filip i ja, nie było problemów, ale w chwili rozwodu sytuacja uległa zmianie. Irena obawiała się, że kiedyś się ożenię (okazuje się, że miała rację, chociaż wtedy sądziłem, że nie) i dom pójdzie do podziału, więc zgodnie z wolą ojca przepisałem go na Filipa, oczywiście, po mojej śmierci. Do śmierci jest mój. Rozumiesz?

— Czym ty się właściwie martwisz? — roześmiała się patrząc mu prosto w oczy.

— No bo teraz, kiedy się żenię, nie mam ci nic do ofiarowania.

— Ofiarujesz mi siebie. To wystarczy.

— Naprawdę, chcesz mnie? — nie mógł ukryć zdumienia.

— Co ty sobie wyobrażasz, do jasnej cholery! Z kim ja biorę ślub? Z tymi ścianami czy z tobą? Złóścisz mnie! Jak w ogóle mogłeś coś takiego pomyśleć?

— Teraz już nie myślę. Przepraszam. Mam tylko jedną prośbę. Nie zapraszaj na ślub nikogo z twojej rodziny. Ja też nie będę... Nie chcę nikogo, prócz świadków.

— Och! Nie miałam takich zamiarów. Moja rodzina, którą ja na swój sposób lubię, nie pasuje do ciebie, jest z innego świata. Czy jeszcze coś masz na wątrobie?

Profesor nie od razu zdobył się na odpowiedź, ważył coś w myślach z chytrym uśmiechem na twarzy, podszedł do okna, napił się whisky.

— Chciałbym, żeby wróciła do nas gosposia, sama nie możesz zajmować się wszystkim.

— Czy ja mam coś przeciwko temu?

— Musisz ją poprosić, a na pewno się zgodzi.

— W porządku. Jeżeli ci na tym zależy, gotowa jestem przed nią uklęknąć.

— Na to ja bym się nie zgodził. Idź spać! Mam jutro wykład i muszę się przygotować.

— Dobranoc — oplotła go ramieniem i pocałowała. Adam odsunął włosy z jej czoła i długo się w nią wpatrywał.

— Jesteś dobra, szlachetna, piękna i młoda. Nie zasługuję na ciebie, ale cieszę się, że jesteś przy mnie. — Jego oczy mówiły prawdę.

— A ja jestem szczęśliwa! Słyszysz? Jestem... — położył palec na ustach i nie pozwolił skończyć.

* * *

Ze ślubem jest jak ze świętami, dużo szumu, zamieszania, nerwów, bieganiny i już po, już po... Tymczasem minęło lato, zrobiło się chłodniej. Entuzjazm Marty do prac w ogrodzie znacznie osłabł, robiła wprawdzie, co trzeba, strzygła trawę, podcinała róże, podlewała pelargonie, ale już bez tej wewnętrznej presji, żeby coś poprawiać i ulepszać. Fakt, że z właścicielki domu stała się lokatorką, zmienił jej stosunek do otoczenia, chwilami jednak zapominała się i postępowała jak właścicielka. Kupiła meble i urządziła wreszcie dwa pokoje na górze. Jeżeli Adam wyjedzie do RFN-u — marzyła skrycie — zaprosi koleżanki z pracy i pokaże im dom, być może zaprosi

również panią Kielbasińską, żeby jej zepsuć humor. Nie, tego nie zrobi. Za nic w świecie. Z panią Kielbasińską musiałyby zacząć wspominać Pawła, ostatnie kłótnie z nim, nieporozumienia, a jego musiała zapomnieć, wyrzucić z serca wraz z korzeniami, przerwać te irracjonalne więzi, które krępują jej ruchy i ciągną w tamtą stronę, budząc dziwne tęsknoty. Chwilami nadal miała ochotę rzucić profesora, plunąć na to uładzone, dostatnie życie i uciec stąd jak najdalej, ale dokąd? Do kogo? Nie wiedziała. Więc po nocnych rozterkach i upojnych snach, kiedy to Paweł był z nią w jakimś odrealnionym pastelowym świecie, nasycony dźwiękami koncertu e-mol, jeszcze gorliwiej czepiała się rzeczywistości odmierzanej godzinami pracy, lekcji, koncertów, na które chodziła sama, ponieważ profesor był zbyt zajęty, zamykał się w swoim gabinecie i nie istniał dla świata, dla niej też go nie było. Żył swoim życiem, ona swoim, mieli przecież dużo miejsca, mogli wreszcie przyjmować gości i nie przeszkadzać sobie nawzajem, ale profesor nie chciał, mówił, że przez te lata, po odejściu Ireny, przyzwyczyił się do spokojnego trybu życia, polubił samotność. Przed południem, kiedy Marta była w pracy, przyjmował swoich współpracowników, asystentów i doktorantów, nigdy nie przedstawiał ich żonie, zresztą o trzeciej po południu, gdy wracała do domu, nie było nikogo, o ich bytności świadczyły jedynie pety w popielniczkach i filiżanki po kawie, niektóre ze śladami szminki. Marta podawała obiad przygotowany przez gospozię, która z niebywałą wprost konsekwencją ignorowała jej polecenia, wszystko robiła po swojemu, według dawnych zwyczajów i recept. Marta dała za wygraną, przestała czegokolwiek wymagać. Doszła do wniosku, że lepiej godzić się z tym, co jest, niż obarczać się dodatkowymi obowiązkami. Wiedziała, że w dzisiejszych czasach znacznie łatwiej zmienić żonę niż gospozię.

Po obiedzie zmywała w pośpiechu i wychodziła na angielski. Po zajęciach wracała taksówką do domu. Nigdy się z nikim nie umawiała, wiedziała, że on czeka. Adam pod wieczór bywał odprężony, inny niż w ciągu dnia. Słyszając dzwonek do drzwi wychodził przed dom, witał ją czule, mówił miłe słowa, którym jednak jakby brakowało świeżości i siły, razem nakrywali do stołu, czasem przyrządzał jakieś sałatki i egzotyczne dania, które Marcie przeważnie nie smakowały, ale się z tym nie zdradzała, jadła, co przygotował, chwaliła z uśmiechem. Narzuciła sobie tę rolę i grała ją bez wysiłku. Adam był atrakcyjnym mężczyzną i ciągle jeszcze podobał się kobietom. Marta była tym mile zaskoczona i rosła we własnych oczach. Musiała być lepsza, skoro spośród tylu samotnych asystentek, profeserek, studentek i sekretarek jego wybór padł na nią. Jednak nie ma róży bez

kolców, Martę niepokoiła trochę awersja Adama do życia towarzyskiego, ona rwała się do ludzi, on ich unikał. Nie lubił większych zgromadzeń, przyjęć, a nawet wyjazdów za miasto, tylko do teatru chodził chętnie, zwłaszcza na premiery. Spotykali tam wielu jego znajomych, którzy o życiu prywatnym profesora mało wiedzieli, byli zaskoczeni widokiem Marty u jego boku, a przede wszystkim jej wiekiem. Mówili mu o tym podczas innych spotkań już bez niej: — Widzieliśmy pana profesora z córką. — To moja żona — odpowiadał z pewnym zażenowaniem. — Ach tak? Bardzo ładna. — Rzecz gustu — ucinał rozmowę lub zmieniał temat, a w domu kipiał ze złości. — Co ich obchodzi, że jesteś młoda i ładna, co im do tego? — Mają na ciebie chęć — pocieszała go Marta. — Mężczyźni też? — Zazdroszczą ci. — Nieprawda, oni mi współczują. — Tak uważasz? To przyjrzyj się ich żonom i przestań się dręczyć, przestań się mnie wstydzić. Jestem młoda, ładna, zgrabna, nieźle ubrana, a do tego niegłupia. Przeczytałam więcej książek, niż niejedna z tych twoich doktorantek. Niedługo skończę akademię i założę studium nowoczesnej gimnastyki pod nazwą „Wieczna młodość”, czy coś w tym guście. Narobię wokół niego tyle szumu, że niejedna z tych twoich wypindrzonych bab będzie błagała na klęczkach, żeby ją przyjął... Będiesz się jeszcze mną chwalił. Jestem ambitna. Jestem cholernie ambitna — powtórzyła z naciskiem. — Oczy jej rozbłysły niczym dwa szafiry w drogocennej oprawie. — I wiesz, cc jeszcze? Chce mieć z tobą dziecko. Byłam u lekarza. On uważa, że robimy to w nieodpowiednim czasie, kazał liczyć, ale ja nie chcę psuć sobie smaku, przez wprowadzanie buchalterii do łóżka. — Jesteś bardzo mądra i za to cię cenię... Niepokoi mnie jednak ta sprawa. Dziecko w moim wieku? Koledzy pękną ze śmiechu. — No i dobrze, niech pękają, nadęte balony powinny pękać. Jak uleci z nich trochę powietrza, to staną się podobni do ludzi... Nie wiedziałam, że tak ci na nich zależy. — Nie żyjemy na bezludnej wyspie. — Jeszcze gorzej. — Żyjemy wśród zawistników. Wiedzie ci się lepiej od innych i to ich kole w oczy, no mniejsza z tym. Nie będziemy się nimi zajmować. Lepiej zatańczmy. — Co? Tango? Naprawdę chcesz tańczyć tango? — Czemu nie? Tylko nie wiem, czy potrafię, ale ty mnie nauczysz, prawda? Wielu rzeczy nauczyłam się od ciebie i ciągle się uczę. Och, dobrze mi z tobą, chyba jestem szczęśliwa. — Nie mów tego zbyt głośno. Jeszcze kto usłyszy. Licho nie śpi. — To co? Będę powtarzać bez końca, że jestem szczęśliwa. Nie boję się, kiedy jestem z tobą, niczego się nie boję...

Nie mówiła prawdy, wtedy też, szarżowała odwagą, w rzeczywistości, żyła w ciągłym lęku i w ciągłym stresie, umierała ze strachu, kiedy Adam

wsiadał do samolotu, czy też udawał się w podróż samochodem. Ostatnie katastrofy kolejowe nastawiły ją nieufnie do pociągów. Bała się, kiedy pojękiwał we śnie, kiedy budził się zlany potem, kiedy kichał i kaszłał, miał niestrawność, gorączkę lub klucie w okolicach serca, tego najbardziej się obawiała. Wzywała lekarza i bardzo skrupulatnie stosowała się do zaleceń. Adama wzruszała jej troskliwość, jak większość mężczyzn lubił być pępkiem świata, ale czasem i on miał dość.

— Przestań wpychać we mnie te mikstury — mówił o miodzie z cytryną.

— Nic mi nie jest, przepłynąłem basen dwadzieścia razy.

— Zwariowałaś! — krzyknęła przerażona. — Ja wysiadam po dziesięciu.

— Kłamała. — Nie wolno przeciążać serca. Przyrzeknij mi, że tego więcej nie zrobisz! Wystarczy dziesięć... bardzo cię proszę.

— Dobrze, dobrze, jeżeli tak ci zależy, poprzestanę na dziesięciu... Adam wyjechał samochodem do RFN-u, ona czekała na telefon i przez kilka dni nie ruszała się z domu. Opuściła dwie lekcje angielskiego, ćwiczenia, wykłady, a wszystko niepotrzebnie, jak się miało okazać, bo on zadzwonił akurat w środku nocy z jakiegoś przyjęcia. Był w świetnym humorze, śmiejąc się oświadczył chętnie i zdaniem Marty trochę na wyrost, że czuje się jak młody bóg. Bawi się cudownie i tańczy do upadłego. — Nie pij za dużo, nie pal! — krzyczała do telefonu. Śmiał się i powtarzał: — Dobrze, dobrze, a czy wolno mi tańczyć, pani doktor? — Tylko tango, w ostateczności walca, w żadnym wypadku rocka. Nie zapominaj o kręgosłupie!

Zaprosiła ojca. Przeszedł na rentę i dorabiał sobie przy budowie domów, których mimo braku cegły, cementu, drewna i wapna powstawało sporo wzdłuż całej EKD i do instalowania krat, zamków oraz ogrodzeń ślusarz był bardzo potrzebny. Pracy miał dużo, zarabiał też nie najgorzej i po raz pierwszy w życiu coś niecoś odłożył na czarną godzinę, ale w związku z tym przybył mu nowy powód do zmartwień, galopująca inflacja czyniła jego oszczędności bezwartościowymi. Drugim, a właściwie pierwszym i starym powodem jego zmartwień był ulubieniec nieboszczki żony — jedyny syn Jacek. Chłopak, zgodnie z przewidywaniami Marty, po kilku brawurowych włamaniach do samochodów trafił do poprawczaka. Ojciec odwiedzał go regularnie co miesiąc i po każdym pobycie w zakładzie wracał przygnębiony. Jacek był hardy i butny, z ojcem rozmawiał jak z łaski, a wszystkie apele o dobre sprawowanie zbywał wzruszeniem ramion. Ojciec uśmiechał się bezradnie, skubiąc kurtkę, a w drodze powrotnej popłakiwał i prosił nieboszczkę żonę o pomoc. Marta posyłała Jackowi paczki, ale go nie

odwiedzała. Nie mogła mu darować, że tak głupio wpadł. Natomiast Renata, która nie miała tak twardych zasad, gdy tylko udało jej się zmusić do opieki nad trójką dziewczynek (zamiast wymarzonego dziedzica rodowego nazwiska Kęsik znowu urodziła się córka) swego wędrującego męża, jechała do Puszczy Mariańskiej i tam przed młodszym braciszkiem użalała się na wyrodną siostrę, która odcięła się od najbliższej rodziny. — Wstydzi się — mówiła z płaczem — mnie i mojego Zdzicha, nigdy nas nie zaprasza, ślub wzięła po kryjomu, a w tajemnicy przed swoim obecnym mężem trzymała do chrztu naszą najmłodszą córeczkę. I tak dziw, że się zgodziła, byłam przekonana, że odmówi. — Jacek wysłuchiwał tych nieustannych żalów z kamienną twarzą, a potem skąpo, urywanymi zdaniami wyniszczał swój pogląd. — Co tam rodzina... Ona wie co robi... Musi być twarda. — Renata patrzyła na niego maślanymi oczami i pociągała nosem. Nic nie rozumiała.

Ojciec nigdy nie wypowiadał swojego zdania na temat Marty. Nie miał go, podobnie jak na wiele spraw, których nie rozumiał. Chętnie bywał u niej w domu i usiłował się nagiąć do panujących tam zwyczajów, mył przykładowo ręce przed każdym posiłkiem, zmieniał ciężkie buty na kapcie, jadł zarodki pszenne, otręby i płatki kukurydziane, pił kawę z mlekiem i tylko gdy do obiadu Marta podawała czerwone wino, prosił o kieliszek czystej. Wino, zwłaszcza wytrawne, budziło w nim wstręt. Codziennie brał prysznic, bo tak chciała Marta, i znajdował w tym dużą przyjemność. Planował, również za jej namową, zbudować u siebie łazienkę, nie wiedział jednak, jak to zrobić, pokoje były małe, a w kuchni też brakowało miejsca na ulokowanie termy elektrycznej, wanny no i klozetu. Marta radziła dobudować łazienkę i spiżarnię, a nawet dodatkowy pokój, wygląd domu tylko by na tym zyskał, prostokąt prezentuje się lepiej niż kwadrat. Gdyby tak jeszcze zmienić dach na dwuspadowy — marzyła głośno i pokazywała ojcu kolorowe zdjęcia willi i domów w zagranicznych pismach. Ojciec zapalał się do poszerzania przestrzeni życiowej i wypijał w roztargnieniu kolejny kieliszek wódki, zapominając o zakazie lekarza. Pozostawała jednak do rozwiązania „kwestia pieniężna”, jak stwierdzał ze smutkiem, posługując się językiem telewizyjnych interlokutorów. Och! Marta nie widziała problemów, coś się wymyśli, trzeba tylko podjąć decyzję, nie odkładać wszystkiego do jutra. Na razie kazała mu sprzedać pierścionek, który dostała od Adama, nie nosi go, nie lubi złota. Ojciec był przerażony.

— A jak Adam zapyta, co się z nim stało?

— Och! — roześmiała się. — Powiem, że zgubiłam. Zresztą on już dawno zapomniał o tym pierścionku. Musisz mieć prawdziwy dom, z

łazienką. Trzeba pomyśleć o ogrzewaniu, zmienić ogrodzenie, nie mogę patrzeć na te koślawe sztachety.

Ojciec nie chciał wziąć pierścionka. Marta sprzedała go sama i dała mu pieniądze na pustaki i cement.

W przeddzień jej urodzin Adam wrócił z RFN-u i obsypał ją prezentami. Marta mierząc swetry, suknie, spódnice cieszyła się jak dziecko, a jeszcze, jakby tego było mało, Adam obiecywał niespodziankę.

— Poczekaj do jutra — uśmiechał się chytrze — otworzysz oczy i... Sądziła, że dostanie znowu pierścionek, który będzie musiała spieniężyć po kryjomu. Ale nie, Adam rzeczywiście postarał się. Rankiem, kiedy się obudziła, przed wjazdem do garażu stał fiat I26p w wymarzonej krwistym kolorze. Marta nie posiadała się ze szczęścia, usiadła za kierownicą i przez dwie godziny jeździła jak szalona po mieście. Wieczorem przy kolacji z szampanem, Adam oznajmił, że za kilka dni jadą do Bułgarii.

Wyjechali wreszcie razem nad ciepłe morze, które — zdaniem Marty — mogło być trochę cieplejsze. Przy nieustannym żarze, jaki sypał się z nieba, woda była dość chłodna, podobno jakieś prądy dotarły do Bułgarii i oziębily przybrzeżny pas wód. Mimo to wszyscy się kąpali. Morze było gładkie, bez fal, pływało się lekko, bez żadnego wysiłku, Marta też pływała, łamiąc ciągle przepisy, znowu niepostrzeżenie znalazła się za bojami, ratownik gwizdnął, Adam radził zawrócić. Płynęli, ścigając się, do brzegu. Adam rwał wodę ciężkimi uderzeniami, Marta zwolniła, kiedy zwyciężał i był lepszy od niej, poprawiało mu to samopoczucie. Wskoczył dziarsko na brzeg i czekał na nią z triumfalnym uśmiechem.

— A teraz — wydał komendę — bieg na przełaj! Raz, dwa, trzy... Pędzili, pryskając wodą, ludzie usuwali im się z drogi. Adam znów pierwszy dotarł na miejsce, chwycił ręcznik, owinał nim Martę i sięgnął pośpiesznie po zegarek.

— Muszę iść — oznajmił. — Umówiłem się niedaleko stąd w ogródkach działkowych.

— Dlaczego nie w kawiarni? — zdziwiła się.

— Później ci wyjaśnię — ubierał się nieomal w biegu.

— Pójdę z tobą.

— W żadnym wypadku. Czekaj na mnie w hotelu — rzucił szorstko i już go nie było.

Naburmuszona Marta usiadła na piasku i ubierała się bez pośpiechu. Adam stale coś przed nią ukrywał, ciągle gdzieś telefonował, umawiał się na tajemnicze randki, ukrywał przed nią znajomych twierdząc, że to nudziarze,

że łączą go z nimi tylko sprawy zawodowe. Na jej uwagę, że ludzie zajmujący się sztuką nie mogą być nudni, odparł: — Owszem. Mogą, a wiesz dlaczego? Oni zajmują się sztuką niejako urzędowo, etatowo i rutynowo. A to ich samych nudzi.

Był to wykręt, wiedziała, przyczyna tkwiła w niej, na pewno. On się jej wstydził. Ale przecież tu w Bułgarii nikt go nie znał, nikt się nie korzył przed jego wielkością, w telewizji pokazywał się nie tak znów często, żeby wszyscy go pamiętali, a jednak też zniknął, umawiał się z kimś któryś już raz, zostawiał ją samą, chociaż prosiła, żeby tego nie robił.

Wróciła skwaszona do hotelu. Wzięła prysznic, ubrała się w niebieską sukienkę, którą dostała od niego i czekała na balkonie, wpatrując się w niebo. Słońce zbliżało się do gór, za chwilę stoczy się z przełęczy, zostawiając na wodzie liliową przedzę, góry natomiast zapłoną czerwienią. Zielone morze połyskiwało srebrem. Plaża pustoszała. Parasole zwijały się jak płomienie.

Chrobot klucza w zamku obwieścił jego przyjście. Adam wrócił zmęczony i wchodząc do przedpokoju wycierał chustką spocone czoło. Marta wybiegła mu na spotkanie i chciała go ucałować. Odsunął ją łagodnie od siebie.

— Muszę wziąć prysznic, lepię się od potu.

— Mnie to nie przeszkadza — roześmiała się i nadal chciała go pocałować. Wyrwał się znowu.

— Chwileczkę — powiedział z tajemniczą miną. — Coś ci pokażę. Zamknął drzwi balkonowe i kładąc palec na ustach powiedział: — Nikomu ani słowa. To tajemnica.

— Za kogo ty mnie masz? Potrafię milczeć jak grób.

Nic nie mówił przez dłuższą chwilę, twarz miał skupioną i gorejące oczy. Drżącymi palcami wydobyl z torby niewielki pakunek owinięty w ligninę i miękki papier, rozwinął go i położył na stole.

— Ikona? — powiedziała spoglądając na niego ze zdziwieniem.

— Siedemnasty wiek — wyjaśnił z przejęciem nie odrywając oczu od kawałka drewna.

— I to jest ta tajemnica? — nie przestawała się dziwić.

— Święta Trójca, bardzo rzadki egzemplarz... — mówił jakby do siebie.

— Skąd wiesz? Jest zakopcona i brudna, nic tu prawie nie widać. Może to jakieś oszustwo?

Roześmiał się.

— Dziecino! Chyba się na tym znam, skoro mnie zapraszają na wykłady do tyłu krajów, chociaż na ogół nie brakuje znawców malarstwa Bizancjum, ani...

— To jest malarstwo? — przerwała ze śmiechem. — Nie żartuj! To ohydztwo?

Spiorunował ją wzrokiem.

— Tak — oznajmił. — I to jedno z ciekawszych, pamiętaj, jedno z ciekawszych.

— Być może — zgodziła się szybko. — Przepraszam, ale jestem kompletną ignorantką. To twoja wina, chętnie się wszystkiego uczę... Gdybyś tylko zechciał poświęcić mi trochę czasu... Ale skąd wiesz, że to siedemnasty wiek?

— Tak mi się zdaje... Upewnię się, jak zmyję ten wielowiekowy brud.

— I będziesz wiedział, kto ją namalował?

— Z tym jest gorzej — uśmiechnął się. Już zapomniał o jej niestosownym zachowaniu się. — Poza nielicznymi wyjątkami nie znamy nazwisk tych wspaniałych ludzi.

— Ale znamy ich dzieła. To przecież najważniejsze?

— Sądzę, że resztki dzieł. Większość, nie wiadomo czy nie najlepsza, zginęła bezpowrotnie. Niektóre z nich może jeszcze gdzieś są zapomniane, rzucone byle gdzie... Tak to jest... Zapomnienie działa najbardziej niszcząco... — Popadł w zadumę i powtórzył cicho: — Nie czas, lecz zapomnienie... Ciekawe jak by wyglądała historia sztuki, gdyby wszystkie najwspanialsze dzieła wielkich artystów dotrwały do naszych czasów? Złoty posąg Pallas Ateny z Akropolu, malarstwo greckie... Jeden z moich kolegów twierdzi z patosem, że sztuka jest nieśmiertelna. Nieprawda. Sztuka, tak jak wszystkie twory człowieka, ulega zniszczeniu. ..

— Mówiłeś o zapomnieniu.

— Zapomnienie jest jeszcze gorsze.

— Tego nie rozumiem...

Nie odpowiedział, ujął delikatnie ikonę przez papier, przeniósł do światła i oglądał przez szkło powiększające.

— Mieliśmy iść gdzieś potańczyć — przypomniła.

— Jestem zmęczony... — nadal nie odrywał oczu od nierównej deski. — Może pójdziesz z tymi z góry? Spotkałem ich w windzie. Pytali o ciebie.

— Co oni mnie obchodzą? Ja chcę iść z tobą, tylko z tobą. Westchnął z rezygnacją.

— Dobrze, ale musisz zaczekać, aż wezmę prysznic.

— Zaczekam. Z rozkoszą. Lubię na ciebie czekać, a jeszcze bardziej lubię być z tobą — uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, cmoknęła go w policzek i nastawiła radio. Głośne, urywane rytmy, przypominające kruszenie szkła i szczęk żelaza, wypędziły go z pokoju, a Marta stopiła się z nimi od razu, odsunęła stół i tańczyła omijając krzesła. Czowała, że jest młoda, silna, szczęśliwa. Młodość oznacza brak trosk, a ona ich nie miała. Morze połączyło się z niebem i studziło chłodnym oddechem rozgrzane plaże.

— Idziemy? — Adam odmieniony i uśmiechnięty wynurzył się z przedpokoju. W jasnych spodniach i białej koszuli wyglądał świeżo, włosy umyte przed chwilą rozsypywały się niesfornie nad czołem i gdyby nie srebrny nalot, można by mu dać nie więcej niż czterdzieści lat. Miał jasną gładką cerę, żywe czekoladowe oczy i czoło bez chmur. Naprawdę cieszył się z tej ikony.

— Idziemy! — wyłączył radio.

Staneła jak rażona prądem i stała chwilę bez ruchu, uwalniając się od rytmów huczących w jej głowie.

Na deptaku, przytulona do niego, uśmiechała się do świateł wyrastających z morza.

— Słuchaj, dwaj Bułgarzy na plaży, o, zaczynam mówić do rymu. Otóż dwaj Bułgarzy proponowali mi marki zachodnie. Co ty na to?

— Nic.

— Szkoda. Chciałam kupić w peweksie elektryczne noże, młynek do jarzyn, a przede wszystkim ekspres do kawy.

— Kupisz.

— Naprawdę? Jesteś cudowny — przytuliła się jeszcze mocniej. — To co? Wejdziemy? — wskazała lokal wibrujący głosami piszczałek i bębnow. Adam cofnął się przerażony, natomiast Marta podrygując radośnie wciągnęła go do środka. Rock działał na nią jak narkotyk, oszalał, wprawiał w drzenie. Przyłączyła się do tańczących i kołowała biodrami, rękami ciągnęła jakieś niewidzialne nitki, a uśmiechem wabiła Adama. Dołączył do niej i starał się powtarzać jej ruchy, robił to jednak ciężko, ospale, prawe kolano nie chciało się zgiąć, pewnie za długo siedział w wodzie, w karku tkwił gwóźdź i nie pozwalał wyprostować głowy. Pianista mrugał do Marty, miał w oczach słodycz południowej nocy i usta koloru wina, trębacz wydmuchiwał coraz wyższe tony, widocznie miał zamiar zawisnąć nad parkietem niczym pan młody z obrazu Chagalla. Ktoś boleśnie potracił Adama w nogę, zachwiał się, stracił równowagę, ale płót z rąk i

roztańczonych ciał uchronił go przed upadkiem. Marta wypłynęła nagle z drgającej masy, odnalazła go.

— Hej, hej! Hopsa sa! — zawołała.

Jej proste włosy rozsypywały się jak fale na wietrze, kropelki potu na powiekach świeciły niczym diamenty. Pałeczka perkusisty skakała po kotłach, zwijała się i przewracała, umykając zręcznie spod talerzy, palce pianisty zawisły w powietrzu, czarna głowa solistki pochyliła się w niskim ukłonie. Koniec. Adam przetarł oczy i usiadł. Chciało mu się straszliwie pić. Kelner z oczami wściekłego zwierzęcia zatrzymał się przy stoliku, odgradzając się od niego tacą. Nie odezwał się, bo to wymagało wysiłku. Czekał.

— Proszę schweepes.

— Nie ma.

— W takim razie niech będzie coca-cola.

— Nie ma — odpowiedział z radosnym błyskiem w oku.

— A co jest?

— Piwo.

— Proszę dwa piwa.

Marta paliła z uszczęśliwioną twarzą i przeciągała się jak kot.

— Wspaniale! Cudownie! — odsłoniła w uśmiechu dwa rzędy równych zębów fosforyzujących bielą. Mrok nałożył się na nią pajęczą siecią, Adam był również w tej sieci, chociaż jej nie dostrzegał. Zdawało mu się, że jest wolny, ale sieć splątywała go mocnymi włóknami. Piwo przyniosło odrobinę ochłody, było gorzkie i zimne. Znowu głos trąbki wzbił się ponad domy, zmieszał z warkotem silników na autostradzie.

— O widzisz! — ucieszył się. — Są nasi sąsiedzi z góry, zostawię cię z nimi, a ja wrócę do hotelu.

— To ja też pójdę z tobą — oświadczyła z gotowością. Rozmarzenie i szczęście zniknęły z jej oczu.

— W takim razie zostanę.

— Nie rób z siebie ofiary. Chodźmy! Zapłać za piwo!

— Posiedzę jeszcze, ale nie ciągnij mnie więcej na parkiet.

— To z kim mam tańczyć?

— Może cię ktoś poprosi.

— Mam tańczyć z nieznajomymi?

— Poznasz ich w tańcu.

— Adam!

— Żartowałem. Będę tańczył, będę szalał do białego dnia. To piwo postawiło mnie na nogi.

* * *

Jeszcze nigdy układanie rzeczy w walizce i pakowanie nie sprawiało mu takiej radości. Koniec, wreszcie koniec. Żegnajcie trąbki, talerze, metaliczne dźwięczne tony. Żegnajcie wieczory nabrzmiące konwulsyjnym rytmem, solistki, pianiści, ciężkie spojrzenia młodych chłopców, skały przybrzeżne, białe plaże ginące w cieniu parasoli, pachnące miodem lipy i schnące w upale róże. Jeszcze moment, krótka chwila i nie będzie go tutaj, stewardessa z uprzejmym uśmiechem powita go na pokładzie polskiego samolotu, a potem otoczy go cisza własnego domu, gdzie czeka na niego wygodny fotel, biurko, maszyna do pisania, skąpiane w rosie świerki za oknem, stara pocziwa wierzba i szklanka whisky z lodem...

— Wszędzie dobrze... — roześmiał się prostując ramiona. — Uważaj! — krzyknął na Filipa, który rzucił walizki w holu i wyskoczył przed dom.

— Zadzwoń — odwrócił się. — Teraz strasznie się spieszę. — Pomachał ręką i odjechał.

— No, wyglądamy nie najgorzej. — Marta obejrzała w lustrze siebie i Adama. — Ale ty jesteś czarny!

— A ty jesteś biała — wpadł w jej ton.

— W życiu nie byłam tak opalona — nie mogła odejść od lustra.

— Wszędzie dobrze... — powrócił do swojej piosenki Adam.

— Ale w domu najlepiej — skończyła za niego i oczy jej zgasły. — Tam było słońce, a tu... deszczowy lipiec, deszczowy sierpień i koniec lata... koniec lata — powtórzyła melancholijnie, podchodząc do okna. — Popatrz, już pada. Dokąd on się tak spieszył? — spytała, mając na myśli Filipa.

— Na jakiś pokaz filmowy. Kończy politechnikę, a marzy o karierze filmowej.

— Jako kto?

— Żeby to on wiedział? Raz chce być operatorem filmowym, raz reżyserem.

— A nie aktorem?

— Nie. On lubi rządzić.

— Ciekawe, po kim to ma?

— Na pewno nie po mnie.

— Ale leje. — Marta popatrzyła na szyby obficie zraszane wodą. Dom nasiąkł wilgotnym chłodem. Adam rozglądał się za ciepłym swetrem. Chwyciły go dreszcze.

— Może włączyć ogrzewanie? — zastanawiał się głośno.

— W sierpniu? — zdziwiła się.

— Zimno mi.

— Naprawdę? — dziwiła się coraz bardziej. Nie czuła chłodu, chociaż miała na sobie tylko letnią sukienkę bez rękawów. — To włączę — jednym susem dopadła drzwi i odwróciła się. — Wiesz co? Przygotuję kolację z winem. Co wolisz, pizzę czy spaghetti?

— Nic.

— Nie chcesz kolacji? Dlaczego? Trzeba kogoś zaprosić, uczcić nasz przyjazd, pokazać opaleniznę?

— Pokażesz jutro w pracy, a zresztą rób, co chcesz, zapraszaj, kogo chcesz, pij wino, tańcz, ale beze mnie. Mnie nie ma. Rozumiesz. Nie ma — zostawił walizkę w holu i uciekł do gabinetu, przekreślił nawet klucz w zamku.

Zwężonymi oczami spoglądała długo na ciężkie dębowe drzwi. Zbierało jej się na płacz, ale się opanowała, kopnęła wściekle walizkę.

— A niech to szlag! — powiedziała do siebie. — Wszystko nie tak. — Wzięła podręczną torbę, poszła do siebie na górę i włączyła Chopina.

Adam przebrał się w szlafrok i w kapcie, dotknął kaloryfera i stwierdził z zalem, że Marta nie włączyła ogrzewania, nie chciało mu się samemu schodzić do piwnicy i uruchamiać pieca, stanął przed rządami książek i uśmiechał się do nich jak do wiernych przyjaciół, dotykał grzbietów, odczytywał z lubością znajome nazwiska autorów. Po chwili wrócił do holu i z dna walizki wydobył ikonę owiniętą w gruby ręcznik i papier, wyjął ją delikatnie, jakby była z kruchego szkła, położył na biurku, zapalił lampkę i przez jakiś czas uśmiechał się do kawałka poczerniałej deski. Usłyszał nagle trzask drzwi wejściowych, wyjrzał przez okno. Marta otworzyła garaż, wyjechała swoim maluchem na ulicę i chcąc mu zapewne zrobić na złość, zostawiła otwartą bramę.

— Coś takiego — zdziwił się bez złości. — Czyżby pierwsze oznaki buntu? — Marta jeszcze nigdy nie wyszła z domu bez pożegnania. Zawsze całowała go z wielką czułością, mówiła, dokąd idzie i kiedy wróci, a dziś odjechała bez słowa, no, no... Nie był zmartwiony, jedyna niedogodność — to otwarta brama i deszcz. Musiał wyjść na zewnątrz, nie było rady.

Zamknął bramę i garaż, sprawdził alarm, wszystko grało, był bezpieczny i sam, nareszcie sam, nucił coś, popijając whisky i nagle, jakby podjął ważną decyzję, sięgnął po telefon.

— Dzień dobry — powiedział do słuchawki. — Przed chwilą wróciliśmy. Dzwonię z domu.

— Jak było? — spytała Irena głosem pełnym cudownych drgnień. Każdy banał wypowiedziany przez nią nabierał wielorakich znaczeń.

— Och! Wspaniale — roześmiał się Adam. — Występowałem w roli dyskotekowego błazna. Ja ze swoim kręgosłupem tańczyłem rocka. Wyobrażasz sobie?

— Czemu nie? Przecież to taniec twojej młodości.

— Przede wszystkim starości, moja miła.

— Przesadzasz z tą starością, wyglądasz świetnie.

— Nawet coraz lepiej. Straciłem trzy kilogramy, a przybyło mi kilka metrów pomarszczonej skóry.

— Nie histeryzuj, jak na swoje lata trzymasz się znakomicie.

— Jak na swoje lata... — powtórzył z goryczą.

— Możesz się zoperować.

— Nie bądź śmieszna. Nie zarabiam twarzą na życie, ty to co innego. Zresztą, nawet gdybym chciał, nie mam czasu. Podpisałem umowę na nową książkę. Muszę się spieszyć. Wydawcy zagraniczni są niecierpliwi.

— Nie wydajesz w kraju?

— Tu? Daj spokój! Czy tu kogoś interesuje historia ikon? Nasi wydawcy stali się kapryśni i niezdecydowani. Sami nie wiedzą, czego chcą. A tamci obiecują wydać książkę w ciągu trzech miesięcy.

— Bardzo się cieszę. Zawsze chciałeś pisać o tym, co cię naprawdę interesuje.

— Chyba mi przeszło. Muszę jednak zarabiać. Zwiększyły mi się wydatki. A propos, ile potrzebujesz?

— Bardzo dużo, ale poprzestanę na pięćdziesięciu tysiącach.

— Podrzucę ci je jutro do teatru, ale Marcie ani słowa.

— Nie potrzebujesz mówić. Kiedy przyrowadzisz ją do mnie?

— Nie wiem. Najpierw muszę odpocząć. Nacieszyć się swoim biurkiem, książkami... No i trzeba ją do tego przygotować. Jest bardzo podejrzliwa, nieufna. Widzi to, czego nie ma.

— Już żeście się pokłócili? Nigdy nie mówiłeś o niej w ten sposób, nie narzekałeś...

— I nie narzekam. To coś zupełnie innego... Jestem po prostu zmęczony.

* * *

Marta wróciła w środku nocy w nie najlepszym humorze. Poznał to po sposobie, w jakim się poruszała, najpierw nieprawdopodobnie długo

szamotała się z bramą wjazdową, potem przeszła przez hol, stukając niczym żołdak metalowymi obcasami, wreszcie pluskała się w łazience i głośno słuchała radia, a co najważniejsze, nie przyszła powiedzieć mu dobranoc, rano również odstąpiła od swoich zwyczajów i nie zajrzała do niego, nie było więc pocałunku ani ożywczego „dzień dobry”. Wstał więc niechętnie i goląc się w łazience usłyszał, jak Marta rozwała coś w kuchni. Zajrzał do niej z niepewnym uśmiechem.

— Dzień dobry. Jak się czujesz? — spytał siląc się na beztroski ton.

— Świetnie. Dzień dobry — mruknęła rzucając patelnię. — Co pijesz? Herbatę czy kawę?

— A ty?

— Kawę.

— To i ja poproszę o kawę.

— Coś ty taki zgodny? — spojrzała na niego nieprzyjaźnie zimnymi oczami.

— Przepraszam za wczoraj. Po prostu zmęczyli mnie ludzie i chciałem być sam. Gdzie byłaś?

— Powiedziałeś, żebym robiła, co chcę, więc robiłam.

— Chciałbym jednak wiedzieć.

— Byłam w kinie.

— Tak długo?

— Na dwóch filmach.

— Widział ktoś twoją opaleniznę?

— Bileterki.

Adam roześmiał się zadowolony.

— Dzisiaj pójdziemy do teatru.

— Nic nie grają. Przecież są wakacje.

— Coś zawsze się znajdzie. Chyba, że masz inne plany?

— Chciałam pojechać do ojca.

— W takim razie zjem coś na mieście.

— Pani Jadzia ci przygotuje. Zostawię jej mięso.

— Nie trzeba. Nie lubię jeść sam.

— Trudno za tobą nadążyć. Raz lubisz, raz nie.

— Nie przejmuj się mną. Jestem zmienny w nastrojach.

— Powinieneś być artystą, a nie profesorem.

— Jestem, ale w innym sensie, niż się powszechnie uważa. Całe życie zajmuję się sztuką i chyba mam prawo do różnych humorów. Przepraszam. Rozchmurz się, no...

— Miej sobie — machnęła ręką i uśmiechnęła się wreszcie. W pełnej harmonii zjedli śniadanie i wypili kawę. Przed wyjściem Adam wyściskał ją jak zwykle i przyrzekł nie spóźnić się na obiad, pomógł jej wyprowadzić wóz z garażu. Był miły, taki jak co dzień, a mimo to małeńka zadra w sercu Marty została. Nie był to jeszcze jakiś wyraźny znak, pęknięcie czy rysa, ale pierwsze ledwie uchwytnie ostrzeżenie przed czymś, co może położyć się cieniem na całym ich życiu. Postanowiła wyostrzyć czujność i mieć się na baczności.

* * *

Ojciec, korzystając z pomocy sąsiada Możajskiego, budował dom, a właściwie to go poszerzał czy też wydłużał, wszystko zależy od punktu widzenia. Chłapiąc zaprawą i układając pustaki obaj panowie wymieniali miejscowe plotki i uzdrawiali gospodarkę PRL. Ta ostatnia stała się ich namiętnością, mówili podniesionymi głosami grożąc komuś. Wyglądało na to, że stawianie ścian było ich ubocznym zajęciem. Pan Możajski ssąc oblepionego cementem peta wykrzykiwał:

— Wczoraj o jedenastej zamkli GS, kurwa ich mać, skup też zamknięty, ludzie ze zbożem jadą, a tu kłódka na bramie i kartka: Z powodu choroby... Wszyscy chorzy, niech skonam, kiosk z gazetami pół roku nieczynny, bo Matulowa choruje. Wychodzi na to, że tylko my zdrowi.

Marta postawiła samochód w cieniu i przysłuchiwała się rozmowie. Możajski z ojcem mieli kilka niezawodnych sposobów na uzdrowienie gospodarki: po pierwsze, wywalić wszystkich urzędników GS i gminy łącznie z naczelnikiem, niech będzie wójt, do pomocy można mu dać jakąś panienkę, niech pisze na maszynie, bo wójt pewnie nie umie, węgiel sprzedawać, kurwa za pieniądze, nie za jakieś tam, kurwa...

Marta nie miała ochoty poznawać wszystkich projektów reform, omijając rozsypany cement i pieniące się wszędzie pokrzywy, ruszyła w kierunku domu.

— Hej! Robotnicy majowi! — krzyknęła. — Co jest? Jak wam nie wstyd! Na swoim pracujecie czy na państwowym? Jak tak dalej pójdzie, to nie postawicie tych ścian do zimy!

— Zrobi się, zrobi — splunął pod nogi pan Możajski i cisnął peta w trawę.

— Cóż ty taka w gorącej wodzie kapana? — oburzył się ojciec. — Przecież pracujemy.

— Załatwiłam eternit na cały dach. Jutro przywiozą.

— A pieniądze? — przestraszył się ojciec.

— Nieważne. Grunt, że dostałam.

— A to faktycznie, trzeba by podciągnąć te ściany — ożywił się, chlapanął zaprawą na pustaki, nie zapytał jednak o cenę.

— Ugotuję wam coś smacznego — powiedziała widząc, że biorą się do roboty. Wciągnęła ogromny kosz z zakupami do kuchni, pootwierała okna i z zadowoleniem rozejrzała się po mieszkaniu. W pokojach było dość czysto, podłogi pomyte, w kuchni porządek, żadnych brudnych naczyń czy śmieci. No, no, no — nie mogła się nadziwić. Ojciec prawdopodobnie ze strachu przed nią zaczął się myć, sprzątać i w ogóle lepiej organizować sobie życie. Tak — uśmiechnęła się do krzywego lustra wiszącego nad kuchennym stołem — oboje coraz lepiej organizują sobie życie, zwłaszcza ona robi to wręcz doskonale, żyjąc lekko i przyjemnie z dala od pań Kiełbasińskich i ich przyziemnych spraw... Brak jej jednak rozrywek, za mało bywa wśród ludzi, latem zaniedbała nawet koncerty, których nie było znowu tak wiele, te przy Chopinie w Łazienkach czy na wolnym powietrzu w Wilanowie nie liczyły się dla niej, ważne były sale, blask kryształowych żyrandoli, światła gasnące powoli, półmrok lekki jak mgła i żadnych odgłosów, świergotania, kwilenia, żadnych słońc, obłoków, pełne skupienie i spokój zakłócanie jedynie podmuchami nadziei, że w przerwie na korytarzu, w foyer czy na schodach natknie się wreszcie na niego, powie mu cześć i spyta: jak leci? Być może po koncercie pójdą gdzieś pogadać przy winie, usiądą naprzeciw siebie, popatrzą sobie w oczy i westchną — jak ten czas leci. Być może umówią się na mały spacer albo na przejażdżkę za miasto... Jeszcze raz zajrzała do lustra, starła palcami pionową zmarszczkę, która od najmłodszych lat pojawiała się na czole w chwilach skupienia. Nie ma co karmić się iluzjami — mruknęła i przebrała się w starą postrzępioną sukienkę, szybko usmażyła kotlety, obrała kartofle i nie wykazując już najmniejszego zainteresowania budową, pożegnała się z ojcem. Obiecała wpaść nazajutrz albo za trzy dni i nie wpadła, po prostu nie zdążyła.

Życie nabrało tempa, nie mogła wykroić dla siebie nawet kilku godzin. Do Adama przyjechali zagraniczni goście i trzeba było zajmować się nimi, chodzić do lokali, wozić ich do Torunia, przyjmować u siebie i wszelkimi sposobami uatrakcyjnić im pobyt. Przy okazji wprawiała się w konwersacji po angielsku. Mówiła źle, z błędami, ale bez żadnych zahamowań, pomagając sobie gestami. Goście byli nią zachwyceni. Kobieta, dentystka z Nowego Jorku, śmiała się chętnie i dużo mówiła, Marta nie wszystko rozumiała, słuchała jednak uważnie, kiwała głową, uśmiechała się i to pani dentystce wystarczało. Jej mężowi, wykładowcy z uniwersytetu Columbia,

podobały się wszystkie dziewczyny z wyjątkiem własnej żony, więc Marta nie musiała się zbytnio wysilać. Było miło, ciągle się coś działo, Marta czuła, że żyje, odpowiadał jej ustawiczny ruch, zmiany, toteż po wyjeździe gości wyraźnie posmutniała, przygasła, natomiast Adam odetchnął, wrócił do swej samotni przy biurku i pogrążył się w pracy. Marta, chcąc nie chcąc, musiała przygotować się do egzaminu, który przełożyła z sesji wiosennej na jesień. Nauka nie sprawiała jej nigdy większych trudności, tym razem też po tygodniu upartego wtłaczania do głowy nie zawsze zrozumiałych definicji zdała na piątkę. Wróciła do domu z butelką szampana, chciała go od razu otworzyć, ale Adam z wielkim przejęciem, które Marcie wydało się nie na miejscu, oznajmił, że telefonowała Irena i zaprosiła ich na kolację. Szampana wypiją kiedy indziej.

— Nie mogła uprzedzić wcześniej? — zdziwiła się Marta. — Przecież to nawet nie wypada?

— Telefonowała, ale ci nie powiedziałem. To miała być niespodzianka. Przecież i tak chcieliśmy gdzieś pójść... Należy uczcić ten egzamin.

— Z nią?

— A dlaczego nie?

— Nie wiem. Boję się... Ona robi wrażenie nieprzystępnej i zimnej...

— Nie bądź dziecinna! Ona przecież nie kopie, nie gryzie...

— Dobrze, już dobrze — zgodziła się szybko Marta. — Ale w co ja się ubiorę?

Adam skrzywił się z niesmakiem i czym prędzej wycofał się za drzwi. Nie znosił rozmów na ten temat. Po chwili grzmocił już w maszynę do pisania. Musiała zdecydować sama. Był chłodny wrześniowy dzień, deszcz ustał. Po niebie pędziły czarne chmury z białymi obwódkami i gromadziły się wokół słońca jak stado srok. Wiatr krzyczał również ptasimi głosami. Marta miała jeszcze resztki opalenizny na twarzy, jasne pasma we włosach i chciała włożyć letnią sukienkę, która odsłaniała jej kształtne ramiona i długą szyję. Było jednak za zimno, więc po licznych przymiarkach postanowiła ubrać się w szafirową bluzkę z jedwabiu dobraną kolorem do oczu i czarne luźne spodnie z błyszczącej tkaniny, lakierki i płaszcz z szerokimi klapami, zebrany w ściągacz u dołu. Dyskretny makijaż wraz z perfumami „poison”, które według niej były najlepszą wizytówką kobiety, uzupełniały całość... Gotowa do wyjścia, uderzyła palcem w dębowe drzwi.

— Już czas. Musimy jeszcze kupić kwiaty — przypomniała nieśmiało.

— Że też nie pamiętałaś o tym wcześniej — mruknął niezadowolony Adam. — Wejdz! Nie lubię tych rozmów przez drzwi.

— Czego się złościysz?

— Och! Jakaś ty piękna! — zawołał, nie kryjąc przy tym dumy. — W niczym nie przypominasz tej dziewczyny, która robiła mi masaż. Wspaniale! — pocałował ją i narzucił na siebie marynarkę w drobną kra teczkę. Schudł i wyglądał młodziej niż wówczas, kiedy go poznała. Przypisywała to pływaniu i grze w tenisa, a przede wszystkim sobie.

— Kiedy ją widziałeś? — spytała podchwytliwie.

— Kogo? — odpowiedział pytaniem, żeby zyskać na czasie i znaleźć jakąś wykrętną odpowiedź.

— Ją. Nie udawaj.

— Wczoraj u Filipa. Masz coś przeciwko temu?

— No wiesz? Chodźmy już! Nie zapomnij włączyć alarmu. Wzięła go pod rękę wdychając z lubością woń tabacu, który może nie jest stuprocentowo męskim zapachem, ale do Adama wyjątkowo pasował.

A teraz najważniejsze — mówiła do siebie — nie pokazać tremy, nie popełnić jakiegoś fauxpas, zachowywać się swobodnie i naturalnie, ale bez przesady. To jej się udało. Patrząc na nią, nikt by się nie domyślił, że umierała ze strachu. Zresztą Irena robiła wszystko, żeby ją ośmielić.

— Cieszę się, że pani dobrze poszło i gratuluję — ścisnęła mocno jej rękę i uśmiechała się niezwykle serdecznie. Marcie było przyjemnie, że taka sławna kobieta pamiętała o jej egzaminie. Podziękowała z prawdziwym wzruszeniem i popatrzyła na nią z wdzięcznością. Irena wyglądała lepiej niż w telewizji, była znacznie szczuplejsza, młodsza i o wiele ładniejsza. Pachniała również niezwykle, czymś gęstym i słodkim, ale bardzo przyjemnym. Miała na sobie beżowy komplet z naturalnego jedwabiu, dopasowany odcieniem do koloru włosów. Poruszała się lekko wśród prostych mebli, których nie zauważało się w pierwszej chwili, bo były tak umiejętnie wkomponowane w przeszklone, nowoczesne wnętrza. Książek nie miała zbyt wiele, zaledwie kilka półek przymocowanych do ściany, trzy abstrakcyjne obrazy, niebiesko-granatowy dywan z długim włosiem, granatowo-białe fotele, kilka strzelistych szkieł. Marcie podobało się ciepłe pastelowe wnętrza, a przede wszystkim gospodyni, która po powitalnych okrzykach usadowiła ją w najwygodniejszym fotelu i podała jej drinka.

— Roberta nie ma — powiedziała do Adama. — Reżyseruje „Romea i Julię” w Szczecinie. Bardzo się o niego boję, Szekspira nie może grać byle kto, a tam... Namęczy się chłopak, zanim coś wykrzesze z tego zespołu. Obsłuż się sam. Chcesz whisky z lodem? Z przyjemnością usiądę — przysunęła swój fotel do Marty. — Jestem wykończona, wczoraj chciałam

już zrezygnować z roli starej kobiety, którą gram w filmie Konopczyńskiego. Rola ciekawa, nawet bardzo, ale te warunki, nie do opisanía. Marznę, czekając na zdjęcia, nikt się nawet nie zatroszczy, żeby mi podać szklanke gorącej herbaty. W wytwórni brud, zimno, nie ma gdzie usiąść wygodnie, chyba w żadnym kraju nie robi się filmów w takich warunkach i takim kosztem, poniewierając ludźmi, bez żadnego zaplecza i właściwie bez sprzętu, ciągle się coś improwizuje...

— Przepraszam, czy już? — W drzwiach ukazała się koścista twarz niemłodej kobiety.

— Tak, tak — ocknęła się Irena. — Chodźmy coś przekąsić. Pani Stasia chce już iść. U mnie jada się w kuchni — powiedziała do Marty i uchyliła przed nią drzwi. Adamowi nie potrzebowała niczego wyjaśniać, on wiedział, co gdzie się znajduje.

— Kuchnia — roześmiała się Marta. — To przecież jadalnia.

Weszli do sporego pokoju oddzielonego od kuchni barem z wysokimi stołkami. Tu już nie było tak jasno, dwa ciemne kolory nakładały się na siebie, stwarzając wrażenie solidnej elegancji. Szafki były w kolorze wiśni, natomiast barek i stołki ciemnobrązowe, stół tradycyjnie nakryty białym obrusem, a na nim chińska porcelana.

Pani Stasia podała kurę po chińsku, posiekane w paski jarzyny ułożone w piękne kolorystyczne wzory, do tego ryż i wino. Powiedziała, gdzie znajduje się ciasto i wyszła w pośpiechu.

— No i bardzo dobrze — odetchnęła Irena. — Nie lubię jak się tu kręci i podsłuchuje.

— Nie opowiadaj — roześmiał się Adam. — Nie możesz bez niej żyć.

— To prawda — zgodziła się. Nikt w kraju nie potrafi tak gotować jak ona. — Kucharze z „Szanghaju” powinni u niej terminować. No to zdrowie! — uniosła kryształowy kielich. — Nie sądzi pani — zwróciła się do Marty — że powinniśmy mówić sobie po imieniu?

— Och! Ja bardzo chętnie — ucieszyła się Marta — ale nie wiem, czy przejdzie mi to przez gardło. Pani jest taka sławna i znana.

— I to panią peszy? — zdziwiła się Irena. — A nie mój wiek?

— Pani wygląda bardzo młodo...

— Ile mi pani daje? — spytała kokieteryjnie Irena.

— Trzydzieści dwa, trzy — zawahała się Marta.

— Trochę przesadziłaś — zaoponował Adam — ale tylko trochę.

— No to zdrowie! — Irena wstała i ucałowała Martę. — Dawno już chciałam cię poznać. Adam tak zwlekał...

— On się mnie wstydzi! — wybuchnęła Marta.

— Ciebie? To niemożliwe! — zaprzeczyła z oburzeniem.

— Uważa, że jestem głupia, źle wychowana, niedouczonea...

— Och! Masz kompleksy, to zrozumiałe. Trudno w twoim wieku dorównać mu wiedzą. Na to trzeba czasu. Sądzę, że go raczej krępuje twój wiek. Mam rację? — popatrzyła na Adama z czułością.

— Masz rację, jak zwykle — odpowiedział, całując ją w rękę.

— A czy ty przynajmniej wiesz, że Marta jest bardzo piękna? Adam pokiwał głową.

— Jest coraz piękniejsza, po prostu rozkwita z każdym dniem. I to mnie niepokoi.

— Jesteś zazdrosny? — spytała Irena z lekkim zdziwieniem.

— Jestem dziko zazdrosny, chociaż jak dotąd nie mam o kogo ani o co.

— To niedobrze — zmartwiła się Irena i znowu uśmiechnęła się do Marty. — Musisz coś zrobić, żeby nie był taki pewny siebie. Mężczyźni lubią konkurować, walczyć, wygrywać. Innymi słowy, lubią się sprawdzać, inaczej stają się apatyczni, znudzeni. Pamiętaj o tym i stosuj się do moich rad.

— Postaram się — powiedziała Marta, żeby jej zrobić przyjemność.

Adam w ogóle nie zareagował na jej słowa. Pił wino i chwalił kurę po chińsku.

Irena nic nie jadła, odstawiła kieliszek z winem i naląła sobie wódki.

— Wino mi szkodzi — wyjaśniła Marcie, gdyż cały czas zwracała się tylko do niej.

Marta uniosła kieliszek i powiedziała:

— Zdrowie uroczej gospodyni i wspaniałej aktorki.

— Zdrowie — powtórzył Adam i opuścił wzrok na talerz, bąknął jakiś banał na temat wina i wyraźnie posmutniał. Marta odłożyła widelec i zapytała czy może zapalić. Irena pozwoliła, ona też — uśmiechnęła się — pociągnie parę dymków, chociaż nie powinna. Głos, powiedziała, jest jej organem zarobkowym, musi więc dbać o niego.

Adam wyciągnął z kieszeni fajkę i zaczął nabijać.

— Czy wiesz? — Irena znowu zwróciła się do Marty — że kiedy go poznałam, już palił tę swoją fajkę?

— Po co jej o tym mówisz? — oburzył się. — Każe mi natychmiast rzucić, powie, że to na coś tam szkodzi.

— Bo szkodzi — wtrąciła Marta — ale ja ci niczego nie zabraniam. Nie mam zamiaru ograniczać twojej wolności.

— Palił fajkę i jak szalony jeździł samochodem — Irena powróciła do swoich wspomnień. — Marzyły mu się rajdy i takie tam rzeczy, a trzeba ci wiedzieć, że samochód był wówczas rzadkością.

— Fajka nie — wtrącił ze śmiechem Adam.

— Mówicie tak, jakbym miała dziesięć Jat i nic nie wiedziała.

— Bo masz. Siedź cicho — skarciła ją łagodnie Irena. — Nie było cię jeszcze na świecie, kiedy go poznałam.

Adam potrząsnął głową i skrzywił się. Nie lubił, kiedy wypominano mu lata. Irena tego nie spostrzegła.

— Był maj — kontynuowała. — Wyobrażasz sobie? Ciepły, pogodny maj. Wtedy czuło się, że jest maj, nie było tych cholernych spalin, w Warszawie śpiewały słowiki, nawet przed Pałacem Kultury na skrzyżowaniu Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej jeden koncertował... Tak... Ludzie mieli pogodne twarze i chodzili po ulicach wolnym spacerowym krokiem, dziś już nikt tak nie chodzi, wszyscy biegają, pędzą gdzieś nieprzytomnie. A Warszawa roiła się od pięknych dziewczyn, pamiętasz Adam? Wystarczyło przejść się Krakowskim Przedmieściem, by doznać zawrotu głowy. Cudzoziemcy, którzy zaczęli wówczas przyjeżdżać do Warszawy, zwracali przede wszystkim uwagę na urodę dziewczyn. A dziś ładne dziewczyny należą do rzadkości, tak jak kiedyś samochody. Co się z nimi stało? Powyjeżdżały czy co? Jeśli chodzi o mężczyzn, to nie wiem. Polacy, zdaje się, nigdy nie słynęli z urody, co innego dziewczyny, wtedy co druga była piękna. A wszystkie umiały się ubrać. W sklepach nic nie było, szaroburo jak teraz, a dziewczyny były modne, kolorowe, ładne, wspaniałe... Ja też byłam ładna.

— Byłaś piękna — poprawił ją Adam.

— Zdaniem niektórych — Irena opuściła skromnie oczy. — Wracalam rozradowana po próbie. Grałam w „Trzech siostrach” i byłam dobra. Wiedziałam, że jestem dobra. Takie rzeczy zawsze się wie. Reżyser był również tego zdania, a nawet koledzy musieli przyznać bezstronnie, że jestem dobra... Pamiętam nawet, jak byłam ubrana. Miałam na sobie szeroką spódnicę w bajeczne wzory, obcisłą trykotową bluzkę z ciuchów, zamszowe pantofle na kaczuszcze, długie włosy upięte w fantazyjny kok, bo wtedy chciałam wyglądać starzej. Na Krakowskim zatrzymał się przy mnie samochód i bardzo szczupły chłopak o ostrym profilu, otworzył drzwiczki i kazał mi wsiadać. Masz pojęcie? Nie namawiał, nie pytał, dokąd mnie podwieźć, nic z tych rzeczy. Po prostu powiedział: — Proszę wsiadać! — Zawahałam się oczywiście, a on tonem nie znoszącym sprzeciwu powtórzył:

— Proszę. — Wsiadłam. Po prostu miał taką siłę w głosie, że nie mogłam odmówić. W dalszym ciągu nie pytał, dokąd mnie podwieźć, tylko tym samym tonem nie znoszącym sprzeciwu oznajmił, że zabiera mnie na obiad. No i tak się zaczęło... Pora żebyśmy wypily twoje zdrowie — uśmiechnęła się zmaconą zielenią swych oczu i stuknęła się z nim kieliszkiem.

Adam zapomniał się chyba, bo w jego oczach ukazało się dziwne światło... Irena wypila szybko wódkę, Adam podziękował i małymi łykami saczył wino. Marta też piła, ale dziwny niepokój wkradł jej się do serca. Nie mogła się skupić, niezbyt uważnie słuchała Ireny. Piła więcej niż zwykle i uśmiechała się nadrabiając miną. Irena opowiadała o swoich sukcesach, oklaskiwano ją nie tylko w Warszawie, ale w Pradze, Berlinie i Moskwie. Wszystko to, jak podkreślała, działo się w dawnych czasach, kiedy była młoda i piękna. Oboje zapewniali ją, że nadal jest piękna i młoda, ale ona śmiejąc się machała lekceważąco ręką. Wiedziała swoje.

W końcu zrobiło się późno i trzeba było wyjść. Irena odprowadziła ich do przedpokoju, pochwaliła płaszcz Marty.

— Bardzo się cieszę — powiedziała tuląc się do niej — żeśmy się poznały. Mam nadzieję, że się zaprzyjaźnimy.

Marta zaskoczona jej wylewnością bąknęła:

— Bardzo bym chciała, ale nie wiem, czy jestem godna — dygnęła jak uczennica, jednak zauważyła pewną sztuczność w zachowaniu Ireny. Adam z wielkim szacunkiem pocałował ją w rękę, ona objęła go i szepnęła mu coś do ucha. Uśmiech znikł z twarzy Marty. Irena stanęła w otwartych drzwiach i dziękowała im za miły wieczór. Mówiła coś jeszcze, gdy wsiadali do windy, ale chrobot i jękliwe zgrzytanie dźwigu zagłuszyły jej słowa. Adam uśmiechał się do swego odbicia w lustrze, Marta była przygaszona i zła.

— Rozluźnij się — skarcił ją. — Dlaczego jesteś taka spięta?

— Nie mogę — wybuchnęła. — Cały czas czułam się jak na przyjęciu u teściowej.

— Przesadzasz! Irena była bardzo miła. Zaakceptowała cię od razu. Powiedziała, że twoja twarz wzbudza zaufanie.

— Przykro mi, ale o niej nie mogę tego powiedzieć. Jest przebiegła i sprytna i cały czas gra postać, której nie lubię.

— Przesadzasz, ona po prostu jest taka.

— Nie, dzisiaj grała Marię Stuart.

— Mówię ci, że przesadzasz, ona nigdy nie grała Marii Stuart. Nie spodobała ci się? — zaniepokoił się.

— Nie o to chodzi. Nie jestem mężczyzną, nie działają na mnie jej wdzięki. Podziwiam ją jako aktorkę, ale nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego ona ciągle musi się sprawdzać? Osiągnęła przecież tak wiele, a ciągle się sprawdza, nawet w konfrontacji ze mną i nie tylko. Uwiodła młodego faceta po to, by się przekonać o swojej sile, zdaje się, że już go rzuciła i rozgląda się za następcą. Jakiś, oczywiście młody, kompozytor wpadł jej w oko. Zastanawiam się, jak ona to robi? Z byłym mężem utrzymuje przyjazne stosunki, a on dalej wspiera ją finansowo. Uważam, że to słuszne, zachodzące gwiazdy powinny błyszczeć.

— Ona nie jest zachodzącą gwiazdą — obruszył się.

— No, wschodzącą też nie — uśmiechnęła się złośliwie.

— Jeżeli zależy ci na tych pieniądzach, wstrzymam jej wypłaty od pierwszego.

Marta popatrzyła na niego z ironią.

— Och! Rób, co chcesz. Pieniądze nie są dla mnie najważniejsze. Nigdy nie były. Zależy mi na tobie, chcę, żeby ci było ze mną dobrze, żebyś był szczęśliwy.

Adam nic nie powiedział. Pokiwał głową i uśmiechnął się z niedowierzaniem. Wyszli z piszczącej windy. Marta rozprostowała ramiona i wyrzuciła ręce jak podczas porannej gimnastyki, chciała pozbyć się tego cholernego napięcia, odprężyć się nieco. Adam nie patrząc na nią zmierzał wprost do samochodu. Dogoniła go, chwyciła za rękę, przycisnęła z gorącym westchnieniem jego dłoń do policzka.

— Strasznie mi na tobie zależy — powiedziała. Wzruszył ramionami, jakby powiedziała coś niestosownego.

— Trudno mi w to uwierzyć — mruknął zdawkowo, otwierając samochód.

— Dlaczego? — wykrzyknęła z oburzeniem. — Dlaczego ciągle masz te cholerne wątpliwości?

— Bo jestem stary dziad, niezadowolony z siebie i ze wszystkiego.

— Ze mnie też?

— Czasami.

Marta spochmurniała. Wszystko tego dnia sprzysięgło się przeciw niej.

— Słuchaj! — popatrzyła błagalnie na niego. — Jestem nie w sosie, może poszlibyśmy gdzieś potańczyć?

— Co? — popatrzył na nią nie rozumiejąc.

— No, do jakiegoś lokalu?

— Zwariowałaś? Czy ty nie wiesz, która godzina? Jutro o dziewiątej muszę być na uniwerku.

— A ja w akademii.

— Ty, ty — zaśmiał się jak szalony. — Ja w twoim wieku w ogóle nie kładłem się spać. Siadaj! Wracamy do domu.

* * *

Odprowadziła go do wylotu szosy katowickiej i tam pożegnała. Adam wyjeżdżał na kilkanaście dni do RFN-u, nie wiedział, kiedy wróci, a może nie chciał powiedzieć? Marta wietrzyła w tym jakiś podstęp. Wróci wcześniej, niż planuje, żeby ją na czymś przyłapać, ale na czym? Wierzy przecież w jej miłość, wie, że go nie zdradza, powinien również wiedzieć, jeżeli choć trochę ją zna, że gdyby nawet ktoś wpadł jej w oko, nie pozwoliłaby sobie na żadne zbliżenie. Jest lojalna, zna swoje miejsce. I za dużo ma do stracenia.

Tym razem pożegnanie małżonków było mniej czułe niż zwykle, Adam się spieszył, Marta była zamyślona i w każdym jej geście uwidaczniał się pośpiech.

— Zadzwoń, jak dojedziesz — pomachała mu ręką, a kiedy znikł za zakrętem, z szybkością strzały pomknęła do budki telefonicznej.

— Pan Janek? — upewniła się, słysząc męski głos.

— Tak, to ja.

— Proszę przyjeżdżać. Za piętnaście minut będę w domu — powiesiła słuchawkę, jej czerwony maluch stał na poboczu z zapalonymi światłami, ale nie spieszyła się już, stanęła przy szosie i przyglądała się samochodom zdążającym do Warszawy, czekała aż minie ją mlecznobiały golf taki sam jak samochód Adama, odczytała poznańskie numery i skarciła się w myślach za popłoch... Adam nie wróci, na pewno nie. Niczego nie zapomniał, sprawdziła dokładnie, paszport, pieniądze, kartę wozu, ubezpieczenie wraz z prawem jazdy, teczkę z notatkami, adresy, mapy, nie mówiąc o rzeczach osobistych. Gdyby pakował się sam, z pewnością byłby już z powrotem w domu... a tak... Rzuciła jeszcze okiem na szosę a ponieważ nic jej nie zaniepokoiło, wsiadła do czerwonego malucha.

Wszystko tu jeszcze pachniało nowością i luksusem. Filip, co prawda, wyśmiewał się z jej pojazdu nazywając go pogardliwie mercedesem, ale Marta nie zwracała uwagi na jego uszczypliwości. Lubiła swój samochodzik i była z niego dumna. W akademii wśród studiujących wyczynowców jej pojazd nie wzbudzał wprawdzie kpín, ani też nie był obiektem zawiści. Niezmotoryzowane koleżanki zawsze mogły liczyć na podwiezienie do

jakiejś zapadłej dziury albo z bagażami na dworzec. Marta nigdy nie odmawiała, mimo trudności z benzyną, którą kupowała u kolegi Filipa. Lubiła jeździć, czuła się wtedy niezależna, wolna i trochę lepsza od tych wszystkich piechurów płaczących się bez celu po szosach i jezdnjach. Włączyła radio, żeby wysłuchać prognozy pogody i zawróciła do miasta. Miała do załatwienia kilka spraw w centrum, jechała jednak do domu, który również lubiła, chociaż nie mogła pozbyć się żalu, zaprawionego goryczą, że zamiast właścicielki ciągle jest lokatorką. Gdyby urodziła dziecko, wszystko jedno syna, czy córkę, dom poszedłby do podziału, oczywiście po najdłuższym życiu Adama. Nie chciała jego śmierci, wręcz przeciwnie — zależało jej na tym, żeby żył jak najdłużej, było to w jej interesie, urodzenie dziecka — to też był interes, przede wszystkim interes. Nie dojrzała jeszcze do macierzyństwa, nie miała takich pragnień. Adam, studia i praca wypełniały jej życie, ale przyszłość w tym układzie rysowała się niewyraźnie, dziecko osadziłoby ją w jakichś realnych ramach, stałoby się punktem oparcia w tym bezmiarze tymczasowości i niesolidności jej życia, atutem w walce z Ireną, której ukryte oko — jak podejrzewa — śledzi każdy jej krok, być może kieruje nim nawet z tym nic nie mówiącym uśmiechem... Właściwie to Irena zachowuje się bez zarzutu, ale to nic nie znaczy. Gładkie banalne słowa wypowiedane głosem gęstym od półtonów mogą mieć przecież inny sens. Wszystko zależy od interpretacji. Być może dla Adama znaczą coś więcej, są jak szyfry szpiegowskie dla wtajemniczonych. Marta nie tylko z nią toczy tę walkę, jest jeszcze Filip, który pod maską bezpośredniości, beztronski i niezniszczalnej młodzieńczej witalności ukrywa przebiegłość i spryt graniczący z cwaniactwem. Marta nie jest w stanie określić jednoznacznie swojego stosunku do niego, lubi go, bezsprzecznie, jest przecież synem Adama,

lęka się jednak jego spojrzeń, perlistego śmiechu oraz potoku żartobliwych powiedzonek i czegoś jeszcze, czego nie potrafi określić...

Tydzień temu, kiedy przygotowywali razem kolację, Filip, jak to miał w zwyczaju, zachwalał swoje walory supermana, a o dziewczynach, z którymi sypiał, wyrażał się niezbyt pochlebnie.

— Zmień temat — powiedziała z marsową miną Marta. — Nudzą mnie te przechwałki, są niesmaczne.

— Co ja takiego powiedziałem! — oburzył się. — Że lubię się kochać, że zdarza mi się zdradzać Mirellę. Młodość musi się wyszumieć. Czyżbyś o tym nie wiedziała?

— Co się tyczy młodości to wiem, że jest bezkompromisowa, zarozumiała i pewna siebie, ale nie rozpustna. Lubieżność i rozpusta towarzyszą zazwyczaj rozpadowi, a ty...

— Naczytałaś się złych książek i pleciesz głupstwa. Trzeba żyć szybko i dobrze.

— Ja żyję.

Roześmiał się i pokręcił głową.

— Współczuję ci — powiedział poważniejąc.

Wyszła z kuchni przerywając w ten sposób rozmowę, ale szelest tych słów towarzyszył jej przez kilka dni. Brzmiały prawie tak samo jak tamte, wypowiedziane w wąskim korytarzu przez Pawła. „Żal mi ciebie, współczuję ci”. Paweł jest rówieśnikiem Filipa i ma tę samą lekkość w sposobie bycia i niczym niewymuszony wdzięk. Wszędzie, gdzie się pojawi, jest na miejscu, umie się odpowiednio zachować i nadać rozmowie swobodny ton, podczas gdy ona zawsze pod presją samokontroli liczy się z każdym słowem, ciągle się boi, że powie za dużo albo nie to, co trzeba. Stara się więc mówić jak najmniej i to właśnie niepokoi Filipa. Mirella może udawać sfinksa, wszyscy przyzwyczaili się do jej milczenia, są nawet zdziwieni gdy czasem wydobędzie się z niej jakiś dźwięk, natomiast od Marty żądają sądów, opinii i w ogóle słów. Teraz Filip wyjechał gdzieś w interesach, odetchnie więc od jego gadulstwa i wścibstwa.

* * *

Przed domem na wprost bramy stała odrapana furgonetka pamiętająca, sądząc po kształcie karoserii, lepsze czasy. Dwaj mężczyźni, w ubraniach nasiąkniętych farbami, ssali apatycznie pety i wyglądali na ulicę, na której pojawił się czerwony maluch Marty. Widok samochodu nie przegonił z ich twarzy apatii, przeszli na bok i dalej oddawali się przyjemności palenia. Marta powitała ich ruchem ręki i otworzyła bramę. Mężczyźni, nie rozstając się z petami, podnieśli klapę i wydostali z furgonetki puszki z farbami, pędzle, kubły i inne akcesoria malarskie, ustawili je na chodniku i z wielkim upodobaniem obserwowali nadciągającą chmurę. Dopiero gdy Marta chwyciła za kubek, ruszyli za nią z farbami do domu. Grzebali się strasznie długo, zanim pownosili wszystko na górę. Marta nie zajmowała się nimi, pisała coś w pośpiechu na maszynie, gdy skończyła, przywołała ich do siebie.

— Mam nadzieję — powiedziała rzeczowym tonem — że pamiętają panowie warunki umowy?

— Oczywiście — potwierdzili skwapliwie.

— Żeby nie było nieporozumień, przypomnę ostatnią klauzulę: ...jeżeli malowanie nie zostanie ukończone w określonym terminie, zleceniodawca będzie potrącać zleceniobiorcy za każdy dodatkowy dzień pracy po pięć procent od całej sumy. Jasne? Proszę podpisać.

Malarze spojrzeli po sobie znacząco.

— Ależ proszę pani. Jesteśmy dżentelmenami. Nie wystarczy pani nasze słowo?

— Owszem. Wierzę w słowo pisane. Tak mnie wychowano. Proszę przeczytać i podpisać.

— Jeżeli pani na tym zależy to czemu nie? — zgodził się szef. — Robota będzie wykonana na czas. — Podpisał.

Marta schowała oryginał do szuflady.

— A więc szczęście Boże — powiedziała z uśmiechem. — Ja muszę wyjść. Proszę nikomu nie otwierać!

Wyjeżdżając z domu nie zwracała uwagi na pogodę, a już wtedy zbierało się na deszcz. Zdesperowany wiatr zdzierał z drzew zielone liście, powietrze zgęstniało i czarna chmura w kształcie nietoperza zawisła nad miastem, ale dopiero gdy dojeżdżała do Marszałkowskiej — lunęło jak z kranu, wycieraczki nie nadążały ze zbieraniem wody, z szyb ściekały gęste strumienie. Nie było nic widać, Marta podjechała do krawężnika i przystanąła. Wiatr w furiackim pędzie przeleciał z łomotem po dachu, a po krótkiej chwili ustał zupełnie. Deszcz również zmałał. Marta ruszyła, nie miała jednak szczęścia, ledwie odbiła od krawężnika, a jakiś mężczyzna w kurtce z kapturem nasuniętym na oczy wyskoczył na jezdnię i usiłował zatrzymać samochód. Chciała go wyminąć, nagle coś ją przykuło do miejsca, noga ześlizgnęła się z gazu, otworzyła drzwiczki.

— Dokąd cię podwieźć? — spytała nieswoim głosem. Paweł cofnął się spłoszony.

— Wsiadaj! — krzyknęła ostro. — Widzę, że się spieszysz, a o taksówce w taką pogodę nie masz co marzyć. Zresztą jak chcesz...

— Zaczekaj — jęknął zrezygnowany i pobiegł po toból ukryty pod szklanym daszkiem na przystanku. Przyniósł go i z wielkim trudem upchnął na tylne siedzenie.

Marta z głową na kierownicy spytała niezbyt uprzejmie:

— Dokąd?

— Na lotnisko, jeśli możesz — odpowiedział opryskliwie.

— Nie mogę, ale cię zawiozę — powiedziała ruszając.

Kątem oka obserwowała jego zziębniętą rękę, którą trzymał na kolanach, drugą schował do kieszeni. Twarz zasłonięta kapturem pozostawała niewidoczna.

— Które lotnisko?

— Międzynarodowe. . Przy skrzyżowaniu Alei z Marszałkowską zatrzymało ich czerwone światło, stali dosyć długo nie odzywając się do siebie, wreszcie Marta zdecydowała się przerwać milczenie.

— Dokąd się wybierasz? — spytała.

— Po co ci ta wiadomość?

— Mam zamiar cię szantażować — roześmiała się patrząc przed siebie.

— Jadę do Meksyku — odpowiedział po chwili.

— Dostałeś stypendium?

— Jadę do pracy.

— Na długo?

— Nie wiem.

— Tam strasznie gorąco, pięćdziesiąt stopni w cieniu. Dla Europejczyka to pewna śmierć. Czytałam książkę o facecie, który był tam konsulem. Miał piękną żonę i dom, a mimo to rozpił się i marnie skończył.

— Lubię gorąco.

— A ja nie znoszę, upał rozleniwia, ogłupia, zmniejsza aktywność... Ja lubię śnieg, narty, sanki... Jako dziecko brałam udział w zawodach saneczkarskich, wiesz, zawsze wygrywałam, lubię zimę i.. — umilkła raptownie czując, że zapędziła się za daleko, on w dalszym ciągu się nie odzywał.

Kiedy dotarli na lotnisko, nad miastem przelatywała kolejna burza.

— Nie wiem jak ci dziękować — powiedział, wyciągając tobół z tylnego siedzenia. Gdyby nie ty, spóźniłbym się na samolot.

— Przyślij mi kartkę.

— Na jaki adres?

— Do ojca.

— Dobrze. Do widzenia — uniósł w pożegnalnym geście delikatną rękę, na której Marta dopiero teraz spostrzegła złotą obrączkę. Odchyliła się gwałtownie do tyłu, jakby ją oblano zimną wodą.

— Ona jest Meksykanką? — spytała.

Paweł zarzucając ciężki tobół na plecy potwierdził smutnym uśmiechem.

— Do widzenia — mruknęła przez szybę i zacisnęła kurczowo wargi. Oczy jej pociemniały, dwie ciężkie łzy potoczyły się po policzkach. I nagle

wbrew sobie, w jakimś nagłym niewytłumaczalnym odruchu rzuciła się na oślep ku niemu.

— Paweł! — krzyknęła. — Nie odjeżdżaj! Nie zostawiaj mnie! Ja już dłużej nie mogę! Musimy porozmawiać. Paweł! To wszystko nie ma sensu... Paweł! — Walczyła ze łzami, które mieszały się z deszczem, niewiele widziała, w każdym razie tyle, że Paweł odwrócił się z bladym uśmiechem i skinął głową.

— Masz rację — powiedział podciągając tobół, jakby miał zamiar przykryć się nim, znów się uśmiechnął niecierpliwie jakoś, wstydliwie. — To nie ma sensu. Przyślę ci kartkę. Cześć! — Wtopił się w dwuskrzydłowe drzwi i odszedł. A ona została wrośnięta w ziemię i czepiała się wzrokiem jego pleców zniekształconych ciężkim tobołem, który podrygiwał rytmicznie czyniąc go podobnym do wielbłąda.

Potem wmówiła sobie, że był to sen.

* * *

Ma za złe doktorowi Chrzanowskiemu, że ją tam posłał. Chciał jak najlepiej, ale powinien był wiedzieć... Zresztą nie musiała go słuchać, wiedziała, czym to pachnie. Nie chodzi wcale o te korowody z przyjęciem, telefony, zapisy, to była normalka. Chodzi o coś innego. Profesor Myszkiewicz rozciął brutalnie z trudem gojoną ranę, pozbawił ją wiary, nadziei i wszystkiego co miało dla niej sens, a tego jako lekarz nie powinien był czynić. Podświadomie coś przeczuwała i kiedy weszła do gabinetu, chciała się wycofać. Osławiony profesor, jeden z najlepszych, szarlatan, geniusz i cudotwórca, wyglądał jak stary żółw z cienką szyją. Chronił się za pancerzem okularów, przez które widać było dwie kłujące soczewki z bladoniebieskimi obwódkami.

— O co chodzi? — mruknął nie podnosząc oczu.

— Chciałabym panie profesorze... — wystękała nieśmiało — urodzić dziecko.

— Ma pani męża?

— Tak.

— Miesiączki regularne?

— Tak.

— Poronienia były?

— Jedno.

— Sztuczne? Skinęła głową.

— Dlaczego?

— Byłam studentką bez pieniędzy, bez mieszkania...

— I dlatego usunęła pani płód? — zdziwił się nieprzyjemnie.

— Panie profesorze, nie miałam wyjścia, nie mogłam urodzić tego dziecka.

— Pewnie. Urodzić jest znacznie trudniej niż zabić.

— Panie profesorze!

— Proszę nie przerywać! Widzę, że pani nie wie albo nie chce wiedzieć, co uczyniła. To było morderstwo, jedno z bardziej okrutnych. Zabiła pani bezbronną istotę, obdarzoną z woli Najwyższego łaską życia, tym najcenniejszym darem. Świadomie, z premedytacją dopuściła się pani zbrodni, a teraz, jak gdyby nic, przychodzi pani prosić o ratunek!

Pociemniało jej w oczach.

— O nic nie proszę — wrzasnęła. — A pan nie jest Bogiem! Przyszłam do lekarza, nie do księdza. Z księżmi dawno skończyłam. Nikogo nie zabiłam. A z moim życiem, z moim ciałem robię co mi się podoba. Do widzenia panu!

Wyszła wzburzona, trzymając się ściany. Brakowało jej nie tylko słów, ale i powietrza.

Doktor Chrzanowski kończył wypisywać zalecenia na kartach informacyjnych, gdy rozległo się energiczne pukanie i w drzwiach ukazała się Marta z twarzą greckiej tragiczki.

— Co się stało? — przeraził się doktor zrywając się zza biurka. Odpowiedziało mu urywane westchnienie. Roztrzęsione ręce Marty objęły go. Z jej oczu pociekły łzy.

Doktor znieruchomiał. Łzy kobiece zawsze działały na niego paraliżująco. Jego dobrotliwy uśmiech znikł, ulotniło się gdzieś doświadczenie starego lekarza, znawcy kobiecej duszy i ciała. Stał przed nią bezradny chłopiec pozbawiony głosu i możliwości poruszania się, szukający w popłochu krzepiących słów, które też się gdzieś zapodziały, a ona zraszała łzami jego fartuch nie pierwszej świeżości i łkała poddając się rozpacz, wreszcie obfitość łez zmusiła ją do sięgnięcia po chusteczkę, w ten sposób doktor odzyskał swobodę ruchów, opadł w pośpiechu na krzesło i nie bardzo wiedząc co uczynić z rękami, także wyjął chusteczkę, przetarł nią zamglone szkła i skonstatował z żalem, że papieros sam się wypalił. Marta, jakby zapominając o nim, usiadła na kozetce i wypuszczała stamtąd kłęby aromatycznego dymu.

— Przepraszam — odezwała się po chwili głosem zmiażdżonym i suchym. — Miał pan rację. Doktor Myszkiewicz potwierdził pańską diagnozę. Nie ma żadnej nadziei.

Doktor pomilczał, pokręcił głową i zdobył się wreszcie na uśmiech.

— To nie tak — oświadczył z głęboką wiarą. — Nadzieja jest zawsze, dopóki człowiek żyje. Natura ludzka, która wciąż pozostaje niezbadana, czyni cuda... Znam wiele takich przypadków. Trzeba czekać. Jesteś jeszcze bardzo młoda i na wszystko masz czas, absolutnie na wszystko — powtórzył z naciskiem.

— Tak to wygląda, ale ja nie mam czasu, już nie.

— Wiesz, co ci powiem? Chodź dziś ze mną do kina!

— Nie mogę. Mam w domu malarzy.

— Rozumiem. Jak studia?

— W porządku. Skończę w tym roku.

— Zostaniesz u nas po dyplomie?

— Chyba tak. Mam teraz urlop.

— No to powodzenia. I pamiętaj o cudach.

— Nadal nie wierzę w nie.

— One istnieją niezależnie od naszej wiary. — Ucałował ją w oba policzki i odprowadził do drzwi.

Marta paląc papierosa poszła do samochodu. Wbrew temu, co mówił doktor, nie miała już nadziei i nie wierzyła w cuda. Wróciła do domu i ze zwykłą energią zabrała się do pracy. Musiała przygotować pokoje na dole do malowania, zdjęć obrazy, pozastłaniać meble i coś wreszcie zdecydować w sprawie książek. Kilka tysięcy tomów nie ruszanych od lat zrosło się z półkami, a co gorsza i z kurzem.

O czwartej po południu malarze odtrąbili fajrant. Mieli pracować do ósmej, orzekli jednak, że farba nie wyschła i nie mogą dalej malować. Przyczyna tkwiła jednak gdzie indziej, były imieniny kolegi, Janka, Mundka czy Stasia. Nieważne. Imieniny w Polsce są zawsze, każdego dnia i o każdej porze, bo to i świętych bez liku i obyczaj każe czcić ich i szanować. Marta nie protestowała, skoro padły magiczne słowa: imieniny kolegi, poddała się. Przypomniała jednak szefowi o umowie. Niech pan uważa — powiedziała — bo będę strącać po dziesięć kawałków za każdy dzień. Jak tak dalej pójdzie, dołoży mi pan do malowania. — Co to to nie — roześmiał się, skinął na dwóch swoich kompanów i wyszli. A Marta jedząc resztki z wczorajszego obiadu słuchała Chopina. Tylko te dźwięki były w stanie ukoić jej ból, a właściwie to złość. Jakim prawem — myślała — lekarz — mniejsza o to, profesor czy docent — oskarżają o mord jedynie dlatego, że kiedyś w przypływie rozpaczycy poszła do szpitala na zabieg, bo nie chciała powiększać liczby niechcianych i nikomu niepotrzebnych dzieci. Co on wie

o stanie jej duszy i o tym, co wtedy przeżyła? Straciła nie tylko dziecko, ale i Pawła, okaleczyła siebie, a do tego ma prawo, ma prawo robić z sobą co chce, żyć według własnych zasad i norm bez błogosławieństwa księży czy partii. Wszystkie kodeksy czegoś jej zabraniają, ograniczają wolność, zmuszają do upokarzającej egzystencji. Ona się im nie podda. Nie stacją ani na cierpliwość ani pokorę. Gdzieś ma zakazy i pouczenia.

Doktor Chrzanowski jest starym idealistą, dobrym człowiekiem, który całe życie przestał przy ginekologicznym fotelu, dlatego z ciepłym uśmiechem mówi o cudach i o nadziei. Marta straciła wiarę i nie ma złudzeń. Jest jaka jest.

Po odnowieniu domu urządzi bal, a inni niech się poddają.

* * *

Po wyjeździe Adama, uwolniona od przymusowej obecności Filipa i od jego zaprogramowanej wesołości, czuła się znów u siebie, myła okna razem z panią Jadzią, czyściła podłogi, szorowała schody i godzinami słuchała muzyki. Dom od rana rozbrzmiewał dźwiękami najlepszych orkiestr świata pod batutą najlepszych dyrygentów, soliści światowej sławy towarzyszyli jej w praniu firanek, pastowaniu podłóg i odświeżaniu mebli. Panią Jadzię dziwiły upodobania Marty.

— Teraz wszyscy puszczają takie tramtata — uderzyła ręką o podłogę, wybijając szybkie rytmy — a pani nie. Z początku mnie to denerwowało, a teraz słucham bez przykrości, czasem nawet melodię można uchwycić.

Martę nie obchodziło wcale czy ktoś się denerwuje, czy nie. Ludzie kręcący się po mieszkaniu nie interesowali jej wcale, mieli wykonać sprawnie zlecone im prace i cześć, więc ich kontrolowała i popędzała. Nie byli tym zachwyceni. Malarzom nie pozwoliła słuchać radia ze względu na własne upodobania, musieli słuchać najlepszych orkiestr świata, najlepszych solistów. Dla Marty muzyka była ucieczką od rzeczywistości jak dla innych marihuana, czy opium. Dzięki niej przenosiła się do innego świata, znów była z Pawłem w jakiejś wyśnionej krainie wśród miękkich foteli, kryształowych żyrandoli, złocistych parkietów. Trzymali się za ręce, a rozkołysane dźwięki unosiły ich coraz wyżej i wyżej.

Ale wszystko co dobre ma swój kres, więc i ten remont, który dla niej był wielką wyprawą do krainy marzeń, zbliżał się do końca, chociaż malarze jak było do przewidzenia, nie dotrzymali terminu, potrzebowali jeszcze kilku dni na wykończenie prac. Marta wyłączyła magnetofon i chwyciła za pędzel.

— Możecie panowie zwijać manele — oświadczyła im. — Dokończę za was, ale pożegnajcie się z połową zapłaty.

Ta ostatnia próba nacisku odniosła pożądany skutek. Pan Janek wyrwał jej pędzel, jego pomocnicy odzyskali nadwątlone przez alkohol siły, i gdzieś koło południa czternastego dnia skończyli malowanie. Marta, zgodnie z umową potrąciła im przy wypłacie po pięć procent za każdy dzień. Z kwaśnymi minami zaczęli wynosić kubły, drabiny i pędzle. Pan Janek jednak nie spieszył się do odejścia, chociaż jego odrapana furgonetka czekała przed bramą. W swym kosmicznym skafandrze zbielełym od świeżej farby chodził po pokojach, oglądał drzwi, okna oraz półki pomalowane na biało i nie mógł powstrzymać się od zachwyty.

— Artystyczna robota! — wykrzykiwał co chwila. — Jak Boga kocham, artystyczna robota! Drzwi jak wyszlifowane, nigdzie plamki, nigdzie kropki, a pani nie dopłaciła. Tak się nie robi. Może gdzieś na Zachodzie, gdzie nie szanują człowieka, ale nie tutaj. U nas tak się nie robi — powtarzał oburzony.

Marta nie podejmowała dyskusji, wieszła suto marszczone firanki i zastanawiała się, co robi Adam. Nie zatelefonował i nie napisał. Czyżby wypadek? Odpukała w nie malowane drewno. Obraził się? Ale o co? Rozstali się w zgodzie, może mniej czule niż zwykle, ale oboje byli bardzo zajęci, gonił ich pośpiech, i te cholerne sprawy. Gdy wróci, wszystko się zmieni. Pójdą gdzieś potańczyć, albo wyskoczą na parę dni w góry? Marta nie czuła zmęczenia, potrzebowała jednak zmian, podróży. Lubiła, jak się coś działo.

Pan Janek międląc w ustach swój refren „U nas tak się nie robi” wreszcie wyszedł. Marta odetchnęła. Jeszcze dwa dni i wszystko wróci do normy, poukłada się książki, poustawia meble i będzie można zaprosić gości. Ten remont poza względami praktycznymi miał dla niej również znaczenie symboliczne, był wypędzeniem duchów, niszczeniem wspomnień, których Adam czepiał się kurczowo, a które eliminowały ją jako żonę, wyrzucały na margines, bo on ciążył ku przeszłości, traktując teraźniejszość nonszalancko, z lekceważeniem, dlatego postanowiła usunąć pożywkę dla wspomnień, zminimalizować jej siłę, a ponieważ działała po omacku, jak człowiek w hipnotycznym śnie, niszczyła tylko ramy, nie mając dostępu do obrazów.

Przekręciła klucz w zamku i wyjrzała przez okno. Furgonetka pana Janka zniknęła sprzed domu. I dobrze. Nie dręczyły jej żadne wyrzuty sumienia. Zaoszczędziła na malowaniu kilkadziesiąt tysięcy. Nie było to dużo, ale ojcu przyda się każdy grosz. Za kilka dni pojedzie sprawdzić czy dobudówka jest już pod dachem. Jeżeli tak, trzeba będzie kupić deski, glazurę i wannę, załatwić kredyt bankowy, oczywiście na ojca, Marta z czasem go spłaci, ale

teraz nie uda jej się wycisnąć z Adama większej sumy. Nie sprzeda przecież futra. Adam nie jest skąpy, ale wszystko ma swoje granice, jego zasoby również.

Co to? Już przyjechał? Otworzył bramę i wjeżdża do garażu.

— Pani Jadziu! Mąż wrócił! Co my teraz zrobimy?

Słowa Marty pełne niepokoju nie wywarły na pani Jadzi żadnego wrażenia, obojętnie i bez pośpiechu skrobała żyłką podłogę w gabinecie. Marta rozczesała palcami włosy i wybiegła przed dom.

— Adam! Jesteś! Nareszcie! Nie mogłam się ciebie doczekać! Denerwowałam się. Dlaczego nie zatelefonowałeś?

— Właśnie dlatego. Nie chciałem, żebyś się denerwowała, ale skoro i bez tego denerwowałaś się, wniosek jest prosty. Powinienem był telefonować. Przepraszam. Poprawię się. Widzisz, miałem wrócić wczoraj, ale drobna awaria zatrzymała mnie po tamtej stronie granicy, czyli w NRD, w jakiejś strasznej dziurze, gdzie nie chciano mnie przyjąć w hotelu. Zebrały się okoliczne władze, debatowały, co zrobić, wreszcie po długich naradach milicjanci wzięli mnie na hol i odstawili do polskiej granicy. Jak ci się to podoba?

— Zachowali się jak prawdziwi przyjaciele — roześmiała się Marta.

— Tak — potwierdził z pionową zmarszczką na czole. — Mamy dookoła samych przyjaciół.

— A jak nasi? Pomogli ci? Profesor roześmiał się.

— Rozebrali mi samochód na części. Przy tej okazji wyszło na jaw, że mam pękniętą rurkę od paliwa... Jeden z celników za dwadzieścia marek wytrzasnął skądś tę rurkę i założył mi ją bezpłatnie.

— Czego szukali?

— Nie wiem, bo nic nie znaleźli. No — wyprostował ramiona — wszędzie dobrze, ale... — pochylił się, chcąc wziąć walizkę. Marta ubiegła go i wydostała ją z bagażnika.

— Uważaj na swój kręgosłup — przypomniała, zdjęła mu torbę z ramienia i razem z walizką wniosła do holu. Adam nie domknął garażu, tak się spieszył do swojego biurka i książek. W tych wszystkich sterylnie czystych hotelach źle sypiał, męczyły go duszności i jakiś dziwny ciężar kładł mu się na piersiach. Sądził, że te niedomagania ustąpią w zaciszu własnego gabinetu.

Z zadowoloną miną przestąpił próg domu, już w holu uderzył go niemile zapach farby, ale jeszcze nie zorientował się, w czym rzecz, zajrzał do salonu i uśmiechnął się aprobująco, Axentowicz, Pruszyński i Witkacy

prezentowali się znacznie lepiej na tle białych ścian niż na brudnym beżu, za którym przepadała Irena. Fotele i kanapa stały na swoich miejscach, dywan zwinięty w rulon leżał pod ścianą, nowe firanki stwarzały poczucie bezpieczeństwa i intymności, brakowało kilku drobiazgów, na które nie zwrócił uwagi.

— No, no — mruknął z zadowoleniem i skierował się do gabinetu. Marta zagryzając wargi ruszyła za nim. Dopiero teraz odczuła lęk, chyba przesadziła z tymi zmianami, wystarczyło przemalować półki na biało, nie ruszać biurka.

Półki jeszcze nie wyschły i książki w niezliczonych stosach wały się po podłodze. Adamem tak wstrząsnął ten widok, że nie mógł zrobić następnego kroku, zdawało mu się, że widzi kogoś bliskiego w otwartej trumnie.

— Coś ty zrobiła! — ryknął jak zranione zwierzę. — Kto ci pozwolił? Kto cię o to prosił?

— Powiedziałeś, że mogę robić, co chcę.

— U siebie na górze, ale nie tu, nie tu! — znowu poczuł ten straszny ciężar na piersiach, zabrakło mu tchu, chwycił się oburącz za futrynę i ostatkiem sił łapał powietrze, które wciskało się z bólem do płuc. Marta wsunęła mu pod język jakąś tabletkę, pani Jadzia przyniosła krzesło. Usiadł i patrzył na swoje ręce, które były wciąż gładkie, bez żył, ale od jakiegoś czasu pojawiały się na nich brązowe plamki i chociaż po każdym posiłku zażywał witaminę E, nie znikwały.

Podniósł się, nie czuł już ciężaru na piersiach ani duszności.

— Powiedz, po coś to zrobiła? — spojrzał na nią z rozpaczą. Złość minęła, teraz chciało mu się płakać.

— Musiałam. Odpadł tynk. Ten dom nie był odnawiany chyba z piętnaście lat. Kurz wżarł się w drewno. Wszędzie było pełno pajaków.

— Ale dlaczego tak? Wystarczyło odświeżyć meble.

— Biały kolor oznacza spokój i pogodę ducha.

— Nieprawda! Biały kolor oznacza śmierć — schylił się po książki leżące na podłodze. — Jak ja teraz coś znajdę? — zawołał płaczliwie.

— Ułożę wszystko działami, ponumeruję, sporządzą katalog. .. — Marcie również zbierało się na płacz.

— Gwiżdżę na twój katalog. Ja bez żadnych numerów do każdej książki trafiałem po omacku. A teraz?

— Przyzwyczaj się. Popatrz, jak tu czysto, jak ładnie...

— Obrzydliwie, nieprzytulnie, zimno jak w jakimś grobowcu. A gdzie mój fotel?

— Ten stary grat z odłamaną poręczą? Oddałam śmieciarzom, to przecież nie był antyk?

— Nie był, nie był, aleja w tym fotelu spędziłem ćwierć wieku. Czy ty to rozumiesz?

— A więc o dwadzieścia lat za dużo. Uspokój się! Kupię ci nowy, ładniejszy, wygodniejszy.

— Nie chcę nowego! W tamtym czułem się dobrze. Czułem się wręcz doskonale. Idę sobie! Ten dom przestał być moim domem — wycofał się do holu i rozglądał za kurtką.

— A ja? Czy ja nic dla ciebie nie znaczę? Czy ja się nie liczę? — uczepliła się jego rąk, chciała go objąć, zatrzymać. — Wybacz — powiedziała z oczami pełnymi łez. — Myślałam, że się ucieszysz. Chciałam ci zrobić niespodziankę.

— No i zrobiłaś. To ci się udało. Możesz być pewna.

— Przepraszam — patrzyła błagalnie. — Kupię ci taki sam. Położę po komisach... podz... — nagły skurcz zamknął jej usta, z oczu posypały się łzy. Odwróciła się, zasłoniła rękami twarz.

Widok łez obudził w Adamie wstręt. Od dziecka nie znosił scen, krzyku, każda mocniejsza vibracja głosu przyprawiała go o mdłości, a teraz gotów byłby paść jej do nóg, byle tylko wytarła oczy i przestała spazmować. Zrezygnował więc z dalszych protestów, niechętnie i jakby z zażenowaniem trącił ją w ramię.

— Uspokój się! — spróbował się uśmiechnąć. — No? Nic się nie stało. Nie ma o czym mówić. No dobrze, już dobrze, zrobisz, jak będziesz chciała.

Marta nie należała do kobiet, których jedyną bronią są łzy, ale gdy już zaczęła płakać, niełatwo ją było ukoić, chciała przestać i nie mogła.

— No, już dobrze — powtarzał zakłopotany, chciał się wycofać z pokoju.

— Jeszcze raz przepraszam — szepnęła połykając łzy. — Nie miej do mnie żalu. Chciałam jak najlepiej.

— Wiem. Wszystko w porządku. Pojadę na powietrze. Nie denerwuj się, jeżeli wrócę późno. Zajrzę do Filipa.

— Jedź ostrożnie, bardzo cię proszę — uśmiechnęła się do niego przez łzy. To go rozczerwiło. Pożegnał ją niepewnym gestem i zamknął za sobą drzwi, a Marta gryząc palce usiłowała się uspokoić, wreszcie wytarła oczy. Pani Jadzia dźwignęła się z podłogi.

— Zrobić pani herbaty? — spytała.

— Nie, nie — Marta nadal wycierała twarz, usiłując zatkać ten zbiornik słonej wody, który mieścił się pod oczami. — Niech pani zostawi tę cholerną podłogę. Napijemy się czegoś mocniejszego.

Pani Jadzia uśmiechnęła się z zadowoleniem i wytarła ręce ligniną. Marta naląła, stuknęły się kieliszkami, Marta wypijała duszkiem jeden kieliszek po drugim, natomiast pani Jadzia smakowała trunk małymi łyżkami, po każdym łyku wpatrywała się w kieliszek i chrząkała współczująco.

— Niech się pani nie przejmuj — odezwała się wreszcie. — Mój taki sam. Stołu nie pozwoli przestawić na inne miejsce, zaraz gada, że mu się burzy porządek świata, jakby kto wiedział, co to takiego jest. Gdybym go słuchała, spalibyśmy do tej pory na żelaznych łóżkach z mosiężnymi gałkami, bo takie były u jego mamusi. A ja nie słucham i robię swoje. Nie ma się co przejmować. — Wpuściła znów kilka kropel na język. — Byłam przeciwko pani, jak Boga kocham. Taka młoda, pomyślałam, nie będzie mną rządzić, chciałam odejść, ale profesor nalegał, prosił, to i zostałam. I nie żałuję. Pani jest w porządku. O profesora dba, od lat nie wyglądał tak dobrze, elegancki, modnie ubrany, przy pani ubyłoby mu dziesięć lat... I nie leni się pani jak inne, mam przecież oczy i widzę. A jemu to przejdzie. Zobacz pani! Ułoży się książki, jaki problem? A fotel niech pani kupi nowy, po co jakieś zapluskwione graty ściągać do domu. Pani ma dobry gust, a profesor po tygodniu zapomni o wszystkim. No — uśmiechnęła się do Marty, która wychylała już trzeci kieliszek.

Marta odpowiedziała jej uśmiechem. Już nie płakała.

* * *

Adam zamiast iść na spacer czy tłuc się samochodem za miasto, zatelefonował do Ireny. Była sama (to dziwne, że ciągle jest sama) i poprosiła, żeby przyjeżdżał. Zjawił się więc u niej nie zwlekając i od razu poczuł się lepiej. W lustrze ujrzał swą ogorzałą twarz bez zmarszczek, gęste włosy opadały mu miękko na kark, kolano spisywało się bez zarzutu, kręgosłup może odrobinę uwierał, ale do tej dolegliwości zdążył się przyzwyczaić. W sumie nie było źle. Pastelowe barwy uspokajały wzrok, a lekkie operetkowe melodie z płyt przywoływały miłe wspomnienia: „Przetańczyć całą noc tak bardzo chciałabym...” W otwartych drzwiach kuchni Irena przygotowywała specjalnie dla niego sałatkę jarzynową z pomarańczą, Adam nie był głodny, ale powiedział, że właśnie tę sałatkę zje z przyjemnością. Rozsiadł się wygodnie w fotelu i sięgnął po fajkę, a jednak w czasie podróży spuchły mu nogi i miękkie mokasyny piły w pięty.

— Nie masz jakichś kapci? — zapytał.

— Zjrzyj do skrzyni w przedpokoju. Robert nie zabrał jeszcze wszystkich swoich rzeczy.

— Rzeczywiście wyprowadził się?

— Wszystko na to wskazuje — stwierdziła obojętnie. — Wkroić ci jajko czy boisz się sklerozy?

— Boję się, ale wkrój. Bez jajka sałatka będzie do kitu. Podniósł się niechętnie i przeszedł do przedpokoju. Długo grzebał w skrzyni z butami, wreszcie znalazł nowe trepy. Przymierzył.

— Mój numer — skonstatował zadowolony.

— Tak. Numer kołnierzyka też nosi ten sam co ty — poinformowała go rzeczowo Irena.

— Myślałem, że jest szczuplejszy.

— Jest gruby, coraz grubszy, je za dużo, za mało się rusza. Większość trzydziestolatków tak wygląda.

— Jestem wykończony — oświadczył z rozpaczą. — Wracam po ciężkiej harówce do domu i zastaję zburzoną Kartaginę.

Irena odwróciła się i pokiwała ze śmiechem głową.

— Nie śmieję się! To poważna sprawa, poważniejsza niż ci się wydaje. Ona mnie niszczy. Robi to nieświadomie, wiem, niszczy mnie samym swoim istnieniem, tym, że ciągle sieje zamęt, że ma nadmiar energii, żąda zmian, goni za nowościami. Z drugiej strony trudno jej się dziwić, jest jaka jest. Widzisz, mam żal do siebie, że tego nie przewidziałem. A przecież wiedziałem, że młodość to rewolucja, ustawiczne trzęsienie ziemi, nowy porządek, nowy ład, który mnie mierzi. Mam swoje przyzwyczajenia, nawyki, swój styl życia i bycia.

— Nie tragizuj — Irena postawiła przed nim talerz z jego ulubioną sałatką. — Remont był konieczny, należało go zrobić sześć lat temu, ale ja nie miałam na to siły, a tobie się nie chciało. Już dawniej ci się nie chciało. Ciesz się, że ktoś to wreszcie zrobił za ciebie. Za kilka dni wszystko wróci do normy i będziesz zadowolony, będziesz znowu szczęśliwy.

— Nie opowiadaj. Nic już nie wróci do normy. Jestem stary, zmęczony i nie chce mi się żyć.

Irena przyniosła filiżanki i dzbanek z herbatą, podeszła do niego z uśmiechem dobrej wróżki i zanurzyła mu palce we włosy.

— To minie. Ja też miewam złe chwile. Wiesz o tym, telefonuję wówczas do ciebie. To wielkie szczęście mieć kogoś takiego jak ty. Bardzo sobie cenię twoją przyjaźń. To rzadka rzecz w naszych czasach, ludzie rozstają się

w złości i nienawiści, a my pijemy sobie herbatę, gadamy. Przerzucić płytę na drugą stronę?

— Nie, nie... Posłuchajmy ciszy... Dobra ta sałatka. Nie byłem wcale głodny, a popatrz! Na talerzu nic nie zostało.

— Cieszę się — uśmiechnęła się znowu i naląła mu herbaty. Na czulej błonie pamięci Adama przesunęło się kilka obrazów dziewczyny na biwaku, Lady Mackbet i panny Julii, a potem gdzieś z zamierzchłej przeszłości przypląnęła młoda, szczęśliwa twarz Desdemony.

— Lubię twój uśmiech — dotknął jej ręki i sięgnął po herbatę. Irena wyprostowała się i poprawiła włosy.

— Ciekawe czy po tylu latach seks w naszym przypadku byłby jeszcze możliwy?

— W tej chwili nie wiem. Jestem zmęczony. A ty?

— Ja mam ochotę cię pocałować.

— To zrób to szybko, na co czekasz?

Pocałowała go w usta i przesiadła się na kanapę. Podkulila pod siebie nogi i okręciła się szalem.

— Teraz ja mam ochotę cię pocałować — oznajmił sennym głosem.

— Ale nie chce ci się wstać z fotela?

— Zgadłś.

— To siedź! I pomyśleć, że kiedyś za jeden mój pocałunek poleciałbyś na Giewont. A jaki byłeś zazdrosny, pamiętasz? Biłeś się o mnie. Nie mogłam pokazać się z tobą w SPATiF-ie. Wystarczyło, że wypiliśmy trzy kieliszki i awantura gotowa, waliłeś w mordę za to, że ktoś mi powiedział komplement, albo przytulił w tańcu. Lubiłam, kiedy biłeś się o mnie, lubiłam, kiedy byłeś zazdrosny. — SPATiF. Mój Boże! Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy tam byłem ostatnio. — Nie te czasy, nikt tam już nie chodzi. A pamiętasz jak było? I kogo się tam spotykało? Same sławy, oryginały, indywidualności, koterie, dwory, królowie i księżęta i te dziewczyny, które mogły być ozdobą każdego salonu, a nie były tylko dlatego, że zniknęły salony, wystarczały restauracje, kawiarnie, chodziło się na obiady, na wódkę, spotkać kogoś, potańczyć, wtedy jeszcze nie załatwiała się niczego przy wódce, nie było tylu spraw co dziś, biurokracja dopiero raczkowała, nie czuła jeszcze swej siły, zresztą nie było tylu spraw, nie pamiętam, żebym musiała coś załatwiać. — A wiesz, co wtedy było? Prawdziwe zainteresowanie sztuką, teatrem, filmem, literaturą. Nie wiem, czy malarstwo wzbudzało takie emocje, ale każdy ciekawszy film wywoływał burzliwe dyskusje, o każdej ciekawszej książce rozpisywały się gazety, ludzie o nich mówili. Na

kiermasze książki przychodziły tłumy, całe rodziny z Woli, z Pragi. — Przychodzili, oglądali i kupowali. — Pamiętam, jak podpisywałaś swoją pierwszą książkę, stała do ciebie kolejka. „Nowa sztuka”. Tak się nazywała. Potem pisałaś coraz lepiej, zaczęli cię wydawać za granicą, a kolejek nie było, aż wreszcie zlikwidowano kiermasze. — Warszawa

była kiedyś wesołym miastem, a może tylko dla nas taka była? Lubiliśmy wałęsać się po ulicach, wstępować do kawiarni, zjadać po trzy kremy. — Teraz nie lubię kawiarni, cuchną czymś przykrym, są odrapane, wyłysiałe, biedne, pokryte plamami, wszystko dookoła pokryło się plamami jak skóra starego człowieka. Publika w kawiarniach też się zmieniła. — Niedawno, robiąc zakupy w supersamie weszłam do „Mokotowskiej” przy Puławskiej. Było zimno, wilgotno i część towarzystwa siedziała w płaszczach, pachniało więc niezbyt przyjemnie, a ciemne ponure wnętrza przypominało prowincjonalną spelunę z pierwszych powojennych lat, kiedy rzeczywiście wszyscy byli biedni i niedożywieni. W tej spelunie siedziała młodzież, może nie sam kwiat, ale jakiś średni przedział, dziewczyny ani ładne ani brzydkie, ubrane jak to one w kurtki, swetry, do tego jakieś klipsy, tandetne naszyjniki, bransoletki. Przy nich faceci z rozlanymi twarzami żłopali piwo i ćmili papierosy, trzymając je tak jakoś śmiesznie, nie między palcami lecz w dłoni. Wrodzone lenistwo nie pozwalało im wysilać się na żadne rozmowy, rzucali tylko pojedyncze wyrazy z szoferskiego czy murarskiego repertuaru. Patrząc na nich myślałam o tych dziewczynach i zastanawiałam się, co one widzą w tych spoconych tłustych postaciach, którym dzinsy pękają na tyłkach, brzuchy wylewają się z koszul, a z zaślinionych paszcz wulgarne słowa. Chciało mi się krzyżeć, więc wyszłam. Pomyślałam wtedy, że gdybym miała żyć czy tylko spać z jednym z tych mężczyzn, zostałabym lesbijką. Nie śmieję się, tak by było, no a te dziewczyny wychodzą za nich za męża, rodzą dzieci. — Czy to nie okropność? A przecież takich samych ludzi spotyka się wszędzie, pełno ich w sklepach i na ulicach. Dlatego coraz częściej zamykam się w domu, boję się wychodzić. Samochód stoi w garażu, ja się boję nim jeździć. Nerwy, mój drogi, nerwy, no i starość.

— Co ty opowiadasz! Wyglądasz na trzydzieści pięć lat.

— Ale czuję się na siedemdziesiąt, w przeciwieństwie do moich koleżanek, które czują się na trzydzieści, a wyglądają na osiemdziesiąt.

— Lubię twoje poczucie humoru — spojrzał na nią z czułością i niechętnie dźwignął się z krzesła. — Dobrze mi tu, ale muszę już iść.

— Możesz zostać — roześmiała się Irena.

— Niezła myśl. Niewykluczone, że kiedyś skorzystam z tej propozycji. Uspokoiłś mnie nieco — ujął ją za rękę i ucałował.

Marta jeszcze nie spała, słuchając Chopina na zmianę z Mozartem wycierała i segregowała naczynia, obok na stole stała niedopita butelka koniaku, po którą sięgała przerywając pracę i zapalając kolejnego papierosa,

— Dlaczego nie śpisz? Dochodzi dwunasta? — usłyszała łagodny głos Adama, odwróciła się, łzy napłynęły jej do oczu. — Czekająś na mnie?

Potrząsnęła głową, bo nie mogła wydobyć głosu.

— Byłem u Karola. Zagadaliśmy się.

— Kto to jest Karol?

— Mój asystent.

— Dlaczego nie zatelefonowałeś?

— Byłem na ciebie wściekły.

— Myślałam, że się coś stało. Telefonowałam, do Filipa i do Ireny.

— Niepotrzebnie narobiłaś zamieszania, zaraz ich powiadomię, pewnie się denerwują.

— Wątpię. Irena w ogóle nie okazała żadnego niepokoju, a Filip już spał, rozmawiałam z Mirellą, a jej, jak wiesz, nie zdenerwuje nawet trzęsienie ziemi.

— Spotykałaś się z Ireną w czasie mojej nieobecności?

— Raz byłam u niej na kawie.

— I co? Przekonałaś się do niej czy dalej jej nienawidzisz?

— Ja jej nienawidzę? Co ty opowiadasz? Podziwiam ją, a nawet więcej, czasem chciałabym być taka jak ona, władcza, pewna siebie. Zastanawiam się, jak ona to robi. Wszystko bierze, nic w zamian nie dając.

— Mylisz się. Ona jest człowiekiem wielkiego formatu, dobra matka, wierna przyjaciółka, a do tego wielka aktorka. Na Zachodzie miałyby wszystko, a tu żyje na takim poziomie tylko dzięki mojej pomocy i syna...

— Każdy tak mówi. Na Zachodzie miałyby willę albo duże mieszkanie, samochody, wyjazdy, a tu tynk spadający na głowę, niszczące domy, góry śmieci i czekanie nie wiadomo na co.

— Na śmierć — pokiwał smętnie głową. — To też jest jakiś cel.

— O Boże! Nie mów tak, bo zwariuję!

— Nie. Nie zwariujesz! Będziemy żyć wesoło i przyjemnie. Zaprosimy gości i urządzimy bal.

— Naprawdę? — Marta roześmiała się oczami.

— Przecież ci obiecałem. Trzeba tylko doprowadzić ten dom do ładu.

— To potrwa. Przeliczyłam się z siłami.

— Nie szkodzi. Będę na razie pracował w instytucie, a ty skatalogujesz książki, poukładasz na miejsca.

— Och! Jesteś wspaniałą. Najwspanialszy na świecie i za to cię kocham — objęła go ramionami, z całych sił przycisnęła do siebie, całowała zachłannie i nieprzytomnie. Adam sztywny jak posąg uśmiechał się do swoich myśli, w końcu zdobył się na jeden nic nie znaczący gest, zebrał palcami jej rozsypane włosy i pocałował ją w czoło.

— Chcesz herbaty? — spytała Marta głosem skrzywdzonego dziecka.

— Nie. Chcę spać — zaczął wycofywać się z kuchni.

— Nie przyjdiesz do mnie?

— Jestem zmęczony. Chcę spać.

— W takim razie napiję się sama. Dobranoc!

* * *

Uporządkowanie biblioteki Adama nie było takie proste, jak przypuszczała na początku. Musiała wziąć urlop i zawodową bibliotekarkę do pomocy. Adam też pomagał, z tym, że jego pomoc ograniczała się do wydawania poleceń i wypowiedania życzeń. Na początku narzekał na zbędną biurokrację, po co robić katalog rzeczowy, wystarczy alfabetyczny, to są jego książki, a nie zbiory biblioteki publicznej. Obie z bibliotekarką wysłuchiwały jego utyskiwań z anielskim spokojem i robiły swoje, pracując po dziesięć godzin na dobę. Wieczorami Marta przygotowywała się do egzaminu i nie zwracała uwagi na nastroje Adama, który spędzając mniej czasu w domu, stał się bardziej pogodny, miły, serdeczny, unikał jednak bliższych kontaktów.

Kiedy przychodziła całować go na dobranoc, ziewał ostentacyjnie, zamykał oczy i narzekał na zmęczenie. Czasem w przyływach dobrego humoru planował wyjazd w góry. — Jak tylko spadnie śnieg, pojedziemy do Jugosławii, a może do Włoch. Za uporządkowanie biblioteki otrzymasz specjalną nagrodę. — Obiecałeś bal! Najpierw bal, a potem wyjazd.

Marta od jakiegoś czasu nie ufała jego słowom, obiecywał różne rzeczy, a później zapominał. Kiedyś obiecał zabrać ją do Stanów i do RFN-u i nie zabrał, wyjeżdżał sam, a ona umierała z niepokoju czekając na niego. Zawsze, kiedy wyjeżdżał, zdarzały się katastrofy lotnicze. Dowiadywała się o nich z telewizji i robiło jej się gorąco, wiedziała, miała takie przeczucie, że następnym razem on będzie w tym samolocie, do którego podłożą bombę, albo w którym zatną się stery czy też spłoną panewki. Adam, jak dotąd wracał bez szwanku, Marta wiedziała jednak, że los bywa bezwzględny,

szczęście sprzyja do czasu, cios przychodzi w najmniej spodziewanym momencie, a poza tym przecucie nigdy jej nie zawodzą. No ale teraz odetchnie, profesor nigdzie się nie wybiera, po balu ma zamiar odciąć się od świata i pisać książkę. Bal był ustępstwem dla Marty, dokładnie w pierwszą rocznicę ich ślubu.

Dziwna to rocznica — myślała Marta krojąc bagietki. Profesor jakby udawał, że zapomniał o niej, nie obsypał jej prezentami, nie przyniósł kwiatów, przecież zaprosili gości, profesor kupił alkohole w PEWEKS-ie, soki, tonik. Rano, kiedy pani Jadzia zjawiła się z torbami pieczywa, uśmiechnął się melancholijnie i westchnął: — To już rok, pani Jadziu, okrążył rok.

Być może melancholię i ledwie widoczny smutek wywołało uświadomienie sobie upływu czasu albo... Nie, lepiej się nie zastanawiać, nie analizować przyczyn i skutków, nie dzielić włosa na czworo, dzisiaj jest bal, lista gości obszerna, znajomi profesora i Ireny, aktorzy, profesorowie, docenci, kilka sław telewizyjnych. Połowy nie znała, Adam powiedział, że zaprosił dwóch swoich asystentów, żeby trochę odmłodzić skład. Menu ustalił z panią Jadzią, uznał pewnie, że Marta nie ma w tym względzie żadnych doświadczeń. No więc — zadysponowała pani Jadzia — najpierw kanapki z kawiozem, łososiem i polędwicą, sałatka z krabów, na drugie beauf Strogonow, na deser tort beżowy, dużo napojów, chipsy, orzeszki, migdały...

Marta kroila bagietki i smarowała masłem, pani Jadzia układała gotowe kanapki na półmiski. Ojciec sprzątał. W drodze wyjątku został wpuszczony na pokoje wbrew protestom Adama. Marta chciała mu sprawić przyjemność i pokazać z bliska telewizyjne sławy. Niech ma, powiedziała, niech się cieszy. Nie wiadomo czy jeszcze kiedykolwiek trafi mu się taka okazja.

Niech już będzie, zgodził się łaskawie Adam, ale niech się nie rzuca w oczy, niech udaje stróża, dozorcę, no kogokolwiek, miejsca jest dosyć, tylko niech się nie rzuca w oczy. Najlepiej, żeby stał się niewidzialny.

Na razie sprzątał i nie musiał nikogo udawać.

O piątej po południu wszystko było gotowe, pani Jadzia przebrała się w czarną sukienkę, Marta wypila drinka dla kurażu i też się przebrała, szesała do tyłu włosy i upięła je w węzeł, nie lubiła modnych potarganych fryzur, w których wszystkie gwiazdy upodobniają się do służących, nie malowała ust, tylko bardzo dyskretnie oczy. Bała się wulgarności, krzykliwych strojów, ostrych barw i przesadnego makijażu.

U boku Adama witała gości w holu. W czarnej długiej sukni z białym koronkowym kołnierzykiem wyglądała jak maturzystka. Irena zaszczyliła ją pocałunkiem i mnóstwem komplementów: — Och, jaka jesteś świeża, pachnąca. Wiesz, że do twarzy ci w czerni? — Marta podziękowała uśmiechem i wprowadziła ją do salonu, poczęstowała drinkiem w zastępstwie Adama, który pobiegł do gabinetu odebrać telefon. Irena prosto od fryzjera, pastelowo-jedwabna, wypoczęta, umalowana dyskretnie nie przestawała się uśmiechać, znała tu wszystkich i każdemu miała coś ważnego do powiedzenia, w ogóle mówiła dużo i głośno, zmuszając wszystkich do słuchania. Marta też słuchała, nie miała wyjścia, ale w przeciwieństwie do innych nic nie rozumiała, słowa nie układały się w zdania, a jeżeli nawet tworzyły jakiś ciąg, nie było w nim sensu. Adam strasznie długo rozmawiał przez telefon, a do drzwi ktoś się znowu dobijał. Marta po krótkim wahaniu poszła otworzyć. W holu zjawił się młody człowiek, pewnie jeden z zapowiadanych asystentów, trzymał sztywno ogromny bukiet różowych gerberów i pokazywał w uśmiechu nieskazitelnie białe i duże zęby. Marta podając mu rękę bąknęła nazwisko.

— My się znamy — wyznał konspiracyjnym szeptem i wręczył jej bukiet. Mam na imię Karol.

— Tak? — spojrzała na niego niepewnie. — Rzeczywiście gdzieś musiałam pana widzieć, ale nie pamiętam gdzie.

— U siebie w łóżku — szepnął pochylając się nad nią. Już się nie uśmiechał, w oczach miał niebywałą powagę i smutek.

Marta poczerwieniała z oburzenia.

— Pan wybaczy — syknęła z wściekłością. — Ale nie znoszę niestosownych żartów.

— To nie są żarty — głos miał cichy, miękki i z wielką pokorą patrzył jej w oczy. — Niech pani sobie przypomni letni wieczór i szalone tańce tu, w tym salonie, nie była pani jeszcze żoną profesora... Wślizgnąłem się do pani pokoju i zostałem przepędzony.

— Nic nie pamiętam — odpowiedziała lodowato. — Cieszę się, że pan przyszedł. Prawie nikogo tu nie znam.

— To jego wina. Uwięził panią w tym zamczysku i nie pokazuje nikomu.

— To nieprawda. Proszę za mną. Czego się pan napije?

— Coca coli, jeśli łaska — ukłonił się Irenie i z głębokim szacunkiem uściśnął profesorowi rękę. Marta pobiegła witać następnych gości.

Po godzinie zrobiło się tłoczno i gwarno. Z głośników ustawionych w salonie buchnęła muzyka. Jeden ze znanych aktorów poprosił ją do tańca.

— Co pani robi wśród tej zbieraniny? — zapytał głosem przesyconym kpina.

— To samo co i pan. Tańczę — uśmiechnęła się w przestrzeń.

— A tak w ogóle?

— Nic szczególnego. A pan?

Zatrzymał się zaskoczony, jakby palnęła straszliwe głupstwo.

— Naprawdę nie wie pani, kim jestem?

— Przykro mi, ale nie.

— Niech mi się pani przyjrzy! — ustawił się en face w pozie jak do fotografii.

— To zbyt ciche — wzruszyła ramionami. — Nigdy pana nie widziałam.

— Nie ogląda pani telewizji?

— Rzadko.

— Jest pani unikatowym zjawiskiem.

— Wiem o tym.

— Nie chodzi o urodę. Niech pani nie myśli, że...

— Wiem — wyślizgnęła mu się z rąk i ukryta za czyimiś plecami tańczyła dalej. Tańcząc widziała Adama i Irenę, jak przechodzili do gabinetu.

— Dlaczego pani ciągle ucieka? — usłyszała ciepły baryton Karola.

Nie odpowiedziała, jej czujny wzrok powędrował za Ireną i Adamem. Zostawili otwarte drzwi, widocznie nie mieli zamiaru robić nic zakazanego. Karol objął ją drżącym ramieniem i prowadził w tańcu, tango brzmiało nostalgicznie i rzewnie, budząc tęsknoty za czymś nieodgadnionym, dalekim. On pachniał old spicem. Mówił coś demonicznym szeptem, usiłując przebić się przez jej milczenie. Marta uśmiechała się w przestrzeń i nie odpowiadała.

W gabinecie Irena z rękami na oparciu krzesła, wpatrzona w szafę:

— Tak, to ja.

— Nie miałam czasu.

— Nie było mnie, nie było, czy to takie dziwne? Teraz często mnie nie ma. Co robię? Och! Nic ważnego. Odpowiadam na listy i nie nadajam. Nazbierało się tego sporo. A ja mam ból ręki. Drętwe palce, zawroty głowy. Długopisy kończą się po pierwszym zdaniu. Nie mam maszyny. Tak, oczywiście, napiszę ołówkiem... Długi list. Przeczytasz go wieczorem, jak nikt nie przyjdzie. Opowiem, co zaszło od naszej rozmowy. Zawsze lubiłeś jak ci...

— Niedobrze — przerwał jej zdenerwowany Adam. — Zbyt pretensjonalnie.

— Tak? — zdziwiła się Irena i zaczęła recytować tekst jeszcze raz, robiąc długie pauzy, przeciągając sylaby. Adam słuchał z uwagą i kręcił głową.

— Nijakie — orzekł po namyśle. — Nie możesz utrafić we właściwy ton, albo się zgrywasz, albo nudzisz. To trzeba inaczej, w twoim głosie powinno być znużenie, ale nie złość! W żadnym wypadku rezygnacja. To subtelna różnica. Nabierasz powietrza, chcesz mówić głośno, z ekspresją i nie starcza ci sił. Jasne?

— Reżyser uważa, że tę kwestię należy odklepywać monotonicznie jak pacierz.

— To słuchaj swojego reżysera.

— Ładnie bym na tym wyszła — uśmiechnęła się drwiąco. — Wiesz, jak oni teraz mówią? Afryka, Ameryka, zrobiliśmy, słowa dla nich nie istnieją, ważne jest stanie na poręczy krzesła, walenie głową o ścianę, skakanie z żyrandola i inne cyrkowe popisy. Zapomnieli już, że teatr to przede wszystkim słowo, dźwięczne, szalone, gęste od znaczeń, cięższe od ołowiu i groźniejsze od AIDS, ale to słowo musi być wypowiedziane z ogromną ekspresją i siłą. Te plastyczne wizje bywają niekiedy ciekawe i zabawne, nie należy z nich rezygnować, broń Boże, ale słowo jest słowem. Ono stało się ciałem, ono było na początku i w dalszym ciągu jest... teatr to magia, szaleństwo słów... Wiesz, że wszystkie swoje sukcesy zawdzięczam tobie. Ty jesteś nie tylko esteta rozmiłowanym w obrazach, ty kochasz również słowa i masz bezbłędny słuch, wiesz, jak powinny brzmieć — uścisnęła go za ramię i przez otwarte drzwi przyglądała się przesuwającym się parom.

— Zgrywasz się, moja miła — westchnął ze smutkiem Adam. — To twoja jedyna wada. Robisz to po mistrzowsku nie tylko na scenie. Nigdy nie wiedziałem, kiedy mówisz prawdę.

— Ciebie nie okłamywałam.

— Chciałbym w to wierzyć, chociaż...

— Nie ma to już dla ciebie żadnego znaczenia?

— Prawda i kłamstwo to dwie rzeczy, które zawsze mają znaczenie, zawsze i wszędzie, w tym przypadku również.

— Ostatnio nie masz dla mnie czasu.

— Marta nie lubi tych wizyt u ciebie.

— To przychodź sam!

— Przecież przychodzę, ale ona po każdej wizycie u ciebie zachowuje się dosyć dziwnie, dąsa się, gniewa, nigdy nie mówi wprost, o co jej chodzi.

— Po co się przyznajesz, że bywasz u mnie?

— Nie przyznaję się, o to właśnie chodzi, nic nie mówię, ale ona ma jakiś szósty zmysł. Zawsze wie, dokąd chodzę, co robię.

— Śledzi cię?

— Nie, nigdy by się nie zniżyła do czegoś takiego, jest na to zbyt dumna.

— Może Filip jej naopo... — urwała, spostrzegła nagle Martę w ramionach Karola. Tańczyli walca, on wpatrywał się w nią płonącymi oczami. Marta uśmiechała się w przestrzeń.

— Co to za przystojniak?

— Karol? Mój asystent.

— Wygląda owszem, owszem. Popatrz, jaka ładna z nich para!

— Owszem — zgodził się Adam z kwaśnym uśmiechem i odruchowo zatkał sobie uszy, z taśmy wystrzelił rock i wprawił w drżenie przedmioty znajdujące się w pokoju, zabrzęczało szkło i przybory do pisania. Marta wyrwała się z objęć Karola i roztańczonym krokiem wpadła do gabinetu, ignorując obecność Ireny zgięła się przed Adamem.

— Czy mogę pana prosić? — uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Wiesz, że nie lubię, nie umiem — wzbraniał się Adam.

— Tylko ten jeden raz, proszę — wzięła go za rękę.

Adam rzucił w stronę Ireny przerażone spojrzenie, jakby u niej szukając pomocy, ona jednak nie patrzyła na niego, znajdując się blisko drzwi bawiła się papierosem i obserwowała Karola, który nie mógł oderwać oczu od Marty. Adam jeszcze protestował, ale Marta nie ustępowała, wciągnęła go do salonu i zmusiła do tańca. Irena podeszła do Karola.

— Ma pan ogień? — spytała.

— Tak, tak — rozbieganymi palcami szukał zapalniczki — tak, tak — podał jej wreszcie ogień.

— A pan nie pali? — zdziwiła się, częstując go wspaniałym uśmiechem.

— Ja? Nie.

— To po co pan nosi zapalniczkę?

— Na wszelki wypadek. Zawsze, jak pani widzi, jest komuś potrzebna.

— Zawsze jest pan taki uczynny?

— Tak. Zawsze.

— W takim razie poproszę o lód.

— Już podaję — odwrócił się, ale nie szukał lodu, śledził może nawet wbrew sobie Martę szalejącą w rocku z Adamem, jej jasna głowa, poruszająca się jak na sprężynach, pojawiała się w ramie drzwi i znikwała,

Karol patrzył na nią urzeczony. Irena obserwowała go nie przestając się uśmiechać.

— Tam — pokazała pojemnik z lodem na okrągłym stoliku. Karol drgnął, zamrugał powiekami niby człowiek wyrwany ze snu, dźwignął się z miejsca, przyniósł lód, podał go Irenie, wzrokiem czepiał się jednak rozwartych drzwi.

— Napije się pan? — spytała podnosząc butelkę whisky.

— Dziękuję. Nie piję — odpowiedział, robiąc krok w stronę drzwi.

— Zaszli pana? — Irena zagroziła sobą wyjście i czarowała go uśmiechem. Nie wiadomo czemu zależało jej na tym, żeby go zatrzymać.

— Nie. Ja po prostu nie piję. Dziwi to panią?

— Mnie? Proszę pana! Mnie już nic nie dziwi.

— Tak dużo pani widziała?

— Dużo! To pojęcie względne. W każdym razie dla mnie wystarczy.

— Była pani w Ameryce?

— Byłam.

— W Australii?

— Też.

Karol pokręcił głową i zastanawiał się, o co by ją jeszcze zapytać.

— A słowo demokracja nie dziwi panią?

— Dlaczego miałoby mnie dziwić? Ja żyję z wypowiedzania słów. Przeciętnie wyrzucam ich na minutę około czterdziestu, niech pan policzy, ile wypadnie na godzinę?

— Nie o to chodzi! Pytałem o sens — rozżłościł się. — Okazuje się, że słowo demokracja nie dziwi pani. A demokracja socjalistyczna?

Irena roześmiała się ubawiona.

— Przyzwyczaiłam się, proszę pana.

— Właśnie. To jest okropne. Wszyscy się przyzwyczaili. I to do czego? Do nudy, do szarzyzny, do kolejek, do kłamstw, do bylejakości i do braku nadziei. A wie pani, że to oznacza koniec? Koniec. Jesteśmy ginącym gatunkiem. Ryby, które — jak wiadomo — głosu nie mają, wyginęły w naszych rzekach. A teraz kolej na nas. My też zginiemy. I co gorsza, nikt nas nie będzie hodował w akwariach ani pod folią. Nie jesteśmy zabawni. Pożytku z nas też niewiele.

— Dziwny z pana człowiek — zauważyła Irena.

Karol machnął lekceważąco ręką, dając w ten sposób do zrozumienia, że mówienie o nim nie ma najmniejszego sensu.

— Panią nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi? — spytał z zaciekawieniem.

— Ja jestem przedwojenna — pokiwała ze smutkiem głową i zaciągnęła się dymem.

— Nie wygląda pani.

— Bo się staram, wie pan, dieta, masaże, liftingi, jogging, zarodki pszenne, miód z cytryną...

— I mówi pani o tym bez żenady?

Wzruszyła ramionami. Jej twarz stała się nieprzenikniona i ciemna. Odeszła od drzwi i szukała czegoś biegając po pokoju, znalazła niewielką czarną torebkę w kształcie koperty, wcisnęła do niej papierosy.

— Na mnie już czas — powiedziała w zamyśleniu. — Chodzę spać z kurami. Gdzie ten Adam?

— Tańczy.

— Obiecał odwieźć mnie do domu.

— Mogę to zrobić za niego.

— Chce pan zrezygnować z tak wspaniałego przyjęcia dla jakiejś starej baby?

— Tego nie powiedziałem. Odwiozę panią i wrócę.

— Nie. Nie. Dziękuję. Adam zawsze dotrzymuje słowa. A pan niech z nią tańczy.

— O! Pani nawet wie, z kim chciałbym tańczyć?

Irena uśmiechnęła się drwiąco i popatrzyła na niego z politowaniem.

— Proszę pana — powiedziała — są trzy rzeczy na świecie, których nie da się ukryć: ubóstwa, miłości i kaszlu, a więc niech pan się nie krępuje... i kaszle. — Odwróciła się słysząc kroki, do pokoju wsunął się zadyszany Adam, rozpiął marynarkę i wyciągnął się w fotelu.

— Dobrze, że jesteś, — zawołała Irena z dziwnym błyskiem w oczach i wskazała na zegarek.

— Chcesz już jechać? — popatrzył na nią oczami pełnymi żalu.

Potwierdziła ruchem głowy i powiedziała coś bardzo cicho, czego Karol nie usłyszał. Adam skinął głową.

— Daj mi łyk kawy — poprosił i otarł chusteczką spocone czoło. Na półce w pobliżu biurka stał termos z kawą i filiżanki.

— Widzę, że nie zmieniłeś przyzwyczajień — skonstatowała z zadowoleniem, nalewając kawę jemu i sobie.

Z salonu dochodził niezwykle ożywiony głos Marty, pytała, kto pije kawę, a kto herbatę, zachwalała tort beżowy. — Polecam — mówiła —

specjalny krem nietuczący. Pan może zjeść śmiało dwa kawałki, proszę, bardzo proszę. — Po chwili wpadła zaróżowiona do gabinetu. — Tort według twojego przepisu. Nie spróbujesz? — podsunęła Irenie paterę.

— Próbowałam. Bardzo dobry.

— A może napijemy się szampana?

— Ja dziękuję — Irena podeszła do drzwi. — Jestem zmęczona. Chyba już pójdę.

— Zostań! Świetnie wyglądasz. A pan nie skusi się na kawałek tortu? — zwróciła się do Karola.

— Z rąk pani zjem wszystko — odpowiedział z ukłonem.

— Och! Nie lubię tych staroświeckich komplementów — mruknęła z niezadowoleniem. Położyła mu na talerzyk kawałek tortu i wybiegła do salonu. Z głośników znów trysnęła muzyka, kilka par poderwało się do tańca. Marta dołączyła do nich, tańczyła solo posyłając w różne strony uśmiechy. Widziała jednak, jak Adam, przepaszając gości zgromadzonych w salonie, prowadził Irenę do wyjścia. Ledwie się powstrzymała, żeby nie rozdzielić ich jednym gwałtownym cięciem. Dopiero gdy zniknęli za drzwiami, podbiegła do okna i zza uchylonej firanki wyglądała na ulicę. Samochód przygotowany do drogi stał przed bramą. Irena uczeplona ręki Adama potykała się na wysokich obcasach. Ruchy miała rozchwiane, pozbawione sprężystości i siły, stąpała niepewnie, drobiąc chudymi nogami. — Jest starsza od niego — skonstatowała z zadowoleniem Marta i już bez przykrości patrzyła na samochód, który tnąc drzewa światłami, wjechał na brukowaną ulicę.

* * *

Winda z głuchym młaśnięciem zatrzymała się na dziewiątym piętrze Irena, przełamując niechęć, wysunęła się na ciemny korytarz.

— Znów ktoś wykręcił żarówkę, — westchnęła z rezygnacją i wymacywała rękami ścianę.

— Mam zapalki — ucieszył się Adam. W tej samej chwili błysnął niewielki płomień, który zasyczał nieprzyjaźnie, zapalka odłamała się i spadła mu na spodnie.

— Cholera! — zaklął czyszcząc wypalone miejsce. Palce Ireny trafiały w próżnię. Ściana była tuż obok, a ona ciągle w dłoniach czuła powietrze. Znów nikły płomyk rozżarzył się w rękach Adama i oświetlił jej drogę. Otworzyła dwa zamki typu „skarbiec”, bez trudu odnalazła kontakt i rażona jasnością przymknęła powieki.

— Och! — oparła się o futrynę i poszukała wzrokiem Adama. — Nie czuję się dobrze. Może wejdiesz? Napijemy się herbaty.

— Z największą rozkoszą — odgrodził się drzwiami od korytarzowych ciemności. Pomógł jej zdjąć płaszcz.

Irena od razu chwyciła za papierosa. Adam nabijał powoli swoją fajkę i patrzył, jak ona nie krępując się go zdejmuje klipsy, pierścionki i bransolety, jak z ulgą pozbywa się również pantofli na wysokich obcasach. Rozwiązała pod szyją bluzkę, podkuliła pod siebie nogi i obłożyła się poduszkami.

— Dobrze, że mnie przywiozłeś — uśmiechnęła się oczami — Żle się tam czułam. Coraz bardziej denerwują mnie ludzie.

— Jednak przeżywasz odejście tego chłopca? — westchnął z żalem. Prychnęła z niezadowoleniem i popadła w zadumę. Siedziała tak dłuższą chwilę, przywołując prawdopodobnie jakieś niewesołe wspomnienia. Oczy jej zgasły, wokół ust utworzyły się niedobre zgrubienia i cięcia, na policzkach wykwitły szkarłatne plamy. Teraz Adam nie mógłby już przekonywać jej z takim uporem, że nie wygląda na swoje lata. Smutek źle wpływa na urodę, cierpienie ściera powab nawet z młodych twarzy, a starszym dodaje nie tylko zmarszczek, odciska się złowrogą pieczęcią na wszystkim nie oszczędzając mimiki i gestów. Brak trosk to najlepszy eliksir młodości, jaki wymyśliła ludzkość.

— Już nie — odezwała się wreszcie. — Mam to za sobą. Widzisz, nie cieszy mnie nawet to, że on chce wrócić... Tak, chce, telefonuje, przeprosza, sądzi, że chodzi mi o ten jego, pożał się Boże, romans, że tylko o to mam żal... Pewnie, że mam, nie będę ukrywać, zwłaszcza przed tobą, co przeżyłam to przeżyłam, a jednak chodzi o coś innego, to coś jest znacznie ważniejsze. Cóż, kiedy on nic nie rozumie, ma elektroniczną głowę, stąd — dotąd, tak został zaprogramowany, nic nie pomoże, nie potrafi spojrzeć na świat z mojego punktu widzenia, widzi tylko siebie, siebie, może nawet mnie kocha, nie wiem i nic mnie to nie obchodzi, nie chcę być z nim, rozumiesz? Nie potrafię, teraz już nie... Zniszczyłam w sobie całą miłość do niego, ale... Na szczęście wyszłam z tego obronną ręką, zawdzięczam to tobie, nie zaprzeczaj. To, że ty istniejesz, dodaje mi odwagi. Dzięki tobie jestem silniejsza, mądrzejsza.

— Nie rozumiem, doprawdy... przecież szalałaś za nim?

— Widzisz, to się zaczęło już dawno, może od samego początku tak było, ale ja tego nie widziałam, nie chciałam widzieć, nie wiem, aż któregoś dnia chodząc po mieście natknęliśmy się na afisz z tytułem sztuki czy filmu: „Zestarzemy się razem”, dokładnie tak. On to przeczytał i spojrzał na mnie

z cholernym współczuciem. Szkoda — powiedział — że my nie zestarzejemy się razem. Masz pojęcie? Dokładnie tak. Wpadłam w szal. Co ty sobie wyobrażasz — krzyknęłam — że masz szesnaście lat, a ja sto? Jesteś o trzynaście lat młodszy, tylko o trzynaście lat, masz trzydzieści sześć lat skończone, a mnie do czterdziestu dziewięciu brakuje jeszcze kilku miesięcy. Z tymi wąsiskami, z tą brodą, z tym tłustym karkiem wyglądasz na mojego ojca, wyglądasz niechlujnie, a jak ci Bóg pozwoli, dożyjesz tych lat co ja i będziesz zgrzybiałym starcem chodzącym o lasce... Pogodziliśmy się po dwóch dniach, ale to we mnie zostało, słowa wypowiedziane zostają, przedmioty łamią się, niszczą czy gubią, słowa nigdy. Słowa są trwalsze od stali. I te słowa stały się moją obsesją. Od tamtego dnia nie zaznałam chwili spokoju, zrobiłam, się wyczulona, obłędnie niepewna... Na przykład: prowadzę samochód i nie zauważam jakiegoś znaku, to mi się zdarzało nawet, kiedy miałam trzydzieści lat, ja się tym nie przejmuję, ale wiem, że u niego w tym elektronicznym mózgu, na odpowiedniej dyskietce pojawi się zapis pod hasłem starość, trzy razy opowiem jakiś dowcip, to samo, wystarczy, że czegoś nie dosłyszę — znowu, albo biegniemy razem do autobusu, ja dostaję zadyszki, on zwalnia i patrzy na mnie z tym ciepłym, cholernie miłym współczuciem, szuka siedzącego miejsca, podaje mi rękę przy wysiadaniu i w ogóle troszczy się o mnie.

I tak dalej i tak w kółko, przykłady można by mnożyć... Zaczęłam się kontrolować, udawać silną, zdrową, wysportowaną, bałam się powiedzieć, że jestem zmęczona, bałam się poobiedniej drzemki, środków przeczyszczających, kosmetyczek, masaży, siwych włosów, braku apetytu, bezsenności i roztargnienia, no bo wiadomo, co on sobie pomyśli, jak to odbierze, nic nie powie, ale ja po układzie jego warg, po zmieniającej się barwie źrenic wiem już, co jest grane, więc kiedy go przyłapałam z tą małą w Zakopanem... Przepraszam, ale muszę zapalić, nie mogę jeszcze o tym mówić spokojnie...

— Napij się koniaku, to ci dobrze zrobi.

— Nie, gniecie mnie coś pod żebrami, lepiej nie — zaciągnęła się dymem i mówiła dalej z drwiącym uśmiechem. — Jadąc tam wiedziałam, że ich spotkam, mogłam nie jechać, a jednak pojechałam, decydując się świadomie na to, co nastąpi, ponieważ chciałam, żeby nastąpiło. Sprawdziłam w recepcji hotelowej, że się zameldowali w jednym pokoju. Zatelefonowałam do niego i zapytałam, co słyhać. Poczęstował mnie kilkoma kłamstwami. Właśnie — powiedział — kończy scenopis tego filmu dla telewizji, chodzi trochę po górach. To by się zgadzało, chodził, było ciepło, słonecznie, a on

nie miał nic do roboty. A jak się czuje panna Stelmach? — spytałam. Kto? Ogromnie się zdziwił. — Czyżbyś nie znał nazwiska panienci, z którą sypiasz? — Kto ci naopowiadał tych bzdur! — wykrzyknął ze świętym oburzeniem. — Przyjadę za dwa, trzy dni, wszystko ci wytłumaczę. — Nie musisz przyjeżdżać. Jestem w Zakopanem, w hotelu „Gazda”. Możemy się spotkać jutro na kawie. — O której? — spytał wystraszony. — O dwunastej. Nie chciałabym się zrywać o świcie, czuję się zmęczona. — A może chcesz dziś? — To nic pilnego. Wytrzymasz chyba do jutra? Chcesz przyjść z nią czy sam? Mnie tam bez różnicy. — Zwariowałaś? Po co bym miał ją przyprowadzać? — Jak chcesz, a więc do jutra. — Hej! — położyłam słuchawkę.

Nie muszę ci mówić, jak się czułam, byłam po paru nieprzespanych nocach, roztrzęsiona i zła, a przy tym zadowolona z siebie jak diabli. Nie straciłam zimnej krwi, nie rozplakałam się, nic z tych rzeczy... Zadowolenie z siebie jest ważne, znakomicie wpływa na sen. Spałam tak dobrze jak nigdy. Nie pamiętam już, kiedy tak dobrze spałam. Rano zjadłam śniadanie w pokoju i poszłam na spacer. Dzień był taki, jak trzeba, po błękitnym niebie sunęły swarliwe obłoczki, zderzając się z sobą, góry oślepiały jasnością. Powietrze pachniało lasem i poziomkami. Ten spacer dobrze mi zrobił. Punktualnie o dwunastej weszłam do kawiarni. On już tam czekał, straszliwie zdenerwowany, palił. Przywitał się ze mną niezwykle czule jak stęskniony kochanek. Roześmiałam się. — No? Co mi chcesz powiedzieć? — spytałam, uśmiechając się zachęcająco. — Że cię kocham. — I co jeszcze? — Już nic. — W takim razie ja ci coś powiem. Daj ekspresowe ogłoszenie do gazety, że poszukujesz mieszkania. Jeżeli nic nie znajdziesz, poproszę Filipa i Mirellę, żeby cię przygarnęli. Zajmują we dwójkę całą willę. To byłoby wszystko. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. — Zbladł, stracił zupełnie głowę i nie wiedział, co powiedzieć. — Ona wyjechała, nie ma jej — wystękał po chwili. — Odesłałeś ją do Warszawy? — uznałam za stosowne się zdziwić. — Zupełnie niepotrzebnie. Będzie ci smutno samemu. — Zawołałam kelnerkę i zapłaciłam. On siedział ze spuszczoną głową, straszliwie blady i obgryzał paznokcie. Dałam suty napiwek kelnerce i wstałam. — Jesteś potworem — syknął jadownicie i nie pożegnał się ze mną, a teraz rozpowiada, że to ja go rzuciłam. Ja nie prostuję. Po cóż miałabym się ośmieszać.

— A ten muzyk? — zapytał Adam z ledwie uchwytnym niepokojem. Irena uśmiechnęła się tajemniczo.

— Och! Już i do ciebie dotarły te plotki? Nie, mój drogi, nie lubię nowoczesnej muzyki, poezji awangardowej też nie.

Nigdy nie recytuję wierszy współczesnych poetów, po prostu nie potrafię deklamować czegoś, co nie ma rymu i rytmu. To nie jest poezja, nic na to nie poradzę. Nowoczesne malarstwo polubiłam dzięki tobie. Inni mężczyźni nie mieli na mnie takiego wpływu. Zostaniesz na noc czy wracasz do domu?

— Jeżeli pozwolisz, to zostanę.

— To zadzwoń do niej.

— Po co? — oburzył się. — Przecież wie, gdzie jestem.

— Ale się denerwuje.

— I bardzo dobrze. Może wreszcie coś do niej dotrze? Może wyciągnie jakieś wnioski ze swojego postępowania, zmieni się, dostosuje.

— Do ciebie? — roześmiała się Irena. — Ależ ona to już zrobiła. Zrezygnowała ze swoich przyjaciół, z dyskotek, ze spotkań z rówieśnikami, nawet kryminały czyta w ukryciu, nie upija się, nie gania za mężczyznami. Czego ty jeszcze chcesz? Żeby się zestarzała dla ciebie? Adam patrząc na nią kręcił głową.

— Śmiesz mnie, kiedy jej bronisz.

— Nie rozumiem, co w tym śmiesznego?

— Bo jej nie znosisz.

— To nie ma nic do rzeczy, stać mnie na obiektywizm, mówię, jak jest.

— Więc co mam robić? Rozwieść się? Ożenić się z którąś z twoich zwariowanych przyjaciółek, czy z twoją kuzynką Manią?

— A dlaczego nie ze mną?

— A to dobre! — Adam wybuchnął huraganowym śmiechem. — A to dobre! — powtórzył nie przestając się śmiać.

Irenę jakby dotknął ten śmiech, spojrzała na niego karcąco, ale on nic nie widział, łzy przesłoniły mu oczy. W końcu i ona się roześmiała. Ten śmiech był jak katharsis, oboje poczuli się odprężeni. Na twarzy Ireny pojawił się blask, który rozświetlił jej oczy. Adam wstał lekko, nie czuł żadnego zmęczenia.

— Pojadę do siebie, tak będzie lepiej — oznajmił z nagłą powagą. Wziął ją w ramiona, ucałował. — Nosisz zawsze takie miękkie suknie, przyjemne w dotyku.

— Które jednak drogo kosztują.

— Coś o tym wiem — roześmiał się znowu, wyjął banknot stu dolarowy i położył na stole.

— To nie była aluzja — powiedziała Irena.

— To też nie jest aluzja — wskazał na pieniądze. — Byłem tak zagoniony, że nie zdążyłem kupić ci prezentu na urodziny.

— Szkoda. Masz dobry gust.

— Kiedyś mówiłaś coś innego.

— Zmieniłam zdanie. Naprawdę masz dobry gust.

* * *

Ojciec z nieśmiałym uśmiechem, wciśnięty w szparę jak źle dopasowany klin, zaglądał ukradkiem do salonu. Marta otworzyła drzwi na całą szerokość i wprowadziła go do środka.

— Państwo pozwolą — powiedziała wyłączając muzykę. — To mój ojciec, Marian Kowalczyk. Przyjechał spod Warszawy.

Kilku panów przywitało się z nim. Telewizyjne gwiazdy posłały mu telewizyjne uśmiechy. Ojciec ośmielił się nieco i z głębokim wzruszeniem ucałował ręce pań Kaweckiej i Zienkiewiczowej, był czerwony po uszy ale szczęśliwy.

— Zatańczysz ze mną tatusiu? — wzięła go pod ramię.

— Nie, ja nie umiem — zaprotestował przerażony. Teraz te takie jakieś wygibasy, nie dla mnie.

— Zatańczymy tango — podbiegła do magnetofonu i zmieniła taśmę.

Ojciec był coraz bardziej przerażony.

— Adam będzie się gniewał.

— No to co! — odpowiedziała z zaciętą twarzą.

— Pójdę lepiej do kuchni, sama rozumiesz! — nie przestawał się denerwować.

— Zostań! — przytuliła się do niego. Znów jak w czasach dzieciństwa chciała się ukryć w jego ramionach i odzyskać w ten sposób złudne poczucie bezpieczeństwa.

Tańczyli chwilę w milczeniu, ojciec wciąż się wyrywał, rozgniewana tym Marta odprowadziła go do holu.

— O czym oni gadają? — spytał wskazując na aktorów oblegających kanapę.

— Pewnie narzekają.

— Na co? Źle im płacą?

— Nie najlepiej.

— Jak to? Takim ludziom nie płacić? — oburzył się szczerze — A to ci dopiero. Kto by pomyślał, no, no... A nikt nie zaśpiewa?

— Tato! Prawdziwi artyści nie śpiewają za darmo.

— Szkoda, a ta Kawecka wygląda młodziej niż w telewizji i ładniej, naprawdę niczego sobie...

— Niech ojciec włoży okulary i przestanie gadać głupstwa. Wszystkie one wyglądają jak moje prababki — zostawiła go w drzwiach, przeszła do gabinetu i naląła sobie whisky.

— Nie lubi ich pani? — odezwał się Karol z ciemnego kąta. Nie odpowiedziała, szukała czegoś gorączkowo na biurku.

— Nie ma pan papierosa? — zwróciła się do niego. - Przepraszam, pan zdaje się nie pali?

— Nie palę, ale mam. Proszę.

Marta wzięła papierosa nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

— To po co pan nosi to świństwo — mruknęła ze złością.

— Na wszelki wypadek. Zawsze się komuś przydaje.

Marta popatrzyła na niego jak na wariata, zapaliła i przyglądała się tańczącym parom.

— Wywołują we mnie najgorsze uczucia — powiedziała jakby do siebie.

— Papierosy? — roześmiał się Karol.

Marta wzruszyła ramionami i znów nie spojrzała na niego.

— Czyżby kompleksy? — zdziwił się. — Z pani urodą?

— Pan raczy żartować — uśmiechnęła się gorzko. — Uroda? U nas? Gdzie ją pokazać? Na jakim balu? W jakim salonie? Na którym wernisażu?

— No, chociażby tu.

— Tu? Wśród tych gwiazd zapatrzonych w siebie, a rozprawiających z upodobaniem o końcu świata? Proszę pana, ja tu nic nie znaczę. Nikt na mnie nie zwraca uwagi.

— A ja? Mój Boże! Tyle czasu czekałem na ten dzień. Filip mnie okłamał, powiedział, że pani zniknęła. Nie mogę oczu oderwać od pani, wszyscy to widzą prócz pani. Jestem chory, opętany, szaleję za panią.

— Co mi z tego?

— Jak to? — Karol w najszczerzym zdumieniu chwycił się za głowę. — Jestem gotów umrzeć za panią, skoczyć w ogień.

— A konkretnie? Co by pan dla mnie zrobił?

— Wszystko, co pani każe.

— A morderstwo?

— Nie rozumiem.

— Popęłniłby pan dla mnie morderstwo?

— Morderstwo? — powtórzył nieswoim głosem.

— Zabiłby pan kogoś dla mnie?

— Nie — wyznał ze smutkiem. — Nie mógłbym tego uczynić. Jestem przeciwko zabijaniu, przeciwko wojnie, przeciwko zbrojeniom...

— Przeciwno Pershingom, Cruisom i SS-22? — wpadła w jego ton.

Skinał z powagą głową.

— Niech pan sobie będzie, ale proszę mi tu nie opowiadać bzdur o miłości. Pan nie jest w stanie nic mi dać.

— A mój zachwyty? Moje uwielbienie? To według pani nic nie jest?

— Ja to wszystko mam, drogi panie — odpowiedziała wyniośle. — A na flirty, ukradkowe spotkania niech pan namówi którąś z tych sławnych dam. Nie przewiduję większych trudności. Pan jest naprawdę przystojny.

— Ja mówię o poważnych sprawach.

— Jakież to według pana poważne sprawy?

— Miłość nadaje sens życiu — oświadczył nadaşany — a pani udaje, że nie rozumie.

Marta nie słuchała, była coraz bardziej roztargniona, zagryzając nerwowo wargi podeszła do okna. Na ulicy panował spokój i pełna groźnych pomruków warszawska cisza. Koty ganiały się po dachach, a ich rozpaczliwe wrzaski kojarzyły się bardziej z morderczymi zmaganiem niż z seksem.

— No, co on tam robi? — westchnęła rozpaczliwie. — Zostawił gości. To nieładnie.

Karol uśmiechnął się drwiąco.

— Mam powiedzieć? — zapytał ze złym błyskiem w oczach.

W drzwiach ukazała się grupka gości. — Chcieliśmy się pożegnać.

— Już? Dlaczego? — Marta z trudem oderwała się od okna.

— Dochodzi dwunasta.

— Adam zaraz wróci.

— Och! — uśmiechali się współczująco. — Proszę go od nas pożegnać. Dziękujemy. Było bardzo miło.

Podawała im nieprzytomnie rękę, uśmiechając się w przestrzeń, nikogo nie widziała. — Dziękuję, bardzo to miłe, że zechcieli państwo przyjść. Dziękuję, do widzenia.

Odeszła od drzwi, rozejrzała się po opustoszałym salonie i wybuchnęła histerycznym śmiechem.

— Co się stało? — z gabinetu wybiegł Karol niosąc butelkę whisky w rozdygotanych rękach. Z kuchni wysunął się ojciec z flaszeczką nerwosolu.

— Nic — Marta umilkła raptownie, popatrzyła na Karola oczami posągu, wcale go nie widziała.

— Nie trzeba się tak przejmować — podał jej szklanę, w której brzęczały przyjemnie kostki lodu. Ojciec z nerwosem wrócił do kuchni. Marta bawiła się przez chwilę kostkami lodu.

— Może zasłabł — rzuciła się do telefonu. Karol przytrzymał ją za rękę.

— Niech pani tego nie robi — powiedział przysuwając się do niej, rozgorączkowanymi ustami wczepił się w jej ramię. Marta zajęta swoimi myślami odsunęła się od niego, przeszła w drugi koniec pokoju, pociągnęła łyk whisky ze szklanki.

— Więcej jej tu nie zaproszę — oznajmiła podchodząc do okna.

— O Boże! — Karol z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło. — Czy pani jest ślepa? Czy pani nie widzi, co się dzieje?

— Nie rozumiem! — patrzyła na niego z bezgranicznym zdumieniem.

— Przecież on nadal ją kocha... Wszyscy o tym wiedzą, a pani udaje ślepa i...

— Nieprawda! On kocha tylko mnie. Nie potrafi beze mnie żyć. Rozumie pan? Jestem dla niego jak powietrze, jak woda.

— Niech pani oprzytomnieje i spojrzysz prawdzie w oczy... Kiedy z nią rozmawiał, miał w oczach płomień.

— Płomień! Co za bzdury! Szkoda, że w pańskich oczach ich nie ma.

Z holu wysunął się ojciec z zaaferowaną twarzą.

— W twojej sypialni — powiedział do Marty — są jeszcze jakieś dwie panie.

— Co robią?

— Śpią.

W tym samym momencie, jakby na przekór jego słowom, na górze rozległ się śpiew:

Mówiłam ci jak dziecku po rusku, po niemiecku Nie po to jest perfuma, byś ją pił, pił, pil...

— Chciałeś, żeby ktoś zaśpiewał, to masz — roześmiała się Marta. — Każdemu wedle jego życzeń. Jak w komunizmie.

Panie wyszły z sypialni i w górnym holu śpiewały na głosy piosenkę o Ukrainie, sokołach i dziewczynie. Ojciec Marty słuchał ich z rozrzewnieniem. Marta podbiegła do okna i wśród wielu dźwięków nakładających się na siebie usłyszała samochód.

— Adam! — wykrzyknęła radośnie i runęła do drzwi.

Ojciec, wymachując tacą, uciekł do kuchni niczym przestraszony przedszkolak.

Marta witała w holu Adama.

— No jesteś, nareszcie! Już się martwiłam o ciebie.

— Nie miałaś nic innego do roboty? — burknął nieprzyjemnie.

— Przecież ty w nocy nic nie widzisz!

— Przesadzasz, widzę tak samo jak wszyscy — i nie chcąc więcej rozmawiać na ten temat, podszedł do Karola i nalał sobie whisky.

— Pan jednak nadal nie pije? — wskazał na butelkę.

— Nie — odpowiedział z powagą Karol.

— A nie uwiódł mi pan żony? — mrugnął żartobliwie do niego.

— Niestety, nie udało mi się, mimo usilnych starań — stwierdził ze smutkiem Karol.

— Bardzo panu współczuję — powiedział siląc się na wesołość Adam. — Ale nie należy się żałamywać. Do trzech razy sztuka.

— Sądzi pan?

— Myślę, że wcześniej czy później dopnie pan swego. Nie ma kobiet nie do zdobycia. To tylko kwestia czasu. A wy młodzi jesteście niecierpliwi.

— Szkoda, że nie powiedziałaś „to tylko kwestia ceny”. Cena, moim zdaniem, brzmi o wiele lepiej — wtrąciła Marta nie patrząc na żadnego z nich.

— Och! To są czysto teoretyczne rozważania — odparł ze zwykłym spokojem Adam. — Nie zwracaj na nas uwagi.

— Zdawało mi się, że rozmawialiście o mnie. Czyżbym się przesłyszała?

— Nie przesłyszałaś się, ale to naprawdę nie ma nic wspólnego z tobą. Przecież gdyby pan Karol cię uwodził, nie mówiliby mi o tym wprost.

— A dlaczego nie? Czy wszyscy zaraz muszą kłamać, udawać?

Drzwi od holu rozwarły się z trzaskiem i do salonu wtargnęły dwie panie w średnim wieku śpiewając: — Jeszcze jeden mazur dzisiaj, choć poranek świta, czy pozwoli panna Krysiu, młody ułan pyta. — Przeleciały tanecznym krokiem obok Adama, zawróciły, chwyciły go za rękę, jedna z nich, tęgawa i ciężka, porwała Karola. Zrobiło się głośno, obie panie śpiewając przytupywały, krzesła ślizgały się po podłodze, świeczki w starych lichtarzach chwiały się niczym kłosa na wietrze. Karol pociągnął Martę za rękę, nie opierała się, żywiół rozniecony przez dwie panie w średnim wieku wchłonął i ją w swe odmęty, śmiała się po raz pierwszy szczerze tego wieczoru i było jej dobrze, lekko, wesoło, kręciła się, śpiewała, wystukiwała rytmy zapomnianego i przebrzmiałego już tańca i chciała, żeby trwał jak najdłużej, żeby odsunął złe myśli, podejrzenia i lęki. Jeszcze jeden mazur dzisiaj... w szparze uchylonych kuchennych drzwi mignęła twarz ojca z bezradnym uśmiechem. Po kilku gwałtownych podskokach cięższa z pań

osunęła się na kanapę z okrzykiem: — Świta! — Korowód rozsypał się jak garść kamieni rzuconych na ziemię. Marta została sama na środku pokoju i tańczyła dalej.

— Jak my się stąd wydostaniemy? — jęknęła szczuplejsza pani obejmując Adama. — To straszny wygwizdów. Jak panu nie wstyd, profesorze, mieszkać na takim odludziu?

— Sprowadzę taksówkę — Adam skorzystał z pretekstu, żeby się wyswobodzić z jej ramion.

— A może pan by je odwiózł? — Marta musnęła wzrokiem Karola, do którego kierowała swą prośbę.

— Dla pani zrobię wszystko — stuknął obcasami i pomógł grubasce wydobyć się z przepaścistego fotela.

Druga z pań, pozbawiona profesorskiego ramienia, zachwiała się, Karol podał jej również rękę. Uchwyciła się go jak koła ratunkowego i ruszyła do drzwi kiwając się sennie.

Karol zatrzymał się na chwilę.

— Panie profesorze — zwrócił się do Adama ścisząc głos — zdobyłem dla pana te materiały.

— Niech pan je podrzuci. Ma pan klucz do garażu?

— Tak, oczywiście — sztywnym ukłonem pożegnał profesora. Marta wyszła za nimi do holu, podała płaszcze paniom, którym ciągle pod nogami poruszały się deski i odprowadziła ich na dwór, postąła chwilę na zimnie, wpatrując się w mroczne niebo. Wiał silny wiatr i księżyc toczył beznadziejną walkę z zalewającymi go potokami chmur. Adam schronił się przezornie do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Marta weszła do niego bez pukania.

— Po co ty zapraszasz do domu tego zarozumiałca? — zaczęła od progu.

— Chodzi ci o Karola? — roześmiał się odprężony. Widocznie spodziewał się innych wyrzutów. — To bardzo zdolny młody człowiek, nawet powiedziałbym, że więcej niż zdolny.

— Ale niesympatyczny, zarozumiałały.

— Czyżby aż tak ci się podobał? — śmiał się coraz głośniejszym głosem Adam.

— Wiesz co? Nie baw się w psychologa. Tajniki dusz ludzkich to nie twoja specjalność. A tego zdolniaczy nie chcę tu więcej widzieć.

— Dobrze. Skoro ci się nie podoba. Siadaj! — zdjął okulary i popatrzył z żalem na maszynopis leżący na biurku. — Dać ci coś do picia?

— Nie, dziękuję.

— Ale usiądź. Chciałem z tobą porozmawiać. Widzisz, od dłuższego czasu noszę się z pewnym...

— To chyba nic pilnego — przerwała Marta z pobladłą twarzą, szybko przeszła w głąb pokoju, gdzie rozsiadł się mrok.

— I tak i nie. Widzisz, jak się ma tyle lat co ja, należy się spieszyć.

— Nie rób z siebie staruszka, wyglądasz wspaniale.

— Ale nie czuję się wspaniale.

— Ja też jestem zmęczona i chce mi się spać — wbita w ciemny kąt, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, z głową wtuloną w ramiona wyglądała jak przerażone dziecko. — Porozmawiamy jutro. — Ziewnęła.

— Dobrze. Idź spać! Ja jeszcze popracuję.

— O tej godzinie?

— Nareszcie jest cicho. Zasłoń okna i zamknij za sobą drzwi.

Marta opuściła ciężkie aksamitne story, podeszła do Adama i z wielką czułością pocałowała go na dobranoc, od drzwi zawróciła i znów go pocałowała.

Po jej wyjściu Adam wyjął z kieszeni klucz i otworzył nim ciężką szafę wmontowaną w ścianę.

* * *

Jedynym dojmującym uczuciem, które nie opuszczało jej po wyjściu gości było rozczarowanie. Mnóstwo pieniędzy wyrzuconych w błoto, uciążliwe, żmudne zakupy i praca, tyle pracy pani Jadzi i ojca, nie mówiąc o niej. Wszystko na nic. Kopnęła z wściekłością przewrócone w salonie krzesło i chwyciwszy papierosa z porzuconej przez kogoś paczki poszła do siebie. Ona, zawsze taka dokładna, dbająca przesadnie o higienę, padła w wieczorowej sukni na łóżko i rozplakała się. Przestała panować nad sytuacją i ogarnęło ją przerażenie. Adam już nie reagował na jej urodę, nie pragnął jej pieśszczot, męczyła go stała obecność Marty, a nawet okazywana mu troskliwość, uciekał z domu do instytutu i tam pracował, a kiedy wracał, przeważnie późnym wieczorem, zamykał się w gabinecie, którego po remoncie nie zdołał polubić. I chociaż nie rozmawiali więcej na ten temat, to Marta czuła się winna. Zburzyła mu sanktuarium i przystań, jedyne miejsce na świecie, które kochał. Sterylnie czysty gabinet, pachnący świeżością, z posegregowanymi i opisanymi książkami stracił bezpowrotnie charakter zasiedziałego i przytulnego miejsca, stał się jednym z wielu nowoczesnych pokoi, które tak ubóstwiała Marta, a których on nie znosił.

Płacząc w poduszkę zastanawiała się, co robić, jak naprawić swój błąd. Zmęczenie, a i spora ilość wypitego alkoholu, mąciły jasność widzenia,

budziły stare żale i smutki. Czuła się nieszczęśliwa, odtrącona, nikomu niepotrzebna. Świat, który ją kiedyś urzekał i nęcił, oddalał się od niej. Była obca w rodzinie i tutaj przy nim. Nienawidziła ludzi, oni to pewnie czuli i traktowali ją obojętnie.

Dochodziła trzecia nad ranem. Podłużna smuga światła spływała gabinetu Adama na srebrne świerki. Czyżby zasnął nad książką? — zaniepokoiła się. Zbiegła pospiesznie na dół i pociągnęła za klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

— Adam! — zawołała. — Co się dzieje? Otwórz! Odpowiedziała jej posępna cisza.

— Adam! — wrzasnęła przestraszona. — Co ci jest? Otwórz! Bo wyważę drzwi! — Coś brzęknęło za ścianą, niecierpliwe i szybkie kroki zbliżyły się do drzwi. Adam przekręcił klucz w zamku.

— Złodzieje? — wyszeptał zbielełymi wargami. Głos mu drżał, oczy latały niespokojnie. — O Boże! Aleś mnie przestraszyła — chwycił się za serce.

Marta zapaliła górne światło i z wazy stojącej na półce wysypała na biurko lekarstwa, znalazła nitroglicerynę, wsunęła mu ją do ust, rozpięła koszulę, doprowadziła go do tapczanu, pomogła mu się położyć i pobiegła otworzyć okno.

— Nie odsuwaj zasłony! — krzyknął Adam siadając na tapczanie.

— Dlaczego? — zdziwiła się. — Trzeba wpuścić powietrza.

— Zasuń zasłonę i chodź tutaj!

— Nie rozumiem — zdziwiła się. — Czego się boisz? Jestem z tobą. Ojciec śpi na górze.

— Nie obudził się?

— On? Możesz strzelać z armat, a on nawet nie drgnie. Skąd tyle tego? — wskazała na biurko. Dopiero teraz spostrzegła kilkanaście ikon ułożonych obok siebie.

— Skąd? — roześmiał się. — Przecież nie ukradłem. Zbieram je od trzydziestu lat, zacząłem jeszcze na studiach. Teraz mam chyba największy prywatny zbiór w kraju.

Marta bez większego zainteresowania patrzyła na bizantyjskie Madonny z wyraźnymi migdałowymi oczami, na znaczone czarnymi liniami kontury postaci, które przypominały rysunki dzieci.

— Dostyc to prymitywne — orzekła odwracając się od ikon.

— Ale piękne — uśmiechnął się. Wzruszyła ramionami.

— Nie wydaje mi się. Gdzie je trzymasz?

— W szafie.

— A mówiłeś, że tam są twoje rękopisy, kłamczuchu?

— Bałem się, żebyś się nie wygadała. O tych moich zbiorach prawie nikt nie wie, więc sama rozumiesz.

— Dobrze, dobrze, nie pisnę o nich ani słówka. Jak się czujesz?

— Już lepiej.

— To rozbierz się i śpij.

— Nie. Muszę pochować te ikony, bo jeszcze twój ojciec w ferworze sprzątania zajrzy tu niechcący.

— Pomyśli, że modlisz się do tych obrazków. Leż, ja je poukładam.

— Nie, nie, ja sam, znów wszystko pomieszasz i poprzestawiasz. Czuję się dobrze, idź spać! Nic mi nie jest.

— Jak chcesz — mruknęła z obrażoną miną i wyszła.

* * *

Sen, który zmorzył ją nad ranem, nie przyniósł wytchnienia, nie udała się ucieczka do szczęśliwej krainy ze złotymi plażami, ciepłe morze zmieniło się w brudne jezioro, nad którym krążyły stada zgłodniałych ptaków, kryła się przed nimi w opuszczonych łodziach, opędzała wiosłami, wrzucała im do wody suchary i chleb, w końcu próbowała ratować się ucieczką ale nogi grzęzły głęboko w mokrym piasku, spod stóp tryskała woda, ptaki krakały gdzieś w pobliżu, a jej groziło utonięcie. Na szczęście ojciec z bezradnym uśmiechem, skurczony i niepewny, wsunął się do pokoju.

— Zrobiłem ci kawy. Już dziesiąta — powiedział zatrzymując się w drzwiach. Zabrakło mu widać odwagi, by wejść dalej. — Może byś tak wstała?

— Nie chce mi się.

— A egzamin?

— Racja! — zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki. Po zimnym prysznicu i mocnej aromatycznej kawie złe przecucia oddaliły się i przybladły. Za to codzienność nabrała zwykłych rumieńców, przede wszystkim egzamin, o przychodni nie myślała, miała jeszcze tydzień wolnego. Poprosiła ojca o dodatkową kawę i zapaliła. Niewesołe nocne rozważania wróciły, mniej intensywnie, to prawda, a jednak dręczyło ją pytanie, co powinna zrobić, jeżeli on... Och! Nie! Bała się nawet pomyśleć... nie wolno prowokować losu, słowa mają magiczną siłę, przepoczwarzają się w czyny.

— Tu ci przynieść? — ojciec wysunął roześmianą twarz z kuchni. Światło dnia było dla niego czymś gorszym niż oko kamery filmowej, obnażało bezlitośnie nie tylko sieć zmarszczek, ale wręcz bruzdy i rowy,

rozgałęzione, napęczniałe żyły, górskie szczyty, ostre krawędzie i przepaści. Ojciec był pięć lat młodszy od Adama, a wyglądał jak jego

dziadek. Garbił się, chodził zgięty, jakby dźwigał na swoich barkach całą kulę ziemską. Przyniósł kawę, cukier, mleko i filiżanki. Usiadł w fotelu i uważnie przyglądał się córce. Uśmiech powoli schodził mu z twarzy.

— Nie zapraszaj jej tutaj — powiedział skubiąc ze zdenerwowania brzeg fotela. Marta od dawna stała się dla niego kimś obcym, ostatnio peszył go jeszcze bardziej jej wygląd modnej, nowoczesnej dziewczyny i sztuczne nieco maniery wielkiej damy. — Ona ma niedobre oczy — wystękał po chwili.

— Tak? — roześmiała się beztrąsko. — Ale jest dobrze wychowana.

— Takie jak ona podają truciznę w syropie — ciągnął od dawna przygotowaną kwestię.

— Myślisz, że chce mnie otruć?

— Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nasypała czego do kawy.

— Bądź spokojny, nie nasypie, bo więcej tutaj nie przyjdzie... Co to? — zamieniła się w słuch. — Ktoś przyjechał. — Podskoczyła do okna, odsunęła firankę, a ujrawszy Karola wysiadającego z malucha, pobiegła otworzyć.

Ojciec chwycił swoją filiżankę i uciekł do kuchni. Karol wszedł uginając się pod ciężarem dwóch kartonów, rzucił je na podłogę i z posępną twarzą, patrząc gdzieś w bok, przywitał się.

— To dla profesora — wyjaśnił wskazując na kartony. Podziękowała mu uśmiechem.

— Ma pan ochotę na kawę? — spytała.

— Nie.

— A na filiżankę herbaty?

— Też nie.

— A może zje pan talerz zupy mlecznej?

— Nie znoszę mleka.

— To już nie wiem, co panu zaproponować.

— Siebie.

— Nie mogę, niestety — uśmiechnęła się zalotnie. — Jestem wierną żoną.

Karol skrzywił się, jakby powiedziała coś niestosownego.

— Za często pani o tym mówi, żeby to była prawda. Uśmiechnęła się tajemniczo, lecz nie zaprzeczyła.

Schylił się po kartony, przesunął je do drzwi i spojrzał na nią smutnymi oczami.

— Niech się pani rozwiedzie! — wykrzyknął takim tonem, jakby prosił ją o szklanekę wody, przechylił się, chciał uklęknąć, ale się rozmyślił, dotknął palcami czoła i poczuł pod powierzchnią naskórka zimny pot.

— Dla pana? — roześmiała się z rozbawieniem. Nagle umilkła i suchym poważnym głosem spoglądając w przestrzeń wyjaśniła: — Kocham Adama. Mówiłam to już. Nie lubię się powtarzać.

— W takim razie nie mam tu nic do roboty. Gdzie położyć te paczki? — stał bez ruchu jak ptak z opuszczonymi skrzydłami, mówił normalnie, najnormalniej na świecie i nie słyszał swojego głosu.

— Zdaje się, że Adam dał panu klucz od garażu?

— Ale czy tędy można?

— Oczywiście, pierwsze drzwi na prawo. Da pan sobie radę?

— Tak, oczywiście, tak.

Znowu ta dziwna sztywność ruchów. Jej głos rzeczowy uprzejmy, jego potakiwanie: — Tak, oczywiście, tak, tak... Pokonując wielomilową przestrzeń, dotarł wreszcie do paczki, udało mu się schylić pod jej spojrzeniem, które gdzieś tam biegało po obrzeżach wszechświata i oddalało się z każdą sekundą, papierowy sznurek wpił mu się w palce, nie przeciął skóry, ale pękł z hukiem, karton klapnął o podłogę, a podmuch wiatru wyrwał część zawartości zawiązanej niedbale. Luźne kartki poleciały do holu. Karol zdenerwowany tym ponad miarę zbierał niezdarnie kartki, gniótł je i miał wpychając do środka. W pewnej chwili rzucił je na podłogę, wziął ręce Marty, przycisnął do twarzy i długo trzymał na policzkach, aż wreszcie odważył się je pocałować.

— Po co ci tyle papieru? — spytała.

— To dla profesora.

— No wiesz? Profesor ostatnio nic nie pisze.

Karol uśmiechnął się jakoś dziwnie i z wielkim trudem powstrzymał mę, żeby nie zaprzeczyć, czy czegoś nie powiedzieć. — Trzeba robić zapasy, lada dzień wybuchnie nowy kryzys.

— Nowy? — roześmiała się. — Co ty opowiadasz! Ten kryzys trwa ponad czterdzieści lat i ma się dobrze. Ma się coraz lepiej. Wszyscy się do niego przyzwyczaili, pokochali go, polubili, i hołubią jak mogą, a ty mówisz, że wybuchnie. Jeżeli coś wybuchnie, to nie będzie z całą pewnością kryzys. To, co jest, nie może nagle wybuchnąć. To wbrew logice. Wszyscy o tym wiedzą, tylko nie ty.

— Ja się tym nie zajmuję. Mnie interesuje sztuka i miłość. Nic poza tym. Nic...

— Proszę! — Podała mu kilka białych kartek, pomogła związać paczkę mocnym konopnym sznurkiem, który wyciągnęła ze skrzyni na buty. — Tędy — pokazała korytarzyk wiodący do garażu, już się nim nie zajmowała, jakaś myśl zawładnęła jej uwagą, chciała biec w głąb mieszkania, szukać czegoś i sprawdzać, powstrzymywała ją jednak obecność Karola, który udawał, że nie mieści się z paczkami w wąskim korytarzyku i zwlekał z odejściem.

— A może dasz się namówić na spotkanie dziś wieczorem? Marta zajęta swoimi myślami poruszyła głowę, chyba jednak nie wyraziła zgody, on zdawał się nie dostrzegać tego ruchu, najwyraźniej go ignorował, oboje zachowywali się jak ludzie potykający się w ciemnościach, macający rękami ściany. Widzieli swoje ręce, niebieskawe gałązki żył, połamane paznokcie, szukali siebie i nie znajdowali, oddzielał ich mrok, tyle wysokich schodów i tyle niezbadanych przejść.

— Będę czekał o szóstej wieczorem. Zapamiętaj adres: Polna 10 m 6. Udawała, że nie słyszy.

— Pierwsze drzwi na prawo — powtórzyła z naciskiem.

— Będę czekał — nie ustępował.

Uśmiechnęła się drwiąco, pod wpływem jakiejś nagłej myśli wleciała do gabinetu profesora, pociągnęła za uchwyt ciężkiej szafy zamkniętej na klucz, następnie z wielką uwagą obejrzała mosiężny zamek, potem przeszukała bardzo dokładnie schowki Adama, ale nie znalazła klucza od szafy. Przestała się nią zajmować, wróciła do holu, a upewniwszy się, że Karol odjechał, zaczęła szykować się do wyjścia. Gdy otworzyła skrzynię z butami, na podłogę spadła niewielka kartka, jedna z tych, co znajdowały się w paczce: „Tygodnik Mazowsze” — przeczytała tytuł oraz kilka zdań odbitych maczkiem na pierwszej stronie, podarła kartkę na drobne kawałeczki i wrzuciła do śmieci.

— Tatusiu! — krzyknęła w stronę kuchni. — Gdzie się chowasz? Jadę do biblioteki. Odgrzej sobie pizzę! Ja zjem coś na mieście.

— Nie będę nic jadł. Posprzątam piwnicę i pojedę do domu.

— Zaczekaj, aż przyjadę. Odwiozę cię na dworzec. Może pójdziemy do kina. Do zobaczenia. — Nie weszła jednak do kuchni, żeby się z nim pożegnać, dopiła wystygłą kawę i tym samym wąskim przejściem, przez które przeciskał się przed chwilą Karol, poszła do garażu.

* * *

Ojciec Marty, zajęty słuchaniem radia i porządkowaniem piwnicy, nie usłyszał taksówki podjeżdżającej pod dom i w ogóle nie zauważył wielu

rzeczy, które zdarzyły się tego dnia i które miały wpływ na dalszy bieg wypadków, chociaż, prawdę mówiąc, nie zdarzyło się znowu tak wiele, ale przecież nie trzeba trzęsienia ziemi, Hiroszimy czy Czarnobyła, aby czyjeś serce zamarło z trwogi. Wielkie zdarzenia przychodzą nagle jak wiosenne burze i tak samo nagle odchodzą, natomiast małe wciskają się cichcem do naszych domów i objawiają się kataklizmami.

Taksówka podjechała pod dom i stała chwilę przed bramą, kierowca gmerał po kieszeniach w poszukiwaniu drobnych, a gdy już znalazł i odwrócił się, żeby wręczyć Irenie, zawahał się, jej twarz wydała mu się znajoma, trzymał więc pieniądze w garści i patrzył.

— O Jezu! — walnął się w czoło i rozsypał bilon. — Patrzę i własnym oczom nie wierzę, pani Kuczborska, prawda? Moja żona jest podobna do pani, strasznie się tym chwali, lubi, jak ludzie się na nią gapią... Zaczęła się czesać tak jak pani... Jak jej powiem, że panią wiozłem, nie uwierzy.

— Dam panu wizytówkę z autografem — uśmiechnęła się do niego Irena.

— A nie ma pani zdjęcia? Żona by się dopiero ucieszyła...

— Nie, nie mam — burknęła już ze złością, pokrywając szybko niecierpliwym tonem uśmiechem. — Nie noszę przy sobie. Dziękuję — wzięła resztę, znów przystroiła się w uprzejmy uśmiech, który powinien wywrzeć na taksówkarzu dobre wrażenie. Po powrocie do domu powie żonie: miła ta pani Kuczborska i ładna, ładniejsza niż w telewizji. Trzeba dbać o opinię, kontrolować się, uśmiechać, ludzie jednak ją rozpoznają, nie to co jej koleżanki. One mogą po sto razy wchodzić do sklepu, a nikt na nie nie zwróci uwagi. Ona ma nie tylko swoich wielbicieli, ale i wrogów. Dzięki jednym i drugim istnieje w świadomości społecznej. Wśród recenzentów przeważają wrogowie, ci, jak większość krytyków, lubią się popisywać różnymi złośliwościami, ale i oni, nawet oni cenią jej zawód i technikę, wciąż o tym piszą, idioci! Gdyby posługiwała się samą tylko techniką, grałaby co najwyżej robotą, a nie Panny Julie, Medee... Technika jest ważna, mój Boże, bez niej człowiek nie zagra żadnej roli, ale potrzeba coś więcej, talentu czy też skromniej — zdolności, o tym rzadko się mówi... Szkoda jednak, że tych krwistych postaci coraz mniej we współczesnych sztukach, a chyba i w życiu.

Taksówkarz schował wizytówkę z podpisem Ireny i wciąż powtarzał:— Żona będzie w siódmym niebie, żona zechce mieć taki płaszcz jak pani, a ja nie zarabiam tyle co dawniej, po tych podwyżkach ludzie mniej jeżdżą...

— Przepraszam, jestem umówiona, do widzenia panu.

Adam nie usłyszał podjeżdżającej taksówki, pochylony nad biurkiem w pobliżu zamkniętego okna, za gęstą tiulową firanką pisał coś drobnym wyraźnym pismem w niewielkim notesie, elektryczna maszyna do pisania, dawno nie używana, stała na stoliku pod zniszczonym pokrowcem. Adam pisał ręcznie, posługując się notatkami zrobionymi wcześniej w jeszcze mniejszym notesie. Głośny dzwonek, przypominający sygnał karetki pogotowia, wywołał grymas niezadowolenia na jego twarzy, nie przerwał pisania, czarnym długopisem dociągnął zdanie do kropki. Dzwonek odezwał się znowu, tym razem krótki, urywany sygnał powtórzył się trzy razy. Adam wyskoczył z za biurka, tak mógł dzwonić tylko Filip, w każdym razie nikt obcy. Marta nie przejęła tych obyczajów, chcąc podkreślić swoją odrębność i niezależność, dzwoniła zawsze dwa razy, nigdy więcej. Wyskoczył więc do holu z uśmiechem zaciekawienia, nacisnął guzik otwierający furtkę i wybiegł na schody, a gdy ujrzał Irenę idącą mu naprzeciw w płytkim kapelusiku z dość dużym rondem, podobnym do tych jakie noszą włoscy duchowni, w modnym płaszczu z ramionami jak skrzydła, zaniepokoił się, uśmiech zgasł mu na wargach.

— Co się stało? — wykrzyknął wybiegając do niej.

— Nic. Mokrzycki zachorował i nie mamy próby. Nie chciało mi się czekać do drugiej. Dzwoniłam z automatu, ale ty mnie nie słyszałeś, wiedziałam, że jesteś w domu, dlatego przyjechałam.

— Dobrze zrobiłaś. Cieszę się z powodu Mokrzyckiego.

— Nie bądź potworem — skarciła go żartobliwie Irena, pozwalając się prowadzić pod ramię. — To miły człowiek.

— Jeżeli ty go lubisz, życzę mu szybkiego powrotu do zdrowia. Zjemy coś w domu, czy chcesz iść do knajpy?

— A Marta?

— Marta! Marta! — powtórzył z roztargnieniem. — Zaraz, dokąd ona poszła! Acha! — przypomniał sobie. — Jest w bibliotece. Coś tam na pewno zje.

— To dobrze. Nie przepadam za jej towarzystwem. Nie bardzo wiem, o czym z nią rozmawiać... Przeszkadza mi jej wiek... A tobie nie?

— Ja z nią nie rozmawiam — powiedział śmiejąc się.

— A jednak będziesz musiał.

Przytaknął, połykając uśmiech i twarz mu zapadła, oczy umknęły pod powieki. Pomógł Irenie umieścić w szafie skrzydlaty płaszcz między swoimi ubraniami, chciał zatrzymać niepowtarzalny zapach jej perfum, o których Marta powiada, że są wizytówką kobiety — flame, poison czy fuji? Nie

wiedział. Irena zmieniała perfumy jeszcze częściej niż mężczyźni, gdyby żyła w innym świecie, zmieniałyby samochody, byłyby rozkapryszoną gwiazdą, podczas gdy tu jest zaharowaną kobietą, z którą trudno się umówić na obiad. Stał w drzwiach i patrzył na nią z wzrastającą czułością, miała styl księżniczki, królowej i damy; kształtna głowa osadzona na smukłej szyi w beżowej powodzi bujnych włosów, długie białe ręce z palcami jak szparagi, zawsze zadbane, paznokcie pokryte beżową emalią, taka sama dyskretna szminka z połyskiem — wszystko wyważone, dobrane. Okiem wprawnej gospodyni lustrowała salon, który Marta z pomocą ojca zdążyła uprzątnąć, pachniało wprawdzie pastą, ale podłoga błyszczała w słońcu, na pomarańczowo-beżowym dywanie widniały ślady odkurzacza, blad różowe gerbery na okrągłym stoliku wyglądały świeżo, a przy drzwiach wiodących na taras pyszniły się piękne okazy fikusów i rododendronów, nad którymi górowała olbrzymia palma.

— Będziesz jednak musiał z nią porozmawiać — powiedziała z naciskiem.

Adam westchnął zrezygnowany.

— Martwię się o jej egzamin. Prawdę mówiąc, to nie miała wiele czasu, żeby się przygotować.

— Daj spokój! — obcięła go ostro Irena. — Z taką urodą zdaje się egzaminy bez trudu. Sam mi mówiłeś, że ładne studentki mają u ciebie fory.

— A jednak nie chciałbym jej denerwować. Nie zasłużyła na to. Ona mi wierzy.

— Nie bądź śmieszny! Wierzy przede wszystkim w twoje pieniądze — zauważyła cierpko, wciąż stała przy drzwiach wiodących na taras i przypatrywała się z dziwnym zainteresowaniem olbrzymim donicom zgromadzonym przez Martę.

— A ty nie bądź cyniczna — uśmiechnął się pojednawczo. — To nie twój genre. Napijesz się whisky czy koniaku?

— Chyba koniaku, jestem trochę senna.

— To ja też odrobinę... Muszę jeszcze po południu spotkać się z kimś. Wiesz co? — spojrzał na Irenę z pewnym lękiem. — Porozmawiam z nią jutro. Niech zda ten egzamin.

— Masz rację. Trzeba być człowiekiem — Irena z kieliszkiem w ręku krążyła po salonie i z tą samą uwagą co kwiatom przypatrywała się meblom.

— Niezbyt udany ten komplet, jugosłowiański, prawda? — wskazała kanapę i dwa fotele. Typowe nuworyszostwo, nie uważasz? I ten pretensjonalny stolik nie pasujący do niczego. Trzeba się na coś

zdecydować: albo nowoczesność, albo... przeszła szybkim krokiem do holu i poprawiła przekrzywiony sztych, wracając zatrzymała się przed gabinetem.

— Czy ona widziała twoje zbiory? — zapytała z niepokojem.

— Oczywiście. Nic przed nią nie ukrywam, jest przecież moją żoną. Irena chrząknęła znacząco i zbity z tropu profesor zanurzył oczy w kieliszku i uśmiechnął się z poczuciem winy.

— Powiedzmy, że nie ukrywałem, tak, sądzę, że czas przeszły jest tu bardziej na miejscu. Raczej nie miałem przed nią tajemnic.

— A ona?

— Przecież ją znasz, jest szczerą, otwartą.

— Nie wierz w to! Nie ma szczerych kobiet.

— A ty?

— Ja? Ja nie jestem otwarta ani szczerą, dobrze o tym wiesz. Szczerość, otwartość to nie są zalety, które by ktokolwiek cenił, a już z pewnością nie cenią ich mężczyźni. Przed wami trzeba ukrywać prawdziwe uczucia za kołdrą z waty, którą odsłania się tylko w paru miejscach i pokazuje to, co chcecie zobaczyć, a jeżeli któraś z nas tego nie robi i jest na tyle niemądra, że się odsłania — przegrywa, ponieważ was intryguje tylko niewiadoma. Chcecie wiedzieć, co jest za tym murem, ale uzyskana wiedza nie satysfakcjonuje was, szukacie znowu zasłony lub, mówiąc prozaicznie, kołdry.

— Przesadzasz, jak zwykle, ale robisz to szalenie zabawnie. Zresztą nie oczekuję od ciebie szczerości. Znam cię dość dobrze...

— A ją?

— Też. To prosta, inteligentna dziewczyna. Sądzę, że nie będzie robić trudności, jest na to zbyt dumna, a przy tym cholernie ambitna. Zresztą dostanie rekompensatę.

— Sądzę, że będzie raczej zadowolona. Uwolni się wreszcie od przykrych obowiązków.

* * *

W bibliotece akademickiej wypełnionej zapachem przegrzanego kurzu, który od lat gromadził się na okratowanych kaloryferach i książkach, wypełniających ciasno do siebie przylegające regały, nie było tłoku. Przy wąskich stolikach siedziało zaledwie kilka osób, ziewając i drzemiąc nad grubymi tomami. Dzień był pochmurny, siąpił deszcz i nawet w południe trzeba było zapalać lampy z białymi kloszami, rozstawione w równych rzędach na stołach. Te smutne lampy, rozsiewające zimne światło na pulpity, niewygodne krzesła, powygryzana płatami szara wykładzina, przypominały

Marcie szkołę. W klasach nie było wprawdzie lamp, ale stoły stały tak samo uszeregowane w rzędach i tak jak tutaj wszystkie pomieszczenia pachniały kurzem, biedą, przepoconymi ciałami i marną jednostajną kuchnią. Nie lubiła szkoły, biblioteki też nie, najchętniej uczyła się w domu, ale brak podręczników zmuszał ją do robienia rzeczy niemiłych, spotykała się więc z Elżbietą i razem wynotowywały ważniejsze partie z grubych podręczników. Tym razem, ponieważ nie było tłoku, bibliotekarka pozwoliła im zamknąć się w małym pokoiku przylegającym do czytelni i powtarzać. Powtarzanie polegało na wzajemnym przepytывaniu się. W ten sposób przeleciały cały podręcznik i po kilku godzinach streszczania rozdziałów i uczenia się na pamięć definicji orzekły zgodnie, że nic nie umieją i dalsze ślęczenie w czytelni pozbawione jest sensu. Oddały więc książki i wyszły na obszerny dziedziniec odetchnąć powietrzem przesyconym zapachem spalin i dymem z jakiejś kotłowni. Zimny wiatr i deszcz stwarzały pozory świeżości. Chodziły więc po dziedzińcu gadając o głupstwach, obie miały się na bacności i uważały, żeby nie wspomnieć słowem o czekającym je egzaminie, co ma być, to będzie, najważniejsze to spokój, spokój! — powtarzała Marta żegnając się z przyjaciółką, która pod czerstwą i dużą powłoką kryła lękliwe serce.

* * *

W drodze do domu wyparowało z niej zmęczenie, czuła, że gdyby poszła do kina, odprężyłaby się zupełnie, pamiętała jednak o obietnicy danej ojcu, a że zawsze dotrzymywała słowa, więc i tym razem nie uległa pokusie, przyjechała do domu, zrzuciła płaszcz w holu i wpadła do gabinetu niezwykle ożywiona.

— Adam! Jest list ze Stanów. Zapraszają cię na wykłady, dla mnie też przysłali zaproszenie — stanęła w otwartych drzwiach i dopiero teraz spostrzegła, że mówi do ściany, w gabinecie nikogo nie było. Z kuchni wysunął się ojciec z taką miną, jakby wybierał się na własny pogrzeb.

— Wstaw pizzę do piekarnika — rzuciła, wyjmując z torby notatki. — Jestem wściekle głodna.

— Nie ma — bąknął zmieszany ojciec. — Zjedliśmy wszystko.

— No to na zdrowie. Smakowała wam? Co jesteś taki markotny?

— Ona znów tu była. Odwołali próbę, tak powiedziała, i przyjechała pogadać z nim.

— Nie wiesz, o czym gadali?

— Byłem w piwnicy.

Marta kiwnęła głową i przeszła za ojcem do kuchni, skubnęła kawałek bułki i zaczęła jeść.

— Szkoda, że nic nie słyszałeś — stwierdziła obojętnie i jadła dalej. Ojciec podrapał się w ucho, zapalił, bruzdy i rowy na jego twarzy jeszcze się pogłębiły, na czole od intensywnego myślenia wykwitły dwa bąble.

— No, nie duś tego w sobie, mów!

— Powiedziała, że palmę wystawi się do pokoiku przy garażu i o jadalni, że się ją urządzi gdzieś tutaj...

— I nic więcej? — spytała bez zaciekawienia Marta i nie przerywała jedzenia.

Ojciec pokręcił głową i pełen niepokoju spoglądał na córkę, która nic sobie nie robiąc z tak ważnych informacji, zajrzała do lodówki, wydostała jakąś sałatkę, ser i jadła z rosnącym apetytem, jedząc przeglądała notatki, które przyniosła z salonu.

— Co chcesz zrobić? — zaniepokoił się ojciec.

— Ja? Nic — uśmiechnęła się bezradnie.

Ojciec spostrzegł ten uśmiech i jeszcze bardziej posmutniał.

— Może ja z nim porozmawiam? — zapytał z determinacją. — Jestem przecież twoim ojcem.

Marta parsknęła śmiechem, jakby powiedział coś zabawnego, wrzuciła do torby zeszyt z notatkami i sięgnęła po płaszcz.

— Idziemy — skinęła na ojca.

— Dokąd?

— Odwiozę cię na dworzec — spojrzała na ścienny zegar. — Mam mało czasu.

— Racja — przypomniał sobie. — A nie uważasz, że w tej sytuacji powinienem zostać?

— Nie ma żadnej sytuacji, tatusiu! Ona lubi rządzić, ostatecznie dla świętego spokoju mogę zrezygnować z tej palmy. O tym, żeby urządzić jadalnię w dużej sypialni, myślałam od dawna. Czym ty się zajmujesz? Idziemy! — Wzięła zdezorientowanego ojca pod rękę. — Szybciej! Muszę stąd wyjść. Wszędzie czuć jej obecność i te cholerne perfumy. Co za zapach! Rzygać się chce!

— Powinnaś jednak z nim porozmawiać. Niech jej tu nie sprowadza — wtrącił nieśmiało ojciec. Ściągnął pasek od kurtki po Adamie, za dużej na niego o dwa numery, uśmiechnął się tym przepraszającym za wszystko uśmiechem i zamachał rękami. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w

ostatniej chwili zrezygnował, bo Marta trochę wstydliwym gestem wsunęła mu do kieszeni dziesięć tysięcy złotych.

— Tyle tylko oszczędziłam. Za kilka dni zdobędę więcej. Musisz kupić glazurę, wannę i wszystko co potrzeba do łazienki. Adam niedługo wyjedzie, a wtedy zadeszuję do ciebie, przyjedziesz i będziemy smażyć frytki i chodzić do kina. Cieszysz się?

— Tak, ale...

— Wszystko się ułoży. Zobaczysz, a ona tu więcej nie przyjedzie. Daję ci słowo — uśmiechnęła się w przestrzeń, zawiązała ojcu pod szyją kolorowy szalik i wyprowadziła go do samochodu.

Wpadła na dworzec, wypchnęła ojca na peron, a sama pędząc dalej ocknęła się przed kasą z długą kolejką ciągnącą się aż do schodów. Pociąg ojca odchodził za pięć minut, a stanie w kolejce zapowiadało się co najmniej na godzinę. Zdziwiła ją ta kolejka, zazwyczaj stało tu kilka osób, widocznie coś się stało. Marta nie miała jednak czasu na rozwiązywanie kolejnej zagadki polskiej rzeczywistości, Nie patrząc na nikogo, dopchała się do okienka i poprosiła o jeden bilet. Rozpętała tym burzę. Cała kolejka zgodnym chórem wystąpiła przeciwko niej, najgłośniej krzyczeli mężczyźni.

— Co za bezczelność! Taka młoda i zdrowa. Co za chamstwo! No, nie, tego już za wiele, czy pani nie słyszy?

Marta odwróciła się od okienka i pokazała zacietrzewionym kolejkowiczom oczy pełne łez.

— Przepraszam — odezwała się, nie patrząc na nikogo. — Mój mąż miał wypadek. Spieszę się.

Kolejka zażenowana umilkła.

Wybiegła na peron i wcisnęła bilet ojcu. Udało mu się wskoczyć do pociągu w ostatniej chwili, tuż przed zatrzaśnięciem drzwi. Nie patrząc w stronę odjeżdżającego pociągu, oddaliła się szybko z peronu. Na zewnątrz, w pobliżu Pałacu Kultury, było ciemno, nieliczne latarnie umieszczone dosyć wysoko oświetlały głównie korony smaganych wiatrem drzew. Nie patrzyła ani na drzewa, ani na latarnie, mało ją obchodziły egipskie ciemności spowijające miasto, zajęta swoimi myślami szła bez pośpiechu do samochodu zaparkowanego gdzieś tu w pobliżu. W pierwszej chwili nie mogła go znaleźć, pamiętała jednak że postawiła samochód przy Pałacu Kultury, po dłuższym szukaniu okazało się, że czerwony maluch stał sobie spokojnie w Alejach. Odnalazłszy go nie odjeżdżała, usiadła, zapaliła papierosa i po raz nie wiadomo który analizowała swoją sytuację. Od początku nie była pewna uczuć Adama. Czy kiedykolwiek ją kochał? Czy

ożenił się z nią z rozsądku, robiąc na złość Irenie? Ale przecież wtedy, kiedy przyjechał do „Nowego Świata”, porwał ją w ramiona i całował z takim żarem jak dwudziestoletni chłopak, nie mógł udawać. Kochał ją, wiedziała to, czuła, takie rzeczy zawsze się wie. Fałsz w miłości czy udawanie są jak za duże buty, które spadają z nóg przy każdym szybszym kroku i tego faktu nie da się ukryć. Zapaliła znowu, posiedziała chwilę z zamkniętymi oczami, nagle pod wpływem jakiegoś impulsu przerzuciła biegi, nacisnęła sprzęgło, ruszyła z gwałtownym podskokiem i ledwie prześliznęła się przez skrzyżowanie, umykając przed nadjeżdżającą ciężarówką, której kierowcę zmusiła do ostrego hamowania. Przeprosiła go gestem uniesionej ręki i pomknęła dalej, przeskakując z pasa na pas, zwolniła dopiero przy Placu Unii. Od tej strony wjechała na Polną i w dalszym ciągu, posuwając się bez pośpiechu wzdłuż nieciekawych bloków z wyszczerbioną elewacją i spleśniałymi ramami, z których większość czekała na próżno na kapitalny remont, znalazła oskubane bloczysko w kolorze malarskiego mydła, oznaczone numerem dziesięć. Zaparkowała, znowu wyjęła papierosa, przytknęła go do ust i schowała z powrotem do paczki. Już się nie denerwowała, podjęła przecież decyzję, już się nie cofnie, teraz tylko odrobina pudru na nos i uśmiech, który zmieni wyraz twarzy, nie może przecież iść na randkę z pogrzebową miną. Spojrzała jeszcze na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści, a więc wszystko gra, Karol przestał już czekać, będzie więc mile zaskoczony jej pojawieniem się.

Nie był zaskoczony, czekał na nią z tą nieznośną pewnością siebie charakterystyczną dla młodych przystojniaków. Marta wolała mężczyzn nieśmiałych i romantycznych, którzy tworzą swój własny świat, atmosferę i nastrój. Karol nie należał do nich, był taki jak wszyscy, nieskomplikowany, zbyt przejrzysty, zmierzający szybko do celu. Powitał ją radosnym okrzykiem.

— Och! To wspaniale! Ogromnie się cieszę. Rozbierz się, proszę! — uśmiechał się przy tym z wyraźnym triumfem i jeszcze, żeby ją dobić, powiedział: — Wiedziałem, że przyjdiesz.

Popatrzyła na niego i parsknęła gniewnie.

— A więc wiedziałeś więcej ode mnie, ponieważ ja zdecydowałam się przyjść przed chwilą, dzięki okolicznościom. Dlaczego nie ma cię na liście lokatorów? — spytała, żeby zmienić temat.

— Mieszkam u kuzyna, który wyjechał na saksy.

Marcie zrobiło się go żal, znała ten ból, to w niej jeszcze tkwiło, dawało o sobie znać napadami bezgranicznego smutku lub gniewu.

— A więc jesteś bezdomny. Współczuję ci.

— Daj spokój! Nie ma o czym mówić. Póki co, nie mieszkam na ulicy. Cieszę się, że przyszedłeś, że jesteś. Napijesz się wina?

— Jestem samochodem — zajrzała obojętnie do lustra i przeszła do niewielkiego pokoju, w którym stał stół z jasnego drewna, pokryty wypłowiałym kilimkiem, dwa niemodne fotele z czerwonymi obiciami i rozłożysty tapczan z szaroburą narzutą. Książki wypełniały szczelnie wszystkie wolne miejsca, leżały na podłodze, na wiszących dość niebezpiecznie półkach oraz na regale zbitym z surowych desek, a nawet na stole obok talerza z jabłkami. Gdyby nie tapczan, to sądziłaby, że trafiła do niewielkiego antykwariatu.

— To twoje? — spytała wskazując na książki.

— Moje. Kuzyn jest inżynierem i poza fachową literaturą nic nie czyta. Stało się coś? Wyglądasz na zmęczoną — patrzył zatroskany prowadząc ją do fotela.

— Nic. Po prostu spędziłam cały dzień w bibliotece.

— Po co ty właściwie studiujesz? — zapytał siadając na podłodze. Nie spuszczał z niej oczu, ale bardziej niż nią interesował się jej bluzką z długim rzędem perłowych guzików zapiętych szczelnie pod szyją.

— Po co? — oburzyła się Marta. — A po co ty robisz doktorat?

— Ja to co innego, ja robię karierę naukową.

— Bądź spokojny, ja też zrobię karierę naukową.

— Szkoda twojej urody, naprawdę szkoda — nadal nie mógł oderwać wzroku od bluzki. Wreszcie podjął decyzję i szybkim ostrym ruchem wczepił się w jeden z guzików, opór materii był jednak silny, palce ześlizgiwały się z gładkiej powierzchni, a nierozciągliwe dziurki nie chciały przepuścić żadnego krążka. Dopiero po wielu zmaganiach udało mu się rozpiąć kilka guzików. Zachęcony tym sukcesem usiłował jej ściągnąć bluzkę przez głowę. Niestety, przy rękawach też były guziki.

— Co za cholerna moda! — jęknął zboliałym głosem. — Wszystko przeciwko nam. No! — wydał okrzyk triumfu. — Nareszcie!

Teraz już bez pośpiechu, gdyż ostygł nieco w miłosnych zapałach, zdejmował bluzkę, najpierw jeden rękaw, potem drugi, wreszcie ściągnął całość i cofnął się zawstydzony. Marta pod bluzką nie miała zupełnie nic. W rzadkim świetle bocznych kinkietów odsłoniły się nagle jej białe piersi.

— O Boże! Jakaś ty piękna! — szepnął z niekłamanym zachwytem, przytwierdzony dziwną siłą do miejsca wpatrywał się w nią zwięzonymi

oczami, jakby to co ujrzał, sprawiło mu ból. Marta poczuła się nieswojo, wstała i zamierzała przejść do przedpokoju.

— Nie, nie — zatrzymał ją szybkim drapieżnym ruchem i wśród pocałunków zaniósł na tapczan. Owczy gruby sweter drapał ją nieprzyjemnie w skórę.

— Rozbierz się — poprosiła i przymknęła oczy.

Nie lubiła męskich striptizów, poza Pawłem, tak poza nim rozebrani mężczyźni wyglądali śmiesznie i brzydko, żeby nie powiedzieć odrażająco. Karol nie różnił się pod tym względem od innych, więc po co było narażać się na przykre widoki. Rozbierał się w dzikim pośpiechu, robiąc straszliwe zamieszanie, zrzucił jakiś wazon, popielniczkę i kilka książek, znów trafił na przeszkodę w postaci guzików od koszuli, odrywał je bez żadnych skrępowań, słyszała wyraźnie cichutkie pacnięcia i ostry brzęk metalowej klamerki od paska, jakaś część garderoby poleciała na tapczan. Marta otworzyła oczy i roześmiała się.

— Skarpetki — pokazała palcem. Nie zrozumiał. — Zdejm skarpetki — powtórzyła nie przestając się śmiać.

Zrobił obrażoną minę i zasłonił rękami wstydlive miejsce, sądził, że to jego gotowość ją rozśmieszyła, ale Marta już się nie śmiała, znowu przymknęła oczy, lepiej było nie patrzeć i nic nie mówić, on chyba to wyczuł, bo zgasił jeden z kinkietów, przysunął się do niej, szukał jej ust. Ułatwiła mu zadanie odwracając się do niego twarzą. Już nie czuła odrazy i nie miała ochoty się śmiać, oddawała mu się z pokorą, z blaskiem rozkoszy w rozjaśnionych oczach. Karol był prawie taki jak Paweł, szorstki, szybki, dziecięco bezwstydnym i niecierpliwym. Nie wykluczone, że to o nim marzyła podczas długich bezsennych nocy. Być może on był tym chłopcem, który pływał z nią w ciepłym morzu. Zdziwił ją własny krzyk i jego pełen zadowolenia uśmiech, który okraszył słowami: — Jesteś moja! Słyszysz! Moja, moja. Nikomu nie pozwolę zbliżyć się do ciebie. Kocham cię, słyszysz? Życie oddam za ciebie, będę cię nosił na rękach, ubóstwiał, będę... — Śmiech, pocałunki, magiczne cudowne słowa zwały się na nią z ogromną siłą. Przestraszyła się siebie i jego.

— Nie, nie — zaczęła się wzbraniać. — Odsuń się! Muszę już iść. Otoczył ją ramionami tworząc z nich zaporę.

— Nigdzie nie pójdziesz. Nie pozwolę!

— Nie bądź dziecinny — objęła go i pocałowała. Żelazny uścisk zelżał na tyle, że zdołała się wyrwać. Pozbierała w panice części ubrania i uciekła do łazienki, tam pod gorącym prysznicem wytrząsała z siebie jego zapach i

słowa. Z zapachem poradziła sobie dość szybko, natomiast słowa tkwiły w niej nadal, mamły i kusiły otwierając bramy nowej krainy złudzeń. Nie ulegnie im więcej, raj nie istnieje, w każdym razie tu go na pewno nie ma. Zapotniałe lustro odsłoniło nagle bladość jej twarzy i nieprzejrzystość pociemniałych oczu. Nic w nich nie można dojrzeć. Ten fakt odnotowała z dużym zadowoleniem, nałożyła na policzki warstewkę różu, przypudrowała twarz. Karol poruszał klamką i prosił, żeby mu otworzyła.

— Zaraz — ubrała się w pośpiechu i uchyliła drzwi. Przyłgął do niej całym ciałem.

— Zostań! Błagam! Zrobię kolację. Napijemy się wina.

— Muszę iść. Zrozum. Adam się niepokoi — udało jej się wyrwać z tych obezwładniających ją ramion.

— Nieprawda! On cię lekceważy, a ja cię kocham. Zostań! Od dziś już zawsze będziemy razem.

— Gdzie? Nie masz nawet mieszkania.

— Wyjedziemy na zachód. Może tam nam się uda. Zrobię wszystko, co zechcesz.

— Nie zrobisz! — wybuchnęła niespodziewanie. — Twoje wszystko obwarowane jest zakazami i niemożnościami. Mówisz zrobię to, a tego nie mogę, tamtego nie potrafię, a tego nie chcę. Miłość nie zna takich słów ani tych ograniczeń.

— Przysięgam na wszystkie świętości, zrobię wszystko, co zechcesz, tylko mnie nie zostawiaj, nie odchodź, nie potrafię bez ciebie żyć. Rozkazuj!
— ukląkł i chwycił ją za kolana.

— Och! Ja nic nie chcę. To tylko słowa. Wstań! Nie mogę zostać. Adam się denerwuje. Jeszcze nigdy nie wróciłam tak późno do domu.

— Proszę, tu jest telefon — podniósł się z klęczek i prowadził ją z powrotem do pokoju.

— Zwariowałeś? Mam mu powiedzieć, że jestem u ciebie?

— A dlaczego nie? Dlaczego tak cię przeraża powiedzenie mu prawdy? Chcesz, to ja to zrobię, odwiozę cię i porozmawiam z nim.

— Przestań się wygłupiać! Mam swój samochód, a zresztą o czym ty chcesz z nim rozmawiać?

— O nas — oświadczył zdecydowanie. — Powiem, że się kochamy.

— Nic mu nie powiesz! Ja cię nie kocham.

— A to, co było przed chwilą, to nie miłość?

— W żadnym wypadku. To był seks, zwyczajny seks, który z miłością nie ma nic wspólnego i który, prawdę mówiąc, nie ma dla mnie większego znaczenia — odpowiedziała lodowato.

— Co? — wrzasnął z twarzą wykrzywioną bólem. — Nie ma większego znaczenia? I robisz to tak sobie, dla sportu? — chwycił ją za ramiona, potrząsnął żądając prawdziwej odpowiedzi.

— Właśnie — odparła z tym samym mrozącym spokojem i popatrzyła mu w oczy. — Tak sobie, dla sportu.

Zalała go ciemność, poruszył ustami, lecz nic nie powiedział, poderwał się jak do lotu, doskoczył do niej i wymierzył jej siarczysty policzek. Marta nie pozostała mu dłużna, uderzyła go znacznie mocniej, z większą zapiekłością i jakby tego było jeszcze mało, popchnęła go z całej siły na ścianę i zapominając o płaszczu wybiegła na schody.

— Zaczekaj! — krzyknął pędząc za nią. — Zabiję się, jeżeli mnie zostawisz, ciebie też zabiję.

Nie przejęła się jego groźbami, rwała do przodu przeskakując po dwa stopnie, on nadal coś wykrzykiwał, czego już nie słyszała, udało jej się dotrzeć do samochodu, który stał otwarty z kluczykiem w stacyjce.

Błysnęła światłami i ruszyła ze straszliwym zgrzytem. Fontanna czarnego dymu trysnęła z rury wydechowej i przesłoniła Karola, który chcąc ją zatrzymać, machał rozpaczliwie rękami. Wyminęła go szybkim manewrem odbijając w prawo. Karol rzucił się na ulicę, do swojego malucha i usiłował go uruchomić. Miał jednak pecha, silnik kichnął dwa razy i zgasł, jednak nie zrezygnował, dodał gazu, tym razem silnik zagulgotał, samochód poderwał się z miejsca i prawie natychmiast zamarł niczym ptak trafiony śmiertelnością strzałą. Marta dojeżdżając do Placu Unii obejrzała się. Nieliczne wysepki świateł przecinały granitową czerń jezdni, z mrocznych ulic spływała groźna cisza, nikt jej nie gonił. Dopiero na Puławskiej zauważyła w lusterku światła zbliżające się do niej z dużą szybkością, zjechała na boczny pas i powoli zwalniając zatrzymała się przy krawężniku. Karol stanął tuż za nią. Marta wyskoczyła na chodnik z twarzą wykrzywioną gniewem, zdawało się, że gołymi rękami rozwali jego wóz. Opanowała się w ostatniej chwili i wykrzesła z siebie coś na kształt uśmiechu.

— Jeżeli nie chcesz mnie stracić, wracaj do domu i weź coś na uspokojenie. Z Adamem porozmawiasz jutro. O dziewiętnastej będzie na pewno w domu, więc przyjdź, jeżeli oczywiście nie rozmyślisz się do tego czasu. A teraz daj mi spokój. Jutro mam egzamin i chcę się wyspać.

— Nie kłamiesz? — spytał potulnie. Był zrozpaczony i nie wiedział, co zrobić, ani jak się zachować.

Marta z kamiennym spokojem wytrzymała jego badawcze spojrzenie.

— Proszę tylko o jeden dzień zwłoki. Czy to dla ciebie tak dużo? Powiedziałeś przed chwilą, że zrobisz dla mnie wszystko, a ja nie żądam znowu tak wiele.

— Wybaczysz mi? — spytał ze ściśniętym gardłem.

— Tego jeszcze nie wiem. W każdym razie zgadzam się, żebyś z nim porozmawiał.

Przez odkręconą szybę chwycił jej rękę, przywarł do niej ustami.

— Daj spokój! — nie kryjąc obrzydzenia wyrwała dłoń i odeszła nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem. A on siedział i patrzył, jak odjeżdżała, ruszając za szybko, jak jej samochód wsiąka powoli w gęstą niebieskawą mgłę. Siedział jeszcze długo, kiedy już nic nie było widać.

Profesor sączył koniak w swoim gabinecie i czekał z niecierpliwością na powrót Marty. Święta Trójca, przywieziona z Bułgarii wyschła po konserwacji i wbrew dotychczasowym zwyczajom miał zamiar powiesić ją na ścianie. Polubił tę ikonę i nie chciał zamykać jej w szafie. Marta była potrzebna do przytrzymania obrazu i do zaakceptowania miejsca, które wybrał w pobliżu drzwi. Bez przymiarki nie mógł się zdecydować na wbicie gwoźdźcia, zresztą lepiej, żeby zrobiła to Marta, on z reguły trafiał najpierw w palec. Samopoczucie profesora po stwierdzeniu, że ikona po konserwacji prezentuje się znacznie lepiej, niż oczekiwał, nie było najgorsze. Powiększenie kolekcji zawsze wprawiało go w stan lekkiej euforii, jednak tym razem perspektywa czekającej go nazajutrz rozmowy kładła się mrocznym cieniem na wszystkim. Od kilku godzin był nieprzyjemnie podniecony, roztargniony i zły, nawet postaciom z obrazu zaczęło udzielać się jego zdenerwowanie. Duch Święty krzywił się, zamiast uśmiechać, natomiast Bóg Ojciec wręcz groził mu palcem. W pierwszej chwili profesor poczuł się urażony, w końcu przyznał Mu rację. Trudno było przecież oczekiwać, że twórca wszechświata pochwali decyzję, którą on podjął może zbyt pochopnie i pod naciskiem, albo też której podporządkował się bez najmniejszego sprzeciwu. Nie, nie mógł się usprawiedliwiać w ten sposób. On sam, po rozważeniu wszystkich za i przeciw, zdecydował tak, a nie inaczej, gdyż co by nie mówić — jest człowiekiem odpowiedzialnym, w pełni świadomym swych czynów... Bezsprzecznie chciał coś zmienić w swym życiu, w roli męża ładnej młodej dziewczyny nie czuł się najlepiej, uwierała go ta rola, peszyła i frustrowała. Od dziecka bał się śmiechności,

nigdy dotąd, wyłączając oczywiście ślub z Martą, nie zdobył się na żaden szaleńczy krok. Przez całe życie dopasowywał się, przycinał, formował, był taki jak trzeba: godny, dostojny, umiejący się znaleźć w każdej sytuacji, dżentelmen całą gębą, taki jak na portrecie, który mu namalował przed pięciu laty jeden ze znanych malarzy, taki był, a teraz wypadł z ram i nie wiedział, co zrobić... Czekając na Martę nie mógł się skupić, dreptał w kółko po pokoju, wyglądał przez okno, za którym ślimaczyła się jesień. Wilgoć i mgła czepiały się domu, w ogrodzie gęstniała noc. Opuścił zasłonę i łyknął koniaku. Od jakiegoś czasu odczuwał boleśnie wszystkie spadki ciśnienia, teraz doszła jeszcze ta zagniatana sytuacja. Najchętniej wymazałby z pamięci ostatnie lata, tak by było najlepiej, szkoda, że nie może tego uczynić. Spojrzał na swój portret i zatęsknił do ram, wątpił jednak, czy kiedykolwiek będzie mu dane wrócić na dawne miejsce. Od dłuższego czasu przymierzał się do tej decyzji, ale jej chyba nie podjął. Dokuczało mu przykre uczucie, że od wczesnego dzieciństwa poprzez młodość i wiek dojrzały ktoś inny kieruje jego losami, podsuwa rozwiązania, które on uznaje za możliwe i dopuszczalne, wygodne i przyjemne, ale które nie należą do niego, nie rodzą się w nim, nie wypływają z jego pragnień. On sam nigdy nie wypowiada ostatniego słowa, zawsze coś się dzieje poza nim, nie żeby zaraz wbrew niemu, ale poza obrębem jego woli. Taśma z gotowym filmem rozwija się raz szybciej, raz wolniej; on się przygląda, lecz nie mówi ani „tak”, ani „nie”. Pieniądze przychodzą mu łatwo, być może dlatego, że nie zabiega o nie usilnie, po prostu robi, co do niego należy, co lubi i umie, nic poza tym. Znajomość języków obcych i odczytanie zawdzięcza ojcu, który mając ku temu środki dbał o staranne wykształcenie synów, ambicje Ireny mobilizowały go do pracy naukowej; był zdolny, to prawda, zdolniejszy od innych, zawsze jednak potrzebował podpórki, stymulatora, zachęty i dopingu, zawsze coś robił dla kogoś, pod czyimś wpływem. Jedynie ikony gromadził z własnej woli i tylko dla siebie, poświęcił dużo trudu i czasu, nie mówiąc o pieniądzach, żeby je zdobyć. Toteż odnosił się do nich jak do kruchych istot wymagających delikatności i starań. Sam je konserwował, stosując sobie tylko znane sposoby, nie domalowywał niczego, zostawiał brakujące miejsca, wyblakłe kolory, nie upiększał ich, nie retuszował. Lubił surowe oblicza świętych z ogromnymi oczami, podłużne twarze z wyblakłymi aureolami i pozbawioną jaskrawości purpurę szat. Irena na początku ich związku interesowała się jego zbiorami, czytała fachowe książki, słuchała godzinami jego specjalistycznych rozważań, potem się znudziła. Marta zajęta domem i swoimi sprawami, nie miała pojęcia o ich

istnieniu, a kiedy wreszcie się dowiedziała, zachowała się jak typowy ignorant raniąc mu serce. Nie miał już ochoty, a przede wszystkim czasu, zaczynać jej edukacji od podstaw.

Nareszcie! Wróciła i, z nie opuszczającą ją nigdy energią, otwierała piszczące drzwi do garażu, wjechała samochodem do środka, nienaoliwione drzwi zaskrzypiały znowu. Po chwili usłyszał jej kroki, biegła wąskim korytarzykiem stukając metalowymi obcasami, łoskot których wwiercał mu się w mózg. Przestał się uśmiechać, ścisnął palcami skronie.

— Hej! — zawołała wlatując do holu i nim zdążył cokolwiek powiedzieć, zawisała mu na szyi. — Jak się masz? Co robiłeś? Jadłeś kolację?

— Tak, a ty?

— Nie jestem głodna.

— Coś ty taka blada? — przeraził się. Czyżby wiedziała, co ją czeka?

— Zmęczyłam się, powtórzyłyśmy z Elką cały materiał. Zapomniałam jednak o jednym temacie, będę musiała wpaść jutro do czytelni — usiadła i chwyciła za papierosa.

— Zdążysz?

— Muszę nastawić budzik. A ty co jutro robisz?

— Ja — niewyraźnym uśmiechem pokrył zdenerwowanie. — To co zwykle, mam wykład, spotkanie z doktorantami.

— Przyjdź wcześniej, dobrze? Zjemy razem obiad. Kupię kurczaka z różną, ty przygotujesz sałatę.

— A może by tak zaprosić Irenę? — wydusił siląc się na obojętność. Patrzył na nią z lękiem, jakby się bał, że mu odmówi.

— Czemu nie? — odpowiedziała niefrasobliwie. — Zaproś ją, jeśli chcesz. Mnie wszystko jedno. Mam nadzieję, że zdam, będzie więc powód do wypicia czegoś.

— W takim razie przyjdę do domu o drugiej.

— Och! Jesteś cudowny! Zawsze spełniasz moje prośby. Kocham cię. Słyszysz? — Z nagłym przypiływem czułości objęła go i pocałowała. — Kochany, przytul mnie, czuję się taka samotna, opuszczona...

— Uspokój się, dziecko — dotknął ręką jej włosów i uśmiechnął się zawstydzony. — Źle się czuję. Wczoraj za długo siedziałem.

— Nieprawda! Nie kochasz mnie już — zachłysnęła się łzami i nim zdążył cokolwiek powiedzieć wybiegła z pokoju.

Ruszył za nią, chcąc ją zatrzymać i uspokoić, bo mimo wszystko zrobiło mu się jej żal, powstrzymał go jednak hałas, który wskrzeszała każdym stąpnięciem. Co za bezsensowne trwonienie energii — pokiwał smętnie

głową. Marta dotarła już na górę, oczywiście trzasnęła drzwiami i, jakby tego było jeszcze za mało, zrzuciła z furją pantofle na podłogę, kopnęła krzesło. Adam powrócił wzrokiem do ikony, ale nie zdołał nasycić oczu jej pięknem, z góry bryznęła rześista salwa rocka, szklanka, stojąca na biurku, wydała podejrzany dźwięk. Profesor zamknął czym prędzej drzwi od holu, wcisnął sobie do uszu woskowe kulki i zrezygnowany usiadł w fotelu.

Zimny prysznic nie poprawił Marcie humoru, kawa też nie. Skończyła malować oczy i mimo starań nie mogła wykrzesać z siebie odrobiny uśmiechu, jej twarz oglądana w lustrze w niepełnym świetle budzącego się dnia była blada i pozbawiona życia, tusz na rzęsach i ciemne kreski na powiekach nie dodały jej barwy, wręcz przeciwnie: przy ciemnej oprawie oczu uwydatniła się jeszcze przezroczyść cery i nerwowe, ledwie widoczne drżenie ust. Oderwała wzrok od lustra i rozejrzała się po pokoju, ze wszystkich stron patrzyły na nią ogromne kartki z wypisanymi definicjami, znała je na pamięć, a jednak powtarzała od nowa, jeszcze raz, jeszcze... A niech to szlag! Zerwała kilka kartek i bardzo ostrożnie, w samych tylko rajstopach, zeszła na dół, uchyliła drzwi do gabinetu, w którym od dłuższego czasu na kanapie ustawionej vis-a-vis mahoniowej szafy sypiał jej mąż, natomiast szerokie wygodne łóżko w dużej sypialni, którą Irena chciała zamienić na jadalnię, pozostawało nietknięte. Adam leżał odwrócony na bok z ręką zwisającą nad podłogą. Marta podeszła do niego i delikatnie musnęła go palcami po twarzy. Budził się długo i niechętnie. Wreszcie z ciężkim westchnieniem otworzył oczy. Widok pochylonej nad nim żony nie ucieszył go wcale, sennym skrzypiącym głosem zapytał, która godzina.

— Wpół do ósmej — odpowiedziała.

— Tak wcześnie? — mruknął gniewnie, naciągnął kołdrę i zamknął oczy.

Marta znów pochyliła się nad nim, pocałowała wystającą spod kołdry rękę i wyszła zamykając cichutko drzwi.

* * *

Profesor Dębowski nie słyszał tego, co mówiła, nie interesowały go definicje, które recytowała bezbłędnie, wymawiając wyraźnie i czysto poszczególne wyrazy. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Tego dnia Marta wyglądała piękniej niż kiedykolwiek. Bładość jej twarzy, smutek w ocienionych błękitem oczach czyniły ją niezwykle ponętą i tajemniczą. Wszystkie ozdoby — srebrne klipsy, pierścionek i bransoletka — współgrały z ciemną dżersejową suknią ściągniętą w talii szerokim pasem.

— Dziękuję — przerwał jej niezbyt uprzejmie. — Zasłużyła pani na piątkę z plusem, ale ja mogę postawić pani tylko piątkę.

— Mnie to wystarczy — posłała w przestrzeń nic nie znaczący uśmiech, wzięła indeks i chciała wyjść.

— Chwileczkę — profesor zatrzymał ją niepewnym ruchem ręki. — Czy poszłaby pani ze mną na obiad, dzisiaj, powiedzmy o drugiej?

— Bardzo żałuję, ale umówiłam się z mężem.

— To ja żałuję. Pani jest może synową profesora Kuczborskiego?

— Nie. Jestem żoną profesora.

— Och! Przepraszam.

— Nie szkodzi.

— W takim razie proszę powiedzieć profesorowi, że mu zazdroszczę.

— Nie ma czego — szepnęła nie podnosząc oczu, bardziej do siebie niż do niego.

Profesor odprowadził ją do drzwi i na pożegnanie musnął ustami w policzek.

* * *

W holu pod zegarem, otoczona chmurą papierosowego dymu, czekała na nią Elżbieta, której twarz upstrzona wypryskami nie budziła żadnych pragnień w profesorach. Zgrabnej figury ukrytej pod wyblakłymi i rozciągniętymi swetrami też nikt nie dostrzegał. Zresztą Elżbieta robiła wszystko, żeby wyglądać jak najgorzej. Zlepione i przetłuszczone włosy związywała w mysi ogonek na czubku głowy, nosiła buty o dwa numery za duże i głowę zgiętą, opuszczoną. Na wiecznie skrzywionej twarzy prawie nigdy nie gościł uśmiech, a jej bezbarwne oczy z byle powodu pęczniały od łez. Bojaźliwość i niepewność utrudniały jej życie, zwłaszcza na egzaminach. Teraz też zdała ledwie na trójkę.

Na widok Marty niechętnie podniosła się z ławki.

— No jak? — zapytała bez zaciekawienia. Oczy miała przesłonięte mgłą i pociągała nosem.

Marta pokazała jej pięć palców.

— Gratuluję — mruknęła zdawkowo. — Ty to masz szczęście! Marta objęła ją i pocałowała.

— Nie martw się — powiedziała serdecznie — trójka to też dobry stopień. Ważne przecież, że zdałaś.

— Tak, oczywiście — potwierdziła ospale Elżbieta i wytarła chusteczką oczy — ale rektor nie ufunduje mi nagrody.

— To ja ci ufunduję.

— Ty? Z jakiej racji? — oburzyła się szczerze.

— Ponieważ zasługujesz na nagrodę, a mnie stać na to, żeby ci ją ufundować. Znałaś materiał lepiej ode mnie. Zgubiły cię nerwy.

— Zawsze tak jest — wyszeptała nie kryjąc łez, które płynęły już wartko po jej ospowatej twarzy. — Gdy wchodzę na salę egzaminacyjną, wszystko zapominam.

— A ze mną jest odwrotnie — kiedy wchodzę na salę egzaminacyjną, wszystko sobie dokładnie przypominam. Która godzina? Zostawiłam w domu zegarek.

— Za dwadzieścia pierwsza.

— W takim razie idziemy na kawę.

— Kiedy ja... — zacukała się Elżbieta.

— Głupstwo, ja stawiam. Muszę jeszcze kupić pieczonego kurczaka i zabieram cię na obiad. Poznasz wreszcie mojego męża.

— Widziałam go w telewizji.

— To nie to samo. Adam zyskuje przy bliższym poznaniu. Zobacysz, jaki jest czuły, serdeczny, niewykluczone, że cię zacznie podrywać. Straszny z niego kokiet, ale mnie to nie przeszkadza. Nie znoszę świętoszkowatych mężczyzn, bo to pedały lub impotenci. Trzymaj się od takich z daleka. — Wzięła przyjaciółkę pod ramię i gadając o głupstwach zaprowadziła do samochodu.

Po kawie i lodach, zjedzonych w „Hortexie”, obie poczuły się odprężone, Elżbieta uśmiechnęła się do Marty i cichym głosem wtajemniczyła ją w przepisy nowej diety, która w szybkim czasie miała wygładzić jej twarz. Marta słuchała z ogromnym wysiłkiem, widać było, że myślami przebywa gdzie indziej.

— Która godzina? — spytała znowu.

— Druga — odpowiedziała Elżbieta.

— Idziemy! — zerwała się. — Nie możemy się spóźnić. Jechały dość wolno, na skrzyżowaniach jak na złość wyskakiwały czerwone światła i paliły się dłużej niż zwykle.

— Adam będzie niezadowolony. Cholera! — denerwowała się Marta. — Zawsze tak jest, kiedy się spieszę — dodała gazu i wyprzedziła dwie ciężarówki, skręciła w Woronicza i ciągnęła się wolno za betoniarką. Na Spartańskiej rozluźniło się nieco, ale na małych bocznych uliczkach kręciły się jak zwykle stada dzieci i znowu musiała zwolnić. — Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmiła omijając dół, w którym przez całe lato gromadziła się woda. — Jeszcze kilkanaście metrów. Co to? — zaniepokoiła się, widząc karetkę pogotowia ustawioną przed domem.

Nie zważając na kałuże, przyspieszyła i zahamowała z piskiem. Wskoczyła z wozu, zapominając o przyjaciółce. Elżbieta zdezorientowana i przestraszona powlokła się za nią. Drzwi wejściowe były otwarte, skrzypiały nieprzyjemnie, kołysząc się na wietrze. Marta wpadła do holu i zatrzymała się na widok dwóch mężczyzn w białych fartuchach, którzy układali Adama na noszach. Irena usiłowała im pomóc. Telefon dzwonił bardzo głośno. Marta zrobiła krok do przodu, pochyliła się nad przezroczystą twarzą Adama, dotknęła jego ręki i osunęła się na podłogę. Nikt na nią nie zwrócił uwagi, sanitariusze w gorączkowym pośpiechu wynieśli Adama, Irena pobiegła za nimi, dopiero po chwili zjawiała się Elżbieta, podniosła Martę, uderzyła ją kilka razy w policzki i posadziła przy oknie na wprost otwartej szafy, z której jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zniknęły ikony.

* * *

Po wszystkich szpitalnych korytarzach błakają się te same zapachy: lekarstw, brudu, nędznej kuchni i zapuszczonych ubikacji. Wszędzie są drzwi, za którymi ktoś umiera lub karmi się nadzieją. Marta również miała nadzieję. Siedziała skurczona na ławce ze wzrokiem wbitym w płonący czerwienią napis „cisza” i czekała. Tuż obok za ścianą Adam walczył o życie. Nie pozwolono jej tam wejść, a on mógł w każdej chwili... Nie, nie — przeraziła się własnych myśli — trzeba mieć nadzieję, wierzyć, że Bóg istnieje, słucha modlitw kilku miliardów ludzi, kieruje ich losami, wybacza lub nie. Od kilku lat o nic go nie prosiła, teraz się załamała, wznosiła z pokorą oczy do nieba, modliła się żarliwie i przyrzekała poprawę.

Nagle otworzyły się drzwi i człowiek w bieli przesłonił sobą napis „cisza”, jego zmęczone oczy dopiero po chwili odnalazły skuloną postać Marty poruszającą bezgłośnie wargami.

— Już po wszystkim — powiedział cicho. — Może pani wejść — ruchem ręki wskazał kierunek.

Marta zerwała się. Dotarła do szpary w drzwiach, chciała się przeżegnać, ale coś ją powstrzymało, w myślach skarciła samą siebie za ten spontaniczny gest. Skoro Bóg nie wysłuchał jej prośb, nie będzie się więcej modlić.

— Proszę pana! — odwróciła się szukając człowieka w bieli, który był zapewne lekarzem i który już zdążył się schować za jednymi z tych licznych drzwi. Była sama i umierała ze strachu. Musiała jednak pokonać opór własnych nóg, które wrywały się na ulicę, do ludzi, przebyć tę nieskończenie długą drogę, wejść tam i spojrzeć mu w twarz. Pchnęła drzwi z ogromną siłą czując, że stacza się w przepaść i na tych nogach, co nie

chciały jej słuchać, dowlokła się do łóżka, padła na kolana i wyszeptała: —
Przebacz mi, przebacz!

Adam zwisającą ręką dotykał podłogi i uśmiechał się jak we śnie.

* * *

Na peryferyjne dzielnice miasta spływał przejmujący mrok. Błyskały gdziegdzie rzadkie latarnie. Ich nikłe światło odsłaniało szybujące nisko chmury i czarną otchłań dalekiego nieba. Oblepiona błotem taksówka, omijając kałuże i wyboje, podjechała pod dom obwiedziony metalowymi prętami i zatrzymała się przed bramą. Marta podała kierowcy banknot i nie czekając na resztę wysunęła się z wozu, ospałym krokiem zmierzała do furtki. W domu ktoś się poruszył, błysnęło światło, Irena ze zboląłą twarzą wyszła jej na spotkanie.

— To straszne! — szepnęła płaczliwie. — Nigdy nie chorował na serce. Żeby się tak przejąć starymi deskami! Nie rozumiałam tej jego pasji, walczyłam z nią bezskutecznie.

Marta przytuliła się do niej gwałtownie i wybuchnęła płaczem.

— Wiem, co czujesz — Irena obejmowała ją i głaskała. — Byłam z nim ponad dwadzieścia lat. Trzeba jednak żyć, trzeba... Wezwałam milicję. Zabezpieczyli ślady.

Marta, podtrzymywana przez nią, weszła do salonu, nie zauważyła chyba nieznajomego mężczyzny, który na jej widok podniósł się z krzesła i uklonił.

— To porucznik Pawelec — przedstawiła go Irena — prowadzi śledztwo w sprawie włamania.

Marta skinęła głową, usiadła i z wielką uwagą przypatrywała się Irenie, która nalewała koniak, wzięła od niej kieliszek, wypła duszkiem i zapaliła. Porucznik cały czas nie spuszczał z niej wzroku, po chwili wahania wstał i podszedł do niej.

— Chciałbym panią zapytać o kilka szczegółów — zaczął łamiącym się głosem, ale z każdym słowem jego ton stawał się coraz bardziej oficjalny i suchy. Zdaje sobie jednak sprawę, że to nieodpowiedni moment. Przyjadę innym razem. Chodzi o zwykłe czynności rutynowe. Wstępne oględziny mieszkania wskazują, że zrobił to specjalista wysokiej klasy. Czy pani kogoś podejrzewa?

— Nie — odpowiedziała po chwili wahania Marta.

— Mąż miał wielu znajomych? — pytał dalej porucznik.

— Bardzo wielu.

— Wszystkich, oczywiście, pani nie zna? — ton porucznika stawał się karcący.

— Kiedy miałam ich poznać? Jesteśmy razem, to znaczy byliśmy zaledwie rok po ślubie — wytarła oczy i popatrzyła na niego z rozpaczą.

Irenie też zwilgotniały oczy, starała się jednak panować nad sobą.

— Przepraszam, to ja już pójdę — porucznik zaczął się wycofywać do drzwi.

Irena przysunęła się do Marty i usiłowała przytulić ją do siebie, Marta odwróciła się do ściany i wytarła oczy.

— Niech pan pyta — oświadczyła z determinacją patrząc na porucznika, ruchem ręki wskazała mu najbliższy fotel.

— Może jednak odłożymy tę rozmowę do jutra — nie mógł się zdecydować porucznik.

— A złodziej tymczasem umknie z łupem i pozaciera ślady? Zresztą jutro nie będę miała czasu. Muszę zająć się pogrzebem, dać nekrolog, zamówić wieńce, zadzwonić do... — wyliczała beznamietnie wszystkie czynności, szukając w nich ratunku czy zapomnienia.

— Jeżeli tak — zdecydował się porucznik — mam dla pani niespodziankę.

Marta drgnęła nieznacznie, jakby się czegoś przestraszyła, szybko jednak zdusiła w sobie ten strach, wydłubała z paczki papierosa, wcisnęła go do ust, zapadła się w fotel i nie miała już siły sięgnąć po zapalniczkę. Przytomny porucznik pospieszył z ogniem.

— Włamywacz pozostawił ślad.

Marta popatrzyła na niego bez zaciekawienia, a nawet z dezaprobatą. Co ją jeszcze może zaskoczyć? Ten porucznik, który naoglądał się złych filmów teraz, tworząc sztuczne napięcie, powolnymi gestami wygrzebywał z tekturowej teczki zabłocony kawałek podziemnej gazetki, takiej samej jak ta, która wypadła z paczki Karola. Wreszcie pokazał go Marcie. Wzięła z obrzydzeniem brudny papierek do ręki i uśmiechnęła się drwiąco.

— Sądzi pan, że włamywacz rozsiewa nielegalne druki w miejscach przestępstwa po to, żeby wam ułatwić zadanie?

— Wprost przeciwnie — zauważył porucznik tonem człowieka wtajemniczonego. — Chodziło mu o to, żeby wprowadzić nas w błąd. Ktoś, kto dokonał włamania, zna dobrze ten dom i wie, że pani mąż był związany z opozycją.

— Też coś! — oburzyła się Irena. — Adam nigdy nie zajmował się polityką.

— Nie wierzę, żeby Adam był w opozycji — zaprzeczyła z przekonaniem Marta, nie zwracając uwagi na słowa Ireny, mówiła równocześnie z nią, ale

bardziej zdecydowanie. — To wasi ludzie podrzucili ten papierek. Znam wasze metody, chwalicie się nimi w telewizji. Tak się jakoś dziwnie składa, że różni włamywacze i złodzieje pozamieniali swoje bandyckie meliny na składy nielegalnych czasopism, ulotek, gazetek i cholera wie czego. Panie poruczniku, nie jestem w najlepszej formie, to fakt, ale póki co, moje szare komórki działają sprawnie, proszę więc zmienić taktykę i przestać traktować mnie jak debilne dziecko. Nie dam się nabrać na żadne ulotki. Ma pan jeszcze jakieś pytania?

— Kto pierwszy wyszedł z domu? — Ja.

— A nie wie pani, o której wyszedł mąż?

— Prawdopodobnie przed dziewiątą.

— Czy wychodząc zawsze włączał alarm?

— Czasem zapominał.

Irena kiwnęła głową, potwierdzając prawdziwość słów Marty.

— A pani? Nie zapominała?

— Raczej nie.

— Czy z pani znajomych ktoś interesuje się ikonami?

— Bardzo możliwe, ale ja nic o tym nie wiem.

— Jeszcze jedno... chciałbym wiedzieć... — przerwał słysząc szcęk otwieranych drzwi i gwałtowne pukanie.

— Co się tu dzieje? — do pokoju wdarł się mocny baryton Karola, a po chwili pojawił się jego właściciel. — Wszystko pootwierane! Furtka i drzwi wejściowe! — ukłonił się Irenie i przeniósł zdziwiony wzrok na Martę. Porucznika w ogóle nie zauważył. — Gdzie Adam?

Marta nie odpowiedziała. Siedziała bez ruchu przemieniona w woskową figurę.

— Muszę się z nim zobaczyć — wrzasnął Karol rzucając się do niej. — Powiedziałaś, że będzie o siódmej.

— On nie żyje — pospieszyła z wyjaśnieniem Irena.

Marta milczała ignorując obecność Karola, a może rzeczywiście go nie widziała, nadal tkwiła w samym środku swojej rozpacz.

— Co? — wykrzyknął Karol rzucając się do gabinetu. Zobaczył wyrwany zamek od szafy i wrócił stamtąd przerażony.

— Zabili go? — spojrzał na Martę, która w dalszym ciągu go nie dostrzegała.

— To był zawal — wyjaśniła Irena. — A to — pokazała na drzwi wejściowe i na gabinet — zrobili włamywacze.

— Albo włamywacz — odezwał się porucznik. — Wstępne oględziny wskazują, że zrobiła to jedna osoba.

— Nie potrafi pan poprawić zanika? — Irena uśmiechnęła się do porucznika.

— Obawiam się, że nie. Złodziej wprawdzie otworzył go wytrychem, ale przy okazji coś uszkodził, to bardzo czuły mechanizm.

— W takim razie poproszę Filipa, może on kogoś znajdzie. Przepraszam — oddaliła się do telefonu.

Marta z wielkim trudem dźwignęła się z fotela, wypić duszkiem kolejny koniak.

— Niech pan już idzie — powiedziała do porucznika. — I pan — popatrzyła na Karola niewidzącymi oczami. — Chcę zostać sama.

— Mnie też wyrzucasz? — spytała płaczliwym głosem Irena wracając od telefonu.

— Zostań! Ty mi nie przeszkadzasz — spróbowała uśmiechnąć się do niej, ale jej nie wyszło.

Irena odprowadziła Karola i porucznika do holu i tam ich pożegnała. Kiedy wróciła do salonu, Marta siedziała w tym samym miejscu z rękami przy twarzy i cichym głosem mówiła do siebie:

— Jak ja teraz będę żyła? Boże! Boże! On wniósł w moje życie tyle barw, nauczył mnie patrzeć na obrazy, rozumieć je... nauczył mnie żyć.

— Więc będziesz żyła zgodnie z jego naukami — wtrąciła cierpko Irena. — Wypij to — znowu podała jej koniak. — Weź się w garść! Musimy porozmawiać. Masz! Zapal! Znasz swoją sytuację materialną?

Marta nie podnosząc oczu, skinęła głową.

— Adam ci mówił? — upewniła się. Marta znowu skinęła głową.

— Więc wiesz, że ten dom należy w całości do Filipa?

Marta uśmiechnęła się do swoich myśli, słowa Ireny nie docierały do niej, ciągle tkwiła w przedziale własnego piekła.

— Zapisał go jeszcze przed waszym ślubem — ciągnęła Irena nie zrażona milczeniem Marty. — O tobie nie wspomniał w zapisie, bo cię jeszcze nie znał. Filip uważa, że ojciec, to znaczy Adam był z tobą szczęśliwy. Nie wyprowadzałam go z błędu. Teraz nie ma to już żadnego znaczenia, ale ty chyba wiesz, że on chciał wrócić do mnie? Mieliśmy ci...

— Kłamiesz! To nieprawda — wrzasnęła Marta. — Adam kochał tylko mnie... Mieliśmy wyjechać do Stanów. Przyszło zaproszenie dla niego i dla mnie.

— Powiedziałam prawdę — uśmiechnęła się triumfalnie Irena. — Zresztą ty wiesz, musiałś się czegoś domyślać. Przecież wasze małżeństwo od jakiegoś czasu było czystą fikcją. Nie ma to już żadnego znaczenia. Filip mówi, że możesz tu zostać, chyba, że wołałabyś wynająć pokój u Mirelli. Ona nie zedrze z ciebie skóry.

— Wyjdź stąd! — Marta podniosła głos.

— Zwariowałaś? — zdumiała się Irena, wlepiając w nią oczy z rzęsami usztywnionymi brązowym tuszem, który rozmazywał się, kruszył, zabarwiając powieki i żłobiąc głębokie tunele pod oczami. Trwożliwy uśmiech pojawił się na jej miękkich wargach pozbawionych miejscami beżowej szminki. — Nie mogę zostawić cię samej w takim stanie. Jeszcze sobie coś zrobisz.

— Jeżeli nie wyjdiesz stąd — syknęła Marta z twarzą mroczną i złą — zrobię coś na pewno, ale tobie... tobie!

— Zawiadomię milicję — uśmiechnęła się bez troski Irena.

— Nie zdążysz — Marta opuściła fotel i rozglądała się za czymś ciężkim, a ponieważ niczego nie udało jej się znaleźć, zbliżała się do Ireny z gołymi rękami.

— Ty naprawdę — przeraziła się Irena, starała się jednak tego nie okazywać. — Lepiej napij się koniaku... ja też — wzięła ze stołu butelkę, ale nie nalewała, trzymała ją przed sobą, jakby chciała się nią zasłonić.

Marta popatrzyła na nią z ironią.

— Wyjdź stąd natychmiast — powiedziała twardo nie kryjąc już nienawiści. — Nie ręczę za siebie. Uprzedzam lojalnie.

— Idę, już idę — Irena cofała się do drzwi pod osłoną butelki. Będąc już w drzwiach przystanęła. — Nie próbuj niczego stąd wywieźć. Na wszelki wypadek sporządziłam spis rzeczy w obecności porucznika.

Marta znalazła wreszcie to, czego od dłuższego czasu szukała — ciężki puf wypchany gazetami, uniosła go i wycelowała w Irenę, lecz ta zdążyła się schronić za drzwiami. Nie wypuszczając z rąk butelki wybiegła przed dom i wołała:

— Ludzie! Na pomoc! Ludzie! Ratunku!

Jej głos ćwiczony latami na scenie dźwięczał rozpaczą i przerażeniem. Marta słuchała go z przyjemnością, w tej roli Irena popisowała się nie tylko sprawną techniką, włożyła w nią też dużo serca. Niestety, jej rozpaczliwe wołanie nie poruszyło nikogo, nikt nie wybiegł na pomoc, w żadnym domu nie otworzyło się okno. Najlepsza partia znakomitej aktorki została odegrana bez widzów.

* * *

Marta przez chwilę mocowała się z drzwiami, usiłując zreperować zepsuty zamek, brakowało jej jednak odpowiednich narzędzi, więc szybko zrezygnowała. Nastawiła Chopina i wyłączyła światło, ponieważ raziło ją w oczy. Chciała się wypłakać bez świadków i nie mogła. Źródło łez wyszło niespodziewanie. Widocznie spora ilość wypitego alkoholu podziałała na nią tonizująco, silniej niż środek uspokajający, który otrzymała w szpitalu. Nie czuła już żalu ani rozpacz, wyzbyła się także lęku o przyszłość, który ją gnębił dotkliwie przez wiele ostatnich nocy. Była wyprana z uczuć, pusta i straszliwie zmęczona. Zamknęła oczy, Chopin brzmiał somnambulicznie i pięknie, otwierał drogę do innego wymiaru, a kto wie czy nie do wszechświata. Zasnęła z uczuciem niewysłowionego spokoju i ulgi, nie słyszała, albo, co bardziej prawdopodobne, nie chciała słyszeć skrzypienia drzwi i kroków, zresztą niezbyt ostrożnych, raczej zdecydowanych i szybkich, które skierowały się do gabinetu. Gdyby nie dźwięki orkiestry i szybki taniec palców pianisty po klawiaturze, mogłaby usłyszeć jęk otwieranych szuflad, szelest papieru i dobrotliwe pomrukiwania starej mahoniowej szafy. Kroki, tym razem wolniejsze i cięższe, zbliżały się do niej. W salonie błysnęło światło.

— Filip? — spytała, nie otwierając oczu.

— Nie boisz się siedzieć tak przy otwartych drzwiach?

— Och! Sama nie wiem — obudziła się z narastającym niepokojem. — Nalej mi koniaku, powinna być jeszcze jakaś butelka w barku ojca. Ty się nie napijesz?

— Jestem samochodem. Zamówiłem ślusarza. Zaraz tu będzie.

— Udało ci się o tej porze?

— Za pieniądze ksiądz się modli — otworzył barek i przestawiał butelki.

— Nie ma koniaku, jest whisky i gin. Co chcesz?

— Wszystko jedno.

Poszedł do kuchni po lód, Marta znowu zamknęła oczy, światło podtykało jej niechcianą rzeczywistość pod nos.

Filip wcisnął jej do rąk szklanę z whisky i usiadł obok, Marta upiła parę łyków ciepłego jeszcze alkoholu.

— Nie sądziłem, że cię zastanę w takim stanie — zaczął tonem wymówki. — Weź się w garść. A swoją drogą to śmieszne, umierać z powodu kilku poczerniałych desek. A tak dbał o siebie... tenis... spacer. Byłem u niego w szpitalu. Wygląda jakby spał... No, co się stało, to się nie

odstanie. Życie przecież trzeba — pstryknął zapalniczką i zaciągnął się dymem. — Zapalisz? — podsunął Marcie paczkę Marlboro.

Nie odpowiedziała, sączyła whisky z półprzymkniętymi oczami.

— Ile było tych ikon? — zapytał Filip po chwili milczenia.

— Nie wiem dokładnie, jakieś czterdzieści sztuk, może więcej.

— Bizuterię też tam trzymał? Marta jak automat skinęła głową.

— Podzielilibyśmy się po połowie... ale trzeba znaleźć jakiś trop. Na milicję nie ma co liczyć. Kogo podejrzewasz? Może malarze?

Marta zaprzeczyła ruchem głowy. Nie chciało jej się rozmawiać.

— A pani Jadzia?

— Daj spokój — ofuknęła go ostro.

— Nigdy nic nie wiadomo. Myślę jednak, że trzeba szukać wśród jego współpracowników, wśród tych zagłodzonych asystentów i doktorantów. Mógł któregoś z nich wtajemniczyć.

— Wątpię.

— Na wszelki wypadek podaj mi ich nazwiska.

— Ja ich nie znam. Sprawdź w jego notesie, zatelefonuj do sekretarki...

Pójdę się położyć — wstała i skierowała się do holu.

— Pościelę ci. Widzę, że nie masz siły.

— Nie, nie. Zostań tutaj i czekaj na ślusarza. Chcę być sama, przepraszam, muszę być sama.

— Nie boisz się?

Marta uśmiechnęła się blado.

— Przecież zostaniesz tu na noc, prawda?

Nigdy nie sądziła, że pogrzeb to przede wszystkim chodzenie, jeżdżenie, wystawanie przed biurkami, prośby o podpisy i forsa. Okazało się, że najważniejszą czynnością w biurokratycznej maszynie był zwrot wkładki żywieniowej, bez niej nikt nie chciał wypisywać dalszych papierków, zezwalających na pochówek takiego to i takiego, w takiej to a takiej kwaterze, na takim a takim cmentarzu. Jeżdżąc samochodem od rana załatwiła zaledwie część spraw, pozostałe wziął na siebie Filip. Punktualnie o osiemnastej zjawiała się w „Niespodziance”, gdzie na nią czekał Karol. Przywitała się z nim chłodno, bez cienia uśmiechu, usiadła w kurtce na brzeżku krzesła i po sprawdzeniu, czy nikt ich nie podsłuchuje, powiedziała:

— Zabierz z garażu te paczki, póki milicja nie odkryła, co w nich jest.

— Ty domyślasz się, co one kryją?

— Mnie to nie obchodzi. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Czyżbyś nie wiedziała, że Adam współpracował z nami?

— Nie wiem, kogo masz na myśli mówiąc „my” i nie chcę wiedzieć.
— A o tym, że w stanie wojennym ukrywał ludzi, też nie wiedziałaś?
— Chciałabym, żebyś zabrał te paczki i nie wtajemniczał mnie w wasze sprawy.

— Przejdiesz dziś do mnie?

— Nie.

— W takim razie ja przyjdę do ciebie.

— Nie otworzę ci drzwi. Masz klucz od garażu, więc możesz zabrać paczki bez mojego udziału, najlepiej w czasie mojej nieobecności.

— Nie mogę, nawalił mi samochód, chyba że pożyczysz mi swój.

— Nie mam zamiaru ryzykować. W razie czego ty wykręcisz się niewielką grzywną, a mnie zarekwirują wóz. Nie ma głupich.

— Zachowujesz się podle.

— Ty też.

— Ja? Dlaczego? — zapytał szczerze zdziwiony.

— Wczoraj umarł mój mąż, a ty już dziś proponujesz mi spotkanie.

— Kocham cię. Każda chwila bez ciebie jest dla mnie męką.

— To niczego nie usprawiedliwia.

— Miłość usprawiedliwia absolutnie wszystko, ale przepraszam, jeżeli cię uraziłem...

— Proszę — Marta wyjęła tysiączłotowy banknot — Masz tu pieniądze na taksówkę.

— No wiesz? Nie potrzebuję jałmużny. Schowaj te pieniądze! Myślałem, że dołączysz do nas. Mogłabyś wiele zdziałać.

— Czyżbyście potrzebowali rehabilitantki?

— Nie bądź złośliwa, to są poważne sprawy. Chodzi o środowisko akademickie.

— Na mnie nie licz.

— W czym ci pomóc?

— Pójdę zamówić kwiaty, a ty jedź po te paczki. Zapłaciłeś za kawę? Dziękuję. I jeszcze jedno, żadnych przemówień na cmentarzu. Nie chcę, żeby gliniarze deptali mi po piętach.

— Masz coś na sumieniu?

— Każdy ma — mruknęła nie podnosząc oczu. — Jedź po te paczki — wstała, i nie podając mu ręki, wyszła.

* * *

Już po wszystkim, dębowa trumna wraz z wieńcami od najbliższych spoczęła w rodzinnym grobie na starych Powązkach. Tłum rozpierchł się

wkrótce po przemówieniach, tylko nieliczni znajomi podchodzili do Marty z kondolencjami, większość rzuciwszy garść ziemi znikła pospiesznie, chroniąc się pod parasole. Padało rano i podczas pogrzebu, dopiero gdy wszyscy odeszli, słońce przebiło chmury i ścigając się z wiatrem spijało łąpczywie wodę z poczerniałych nagrobków. Marta z odsłoniętą głową stała nad świeżo usypanym grobem i niewidzącymi oczami wpatrywała się w stos kwiatów i wieńców. Myślała właściwie tylko o tym, że kiedyś po latach, może nawet wcześniej niż sądzi, spocznie tu obok Adama jako jego prawowita małżonka, natomiast Filip będzie musiał się nieźle natrudzić, jeżeli zechce swoją matkę umieścić gdzieś tu w pobliżu. Dookoła znajdowały się solidne płyty i grobowce, zadbane i pielęgnowane, ze świeżymi kwiatami. Ucieszyło ją to. Nikt przy zdrowych zmysłach nawet dla Ireny nie będzie rozbijał tych grobów. Zasłoniła kwiatami wstęgę z jej imieniem zwisającą z najokazalszego wieńca i nasłuchiwała spłoszona. Ktoś szedł od kaplicy w tę stronę i stapał specjalnie głośno, jakby bojąc się ją zaskoczyć. Nie obejrzała się jednak. Czekwała opanowując lęk, aż zza kępy drzew odcinających ją od głównej alei wysunął się porucznik w cywilnym ubraniu. Marta prześliznęła się po nim obojętnym spojrzeniem i opuściła wzrok na wieńce, z których utworzył się spory kopiec.

— Nie chciałbym pani przeszkadzać — chrząknął porucznik.

— Już pan to zrobił — odpowiedziała sucho.

— Czekałem, aż wszyscy pójdą. Chciałem z panią porozmawiać.

— O czym? — zapytała niezbyt uprzejmie.

— Czy zwróciła pani uwagę na taki szczegół? Na pogrzebie było dużo młodzieży związanej z byłą „Solidarnością”?

— To im nawet na pogrzeby nie wolno chodzić? — uśmiechnęła się drwiąco.

— Och! Źle mnie pani zrozumiała. Zastanawiam się, dlaczego przyszli właśnie na pogrzeb pani męża?

— Adam był powszechnie lubiany, wykładał ciekawie, dużo pisał.

— Tak, ale... — nie ustępował porucznik.

— Pańskie ale niewiele mnie obchodzi — rzuciła szorstko. — Chodźmy stąd! Nie będę się z panem kłócić nad świeżo usypanym grobem — poprawiła jakiś wieniec i ruszyła w kierunku bramy.

Porucznik ledwie za nią nadążał.

— Przypuszczam, że ma pan dla mnie jakieś informacje dotyczące włamania? — odezwała się po chwili.

— Niestety — westchnął zrezygnowany. — Wszystkie drogi prowadzą do nikąd. Najbardziej podejrzane osoby mają murowane alibi.

— Tak? — nie mogła ukryć zdziwienia. — A kogóż to pan podejrzewa?

— Sprawdziłem alibi pani ojca.

— No wie pan! — krzyknęła oburzona. — Co pan sobie wyobraża! Kto pana prosił o sprawdzanie mojej rodziny?

— Przepraszam. Musiałem. Sama pani przyzna, że nie jest to tak zwana dobra rodzina. Tatuś znany milicji, urządził jakieś pijackie burdy.

— Ale nie siedział.

— Za to braciszek siedzi.

— Wielka rzecz! W poprawczaku.

— Mała też nie jest. Siedzi za kradzieże i włamania, ale proszę się nie denerwować. Obaj mają murowane alibi.

— Siostrę również pan sprawdzał?

— Rutynowo.

— Gratuluję! A tymczasem złodziej pryśnie z ikonami za granicę.

— Niewykluczone, że już to zrobił — odparł z rezygnacją porucznik.

— I mówi to pan z takim spokojem?

— A co mam robić? Nie mamy żadnego punktu zaczepienia, błądzimy po omacku, dlatego ta gazetka, którą pani pokazywałem, jest taka ważna. Kto wie, czy nie zaprowadziłaby nas na właściwy trop, gdyby pani zechciała mówić.

— A skąd panu przyszło do głowy, że ja nie chcę? — Żony na ogół wiedzą, co robią ich mężowie.

— Pańska wie?

— Mnie obowiązuje tajemnica służbowa.

— Sądzi pan, że innych nie obowiązuje. Proszę pana, mój mąż nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy.

— Chciałbym w to wierzyć, ale nie mogę.

— Dlatego jest pan policjantem... Wszystkich pan podejrzewa, nawet mojego ojca, zaraz mu to powiem, będzie zachwycony — wybiegła na ulicę i skręciła w lewo, gdzie stał jej samochód, odwróciła się, chciała mu coś jeszcze powiedzieć, ale machnęła tylko ręką, podeszła do ojca, który z zapalem pucował szyby.

— Wystarczy — powiedziała Marta poprawiając lusterko.

— Kręci się ta swołocz i kręci — splunął z odrazą. — Wiesz, że mnie sprawdzał?

— Niech sprawdza, za to mu płacą.

— Wywąchał coś?

— Nie. I nie wywacha. W tym kraju złodzieje mogą spać spokojnie. Milicja ma ważniejsze sprawy na głowie, gazetki, ulotki, mszę za Ojczyznę i takie tam rzeczy. Siadaj! Jedziemy.

Ojciec nie wiedząc, co zrobić z brudną szmatą, którą pucował szyby, schował ją do kieszeni, usiadł z przodu i rzucał ukradkowe spojrzenia w stronę cmentarnego muru, gdzie pod osłoną czarnego parasola sterczał porucznik kuląc się z zimna. Wiatr z niebywałą furją rozrywał mu poły płaszcza, wykręcał parasol, a on nie odchodził, miał widać nadzieję, że tu, w miejscu wiecznego spokoju, rozwiąże zagadkę tajemniczego włamania do willi profesora.

* * *

Marta ustawiła samochód przed bramą i nie wysiadała.

— Nie wjedziesz do garażu? — zaniepokoił się ojciec wpatrując się w nią smutnymi oczami.

— Nie — osunęła się na kierownicę i zakryła rękami twarz. Szumiało jej w głowie, jak po utracie dużej ilości krwi. Ojciec patrzył na nią z bezradnym uśmiechem i drapał się w brodę.

— Tak nie można — chrząknął, przenosząc mętne spojrzenie nad rząd pudełkowatych willi schnących po deszczu. Błyskające krótkimi salwami słońce ukazywało przerażające ubóstwo nowoczesnego budownictwa. Te wille były tandetnymi domami i rozpadały się tak samo jak pobliskie bloki, ściany marszczyły się od wilgoci, odpadały tynki, murszały nie malowane okna i drzwi, karłowaciały drzewa, a płoty rzadko trzymały się pionu. Ojciec zakasłał i pociągnął za klamkę, a ponieważ Marta nie zareagowała, ostrym szarpnięciem otworzył drzwi. Wiatr wtargnął do środka i wczepił się Marcie we włosy. Odwróciła głowę. — Tak nie można — wystękał ponownie, a jego wyblakłe oczy zaszły mgłą. — On tego niewart. Nie szanował cię... nie ma co rozpaczać. Bóg go osądzi, a ty chodź! — pomógł jej wysiąść z wozu i bezradnym uśmiechem dodawał otuchy.

Marta pozwoliła się prowadzić, otulać szalem, ale chyba go nie widziała. Z płaszczem w ręku, nie odezawszy się słowem, przeszła na górę. Po chwili bryznął stamtąd rock. W salonie zapiszczał telefon. Ojciec z niezadowoloną miną podniósł słuchawkę.

— Tak, to ja — oświadczył lękliwie. — Zobaczę, czy jest na górze, chwileczkę. — Z niezwykłą ostrożnością odłożył słuchawkę, dotarł zziębnięty do górnego holu, zapukał.

— Telefon do ciebie — powiedział przez drzwi.

— Nie ma mnie, nie ma — odpowiedziała szlochając Marta.

— To ona, co jej powiedziec? — nie odchodził.

— Nie ma mnie, wyszłam — odpowiedziała nieco spokojniej.

— Tak, tak — zgodził się z nią. Zszedł i szorstkim głosem poinformował Irenę, że Marta wyszła. Nie, nie wie dokąd, nie wie też, kiedy wróci, nigdy mu nic nie mówi. Wypowiedziawszy naraz tyle słów do słuchawki, poczuł się nieludzko zmęczony, wy dostał więc z szafy koc i ułożył się na kanapie. Po chwili jego głośnie chrapanie, utrzymane w miarowym rytmie, przebijało się przez dźwięki rocka.

Szybkie skoki perkusji i przyduszony głos solisty podziałały na Martę jak środek dopingujący, zerwała się z łóżka i wyłączyła magnetofon. Pewnym krokiem zeszła na dół i napiła się whisky. Ojciec okryty kocem drzemał na kanapie, telefon wciąż dzwonił, lecz nikt nie podnosił słuchawki. Na zewnątrz poruszyło się drzewo, trzasnęła złamana gałąź, Marta nasłuchując, podeszła do śpiącego ojca.

— Tato! — szepnęła przestraszona — tam... — umilkła wpatrując się w drzwi wejściowe, ktoś poruszył klamką z tamtej strony.

— Tato! — potrząsnęła nim mocniej.

— Nie bój się! — usłyszała nie mniej wystraszony głos Karola. — Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

— Nie chcę — bąknęła nieprzytomnie. — Wszystko już powiedziałaś.

— Otwórz! Chodzi o porucznika — nie ustępował Karol. Podeszła z ociąganiem do drzwi i uchyliła je.

— No, co się stało! Mów!

— Najpierw mnie wpuść. Nie będziemy chyba rozmawiać przez szparę?

— Wejdz! — otworzyła drzwi na całą szerokość.

Karol wskoczył do holu, niczym do rozległego basenu i podobnie jak pływak wymachiwał rękami. Marta bez słowa przeszła do salonu, pospieszył za nią, uklonił się ojcu, który odpowiedział mu głośniejszym chrapaniem.

— A ja nie mogę spać — uśmiechnęła się Marta. — W głowie mi szumi — usiadła trzymając się za skronie.

Karol nie zwrócił uwagi na jej słowa.

— Musisz mi pomóc — szepnął upewniwszy się, że ojciec śpi. — Musisz — powtórzył patrząc na nią rozgorączkowanymi oczami. — Ten policjant, to szajbus, prowadzi jakąś swoją grę, ma gdzieś twoje ikony. Znalazł tutaj naszą gazetkę i oszalał. W jego chorej głowie zrodził się obłąkańczy pomysł. Uważa, że to my wykończyliśmy Adama, rozumiesz? My! Ta pomięta gazetka posłużyła mu do skonstruowania całej epopei, facet ma zdolności

literackie, słowo daję. Według niego wykończyliśmy profesora dlatego, że nie chciał przemycać naszych materiałów za granicę. Kradzież ikon miała być ostrzeżeniem czy też szantażem. Zresztą cholera go wie, uważa, że my stosujemy te same metody co oni, szantaże, włamania, podrzucanie kompromitujących materiałów. Depcze ludziom po piętach.

— No to co, jeżeli nie ma dowodów.

— Och! Nic nie rozumiesz! Szukając dowodów zarekwirują nam urządzenia, papier, rękopisy.

— Schowajcie je tak, żeby nie znaleźli.

— Chodzi mi jednak o ciebie, żebyś się nie wygadała, że my tu... rozumiesz...

— Ja o niczym nie wiem. Daj mi wreszcie spokój z twoją zasraną konspiracją.

— Nie gniewaj się, ale musisz mi pomóc.

— Czego chcesz?

— Musimy wszcząć śledztwo na własną rękę, znaleźć sprawcę, odzyskać łup. W przeciwnym razie oni to wykorzystają, zaczną się nagonka w prasie, znajdą jakiegoś kapusia, który zechce się pokazać w telewizorku.

— I tak zrobią, co zechcą, niepotrzebne im żadne dowody.

— Ale nam potrzebne. My musimy być czyści.

— Jesteście! Ja was o nic nie posądzam.

— Niemożliwe, żebyś nie wiedziała, na pewno masz własną koncepcję, na pewno kogoś podejrzewasz. Może to Filip? Podobno szasta pieniędzmi, albo Irena? Bywała tu częstym gościem.

— Tak, to na pewno ona — potwierdził, budząc się ojciec i uśmiechnął się do Karola. — Dobrze, że pan przyszedł. Zrobić kawy?

— Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

— Co za kłopot! — zerwał się ojciec i podreptał do kuchni.

— Pozwól ze mną — Marta skinęła na Karola i skierowała się na górę. Wprowadziła go do swojej sypialni i przeprosiła za bałagan, bo rzeczywiście panował tam nieład, część ubrań leżała w otwartych walizkach i na krzesłach, część wałała się po podłodze, z otwartej szafy wystawały nagie ramiona wieszaków.

Zebrała rzeczy z jednego krzesła, żeby Karol mógł usiąść.

— A teraz zachowuj się cicho. Coś ci pokażę — powiedziała z surową powagą i podniosła wieko tapczanu.

Karol patrzył zdumiony na jej tajemniczy uśmiech i pełne dziwnej determinacji ruchy. Sądził, że Marcie pomieszało się w głowie, pod uniesionym materacem, na dnie tapczanu nie było nic.

— Tylko cicho! — nakazała znowu. Ujęła w palce rąbek prześcieradła i odsłoniła ukryte pod nim ikony.

— Wszystkie są tutaj, nie brakuje ani jednej — wyjaśniła z dziwnym uśmiechem, który jeszcze bardziej zbił z tropu Karola.

Nie uwierzył. Pochylił się nad tapczanem i dotykał palcami poczerniałych desek, brał je do ręki, oglądał pod światłem i odkładał na miejsce. Marta przyglądała mu się ze spokojem.

— Nie rozumiem — wychrypiął głosem człowieka złowionego w potrzask. — To też ukradli? — wskazał niepozorną saszetkę z biżuterią, wystającą spod prześcieradła.

— Też — odparła zakrywając z powrotem prześcieradłem ikony. Uśmiechnęła się znowu, tym razem mniej dziwnie, rozbawiła ją widać głupkowata mina Karola.

— Złapali ich jednak — odetchnął wreszcie. — Kto by pomyślał! No, no... A ten porucznik wmawiał mi... z nim coś nie tak. Widziałaś tych włamywaczy?

Marta pokręciła głową.

— A wiesz, kto to zrobił?

— Ja.

— Ty? Co ty wygadujesz! Uspokój się! Masz gorączkę — dotknął jej czoła i wziął ją za rękę. — Słuchaj uważnie, pytam, kto to zrobił?

Marta uśmiechnęła się z rezygnacją.

— Przecież mówię, że ja, ja... — wskazała na siebie palcem, żeby nie było żadnych wątpliwości.

— Ty? — zaśmiał się głupkowato. — Naprawdę z tobą jest źle. Dlaczego ty miałabyś włamywać się do własnego domu, kraść ikony, chować je w tapczanie? Na co? Po co? To przecież czyste szaleństwo — zatrzepotał rękami.

— A jednak ja to zrobiłam.

— Ale po co? Dlaczego? — łupnął się w czoło.

— Pomyśl, a sam sobie odpowiesz.

Karol przez krótki moment wpatrywał się w nią w milczeniu, nagle doznał olśnienia, porwał ją w ramiona, ścisnął nieprzytomnie i całując wykrzykiwał jak oszalały:

— Zrobiłaś to dla nas, prawda? Żeby się uwolnić od niego? Jesteś genialna... jesteś... — ze wzruszenia nie mógł mówić, słowa były niepotrzebne. Dotykał ustami jej włosów, chłonał zapach perfum.

Marta odsunęła go od siebie z niesmakiem.

— To nie tak. Muszę wyprowadzić cię z błędu — spojrzała na niego niewidzącymi oczami. — Zrobiłam to dla siebie, z zemsty, która, jak ci wiadomo, jest rozkoszą bogów... Musiałam... Nigdy nie zrozumiesz, co czułam... Chciał mnie zostawić dla niej, dla Ireny, chciał odejść, a mnie wyrzucić jak śmieć, jak niepotrzebną zabawkę, którą się już nacieszył. Nie miałam wiele czasu, żeby się zastanowić. Wiedziałam jednak, czym są dla niego te deski. Nie byłam tylko pewna, przypuszczałam... ale wolałam to niż rozwód, niż jej triumf. Ją też chciałam zabić.

— Przestań! Nie wiesz, co mówisz. Jesteś chora! Wezwę lekarza!

— Nic mi nie jest. Czuję się dobrze. Zrobiłam to świadomie, z premedytacją i sama, bez niczyjej pomocy.

— Przestań! — zatkał sobie uszy. — Nie chcę tego słuchać! O Boże! Boże! Nie, nie — zaczął walić się pięściami po głowie. — Powiedz, że to nieprawda, że to nie ty.

— Nie chcę cię okłamywać. To ja. Powiedziałam ci wszystko.

— Jesteś zła, szalona! Musisz iść do lekarza.

— Już mnie nie kochasz? — pokiwała ze smutkiem głową i zatrzasnęła tapczan.

— Nie, to nie ty, nie, nie! — rozpląkał się nagle jak dziecko i stał pośrodku pokoju niczym samotne drzewo szarpane ostrymi podmuchami wiatru. Wstrząsały nim dreszcze. Nagle zerwał się i łkając wybiegł na schody. Marta powoli ruszyła za nim. — Jesteś szalona — krzyknął zataczając się na półpiętrze — a ja tak... ja cię tak — ostatnie słowa utonęły w nowej powodzi łez.

W salonie ojciec z nieodłącznym petem w ustach czekał z trzema filiżankami kawy. Karol pędząc po schodach nie zauważył go, dopiero w holu odwrócił się, spojrzał na niego z rozpaczą, a może z nadzieją, że ktoś go zatrzyma, ale nikt się nie odezwał, nikt go już chyba nie widział. Marta trzymając się poręczy schodziła sztywnym krokiem po schodach, ojciec z niezwykłą uwagą wsypywał cukier do kawy. Karol połknął łyżę, ruszył zdecydowanie przed siebie i trzasnąwszy drzwiami, wybiegł na ulicę.

Marta podeszła do ojca, wzięła kawę i z filiżanką w rękę, chodziła jakiś czas zamyślona po pokoju, a gdy wypila ostatni łyk, skinęła na ojca.

— Trzeba się pakować tatusiu. Wracam do domu.

— Tak — uśmiechnął się blado. — Nie ma innego wyjścia. Przepraszam cię, ale wszystko słyszałem. Niepotrzebnie mu powiedziałaś... Mogą być kłopoty.

— Nie sądzę, a gdyby nawet... co ma być to będzie... Idziemy!